



KERSTIN GIER

kasa, forsa,
szmal



Gier Kerstin

Kasa, forsa, szmał

Carolin ma 26 lat, iloraz inteligencji powyżej 150, mówi biegle ośmioma językami, mnoży w pamięci siedmiocyfrowe liczby, podając w ułamku sekundy właściwy wynik, wspaniale gra na fortepianie i mandolinie. W wieku 21 lat wyszła za mąż za miłość swego życia, znanego historyka sztuki i sławnego profesora, a przy okazji ojca swego chłopaka. W wieku 26 lat została wdową, gdyż mąż zmarł nagle w Londynie na atak serca, czyniąc ją jedyną spadkobierczynią ogromnego majątku.

Zrozpaczona i kompletnie załamana Carolin wraca do Niemiec z prochami ukochanego męża i momentalnie zostaje zaatakowana przez jego chciwą rodzinę: obrażoną na cały świat pierwszą żonę, rozwyrzone, wrogo nastawione dwie córki, swego byłego chłopaka, który nie może wybaczyć jej ślubu ze znienawidzonym ojcem, i wrednego szwagra nieudacznika, wiecznego pasożyta, który robi wszystko, żeby tylko dostać się do pieniędzy zmarłego brata.

Trzymajcie się z daleka od idiotów.
Motto życiowe Lemmy' ego Kilmistera,
solisty zespołu Motórhead

Czy pani się przewróciła?

Ależ skądże znowu. Ot tak, po prostu leżę sobie na chodniku, spoglądając na gwiazdy.

- Czy jest pani może ranna? - Młody mężczyzna pochylił się nade mną. W świetle ulicznej latarni wyglądał niczego sobie. Spoglądał na mnie przyjaźnie, wyraźnie zatroskany.

Szkoda tylko, że taki idiota.

Nie tak łatwo ustrzec się idiotów, od których aż się kotłuje na tym świecie. Nawet tu, o północy, na obrzeżach miasta w spokojnej, zapomnianej przez Boga dzielnicy domków jednorodzinnych.

Dzisiaj natrafiłam już na paru osobników jego pokroju, zadających kretyńskie pytania. Pierwszy pojawił się, gdy przycinałam żywopłot siostry. Pogapił się na mnie przez dobrą chwilę, po czym zapytał:

- Co? Czyżby przycinała pani żywopłot? O tej porze? W listopadzie?

To ten okropny sąsiad mojej siostry, który stale podaje ją oraz mojego szwagra do sądu o cos tam. Pan Pączkogłowy. Zapamiętałam jego nazwisko, gdyż Mimi i Ronnie nader często rozmawiali o nim oraz o jego małżonce, pani Pączkogłowej.

- Ależ skądże, panie Pączkogłowy, wcale nie patroszę żadnego żywopłotu, tylko dyryguję orkiestrą Filharmonii Berlińskiej - odparłam, nie wypuszczając z rąk sekatora i nie przerywając pracy ani na moment.

-Jakie nazwisko pani wspomniała? - Twarz sąsiada przybrała kolor soczystego buraka przez dłuższy czas trzymanego w occie. Pierwszy raz przyszło mi do głowy, że „pan Pączkogłowy” może się nazywać całkiem inaczej. Chociaż ta znana mi ksywka pasowała do niego jak ulał.

- Nie puszczę płazem tej bezczelności! - syknął, po czym odmaszerował. Następnie w supermarkecie spotkałam Konstancję, przyjaciółkę Mimi, która starała się być bardzo miła. Niestety, Konstancja również należy do grupy ludzi działających na nerwy kretyńskimi pytaniami.

- Och, Carolin! Cześć! - przywitała mnie przyjaźnie.

- A cóż ty tu robisz?

Pomyślmy: Pętam się po supermarkecie, pchając przed sobą wózek sklepowy. A zatem co tu robię?

- Przyszłam rozbroić bombę podłożoną w kasie -wypaliłam. - A ty co tu robisz?

-Ach, wpadłam tylko, żeby szybko coś kupić na weekend.

- Naprawdę? Niesamowita historia!

Konstancja uśmiechnęła się wyrozumiale, obrzucając przy tym spojrzeniem mój wózek. Seler, pasternak, szczypiorek, crème fraîche i filet z piersi kurczaka na zupę, którą Ronnie będzie gotować dziś wieczorem. Ponadto cztery butelki czerwonego wina i tampony.

Czekałam tyl-

ko, aż Konstancja zada pytanie: „Kupujesz seler, pasternak, szczypiorek, creme fraiche, filet z kurczaka, czerwone wino i tampony?”. Jednak nie zrobiła tego. Również nie powiedziała, wskazując na tampony: „A, to stąd ten paskudny nastrój!”. Przekazała jedynie pozdrowienia dla Mimi, życząc mi miłego wieczoru. Dziękuję, wzajemnie.

Nasz wieczór był naprawdę uroczy. Gdy tylko wróciłam z zakupów, otworzyłam butelkę czerwonego wina, którą udało mi się opróżnić jeszcze przed kolacją. No, niezupełnie, gdyż nie obyło się bez udziału Ronniego, który wypił jeden kieliszek, gotując zupę. Drugą butelkę wypiliśmy już we trójkę. Natomiast z trzecią rozprawiłam się całkiem sama, bo Ronnie i Mimi poszli spać.

Zgasiłam światło, oparłam się o parapet i sącząc wino, patrzyłam na ogród, nad którym wisiał księżyc w pełni - żółty i bardzo jasny - oświetlając nagie gałęzie jabłoni. Księżyc sprawiał wrażenie ogromnego cytrynowego cukierka, którego ktoś przykleił na niebie. Wyciągnęłam język, starając się spróbować, czy rzeczywiście ma cytrynowy smak. W tym momencie dotarło do mnie, że jestem pijana w sztok. A ponieważ zdarzyło mi się to po raz pierwszy w życiu, byłam święcie przekonana w swojej naiwności laika, że świeże powietrze sprawi, iż wytrzeźwieję. Nie zaszłam zbyt daleko. Zataczając się, jakoś dotarłam do furtki, otworzyłam ją i wyrznęłam na chodnik, gdyż zapomniałam, że jest tam przecież stopień.

I tym sposobem znalazłam się w pozycji leżącej.

Nie byłam w stanie się podnieść. I to wcale nie dlatego, że coś sobie złamałam. Nie czułam też żadnego bólu. Natomiast miałam wrażenie, że stałam się kostką śliskiego, mokrego mydła. Ale co dziwne, uznałam to za tak zabawne, że nie mogłam powstrzymać nagiego chichotu.

A potem pojawił się ów idiota i pośpieszył mi z pomocą.

- Czy ty w ogóle słyszysz, co do ciebie mówię? - Zaraz przeszedł na ty, choć nie pisnęłam ani słówka, nawet jednej sylaby, by go do tego zachęcić. - Mam zadzwonić po pogotowie?

O Boże, jeszcze tylko tego by brakowało. W normalnych warunkach czułabym się co najmniej zakłopotana.

- Pewnie, że słyszę, co pan mówi. Jestem jedynie pijana, ale nie głucha. Prawdę mówiąc, bardzo pijana. Wydaje mi się, że chciałam tylko polizać księżyc. Czy nie wygląda jak cytrynowy cukierek?

Przez dobrą chwilę nieznajomy patrzył na mnie niezdecydowanie.

- Pomogę ci wstać, jeśli obiecasz, że nie obrzygasz mi butów.

-To uczciwy układ — powiedziałam, śmiejąc się do rozpuku. Niech żyje czerwone wino!

Jeszcze parę tygodni temu zupełnie nie zdawałam sobie sprawy z cudownego wpływu wina na podłe samopoczucie. Do tej pory nie piłam więcej niż jedną lampkę, gdyż prawdę powiedziawszy, nie chciałam przyznać, iż niespecjalnie gustuję w winie. W żadnym - niezależnie od tego, jak drogim i wyjątkowym w smaku. Zapach dojrzałych śliwek, owocowy aromat, dobrze związana tanina, pożądana kwasowość, stopień demineralizacji, całe to blablabla uważam za głupie gadanie. Ponadto z upływem czasu nabrałam przekonania, że większości osób celebrujących picie wina wcale nie chodzi o jego smak, tylko o działanie. Ta gadanina to tylko przykrywka i doskonałe alibi do zalania pały w kulturalny sposób. Ale trzeba przyznać, że wino ma w sobie coś.

I jeśli ktoś miał powód do zalania się w trupiszcze, to tym kimś byłam właśnie ja. Mam dwadzieścia sześć

lat i od czterech tygodni jestem wdową. A przed trzema tygodniami brat mojego zmarłego męża wniósł do sądu przeciwko mnie pozew, w którym domaga się zwrotu „ogromnego żyrandola z połączanego brązu”, „połączanej tabakierki z intarsjami z szylkretu i wygrawerowanymi na wieczku postaciami z macicy perłowej” oraz kamienicy z sześcioma apartamentami przeznaczonymi na wynajem w Dusseldorfie, w dzielnicy Carlstadt. Między innymi.

I jeśli nie był to wystarczający powód do sympatycznego upicia się, to nie rozumiem, co mogło nim być. Przeklęty problem z tą równowagą.

— Czy przypadkiem nie wie pan, gdzie jest żyrandol? Uroczy idiota nie udzielił jednak odpowiedzi. Za

to podciągnął mnie w górę, próbując postawić na nogi. Musiałam poukładać w głowie wszystko na nowo. Lecz miałam dziwne wrażenie, że będzie to daremny wysiłek. Z ogromną trudnością udało mi się utrzymać otwarte oczy. A w brzuchu tak mi burczało, jakbym połknęła jakąś wyjątkowo wredną istotę pozaziemską.

— Czy zdajesz sobie sprawę, ile komórek mózgowych umiera w wyniku takiego gigantycznego upicia się?

Facet spojrzał na mnie karcąco.

— Jeszcze dwie, trzy takie imprezy i przepijesz świadectwo ukończenia szkoły.

Ponownie parsknęłam śmiechem.

— Nie jestem taka snoofu głupia. Wiem, co to jessss szyrandol! To taaki góffniany świecznik. — Kosmyk włosów spadł mi na twarz. Odgarnęłam go za ucho. - Te ostatnie dni to była spora nauczka. Czy wiedział pan na przykład, że do urny przynależy jeszcze urna zewnętrzna? Mogę ją panu pokazać. Mam taką w swoim pokoju. Wyjątkowo piękną.

— Mieszkasz daleko stąd?

Oho, zdaje się, że ten młody mężczyzna jest zainteresowany obejrzeniem mojej urny.

- Dobrze, niech będzie. Ale proszę za dużo nie oczekiwać. Wygląda to trochę jak waza do zupy, którą moi rodzice dostali w spadku po ciotecznej babce, Elfrydzie. Zastanawiam się, czy takie urny zewnętrzne są wymyślane przez jakiegoś ekstraprojektanta, czy też projektują je ci sami ludzie, co wazy do zupy.

Facet jedynie obrzucił mnie wzrokiem. Nie byłem w stanie odgadnąć, co oznacza jego spojrzenie, ale sprawiał wrażenie, jak by to wyrazić - trochę zniesmaczonego. Odpowiedziałam mu szerokim uśmiechem od ucha do ucha.

- Prawda, że wcale mnie pan nie rozumie? Wiem, że za bardzo mamrocę. Do tego stopnia, że sama ledwie się rozumiem. Ale nic nie szkodzi. Właściwie jest nawet całkiem zabawnie. Zupełnie, jakbym mówiła po polsku, prawda? To też potrafię. Cholera, ale mi się chce rzygać.

- Gdzie mieszkasz?

- Nie podawałam żadnego adresu. Mówiłam tylko, że chce mi się rzygać. Po polsku. Czy to pana naprawdę interesuje? - Mówiąc ostatnie zdanie, wskazałam na drzwi Mimi. — To nieeeedaleko. Ale teraz wydaje mi się, że to kawał drogi.

Jedno trzeba przyznać: był bardzo rycerski. Złapał mnie jedną ręką za ramię, drugą zaś objął w talii i poprowadził, a raczej powlókł, ogrodową ścieżką. Koncentrowałam się na stopach, co pozwoliło mi zauważyć, że wciąż jeszcze mam oba pantofle.

- Klucze?

O cholera. Zupełnie o nich zapomniałam. Podobnie jak o płaszczu.

- Mogę się przespać na tarasie. Wówczas nie trzeba będzie nikogo budzić - zaproponowałam. W tej samej sekundzie towarzyszący mi typek nacisnął dzwonek. Dwukrotnie.

- Twoi rodzice powinni zobaczyć, w jakim stanie wracasz do domu — oznajmił. — Mogło ci się przydarzyć Bóg wie co. Niech się trochę pomartwią.

- Ciiiiiii - syknęłam. - Jak pan sądzi, ile mam lat? Siedemnaście?
- Co najwyżej. - To ci dopiero idiota. — Właściwie mając siedemnaście lat, powinno się wiedzieć, jak bardzo alkohol szkodzi zdrowiu.

W tym momencie w drzwiach ukazał się mój szwagier. Zobaczywszy mnie, otworzył szeroko oczy ze zdumienia. Przy czym to nie ja, a on miał na sobie wyłącznie spodnie od piżamy i pokazywał wyjątkowo owłosiony brzuch.

- Cholera! - wymknęło mi się na jego widok.

Za nim, na schodach, pojawiła się zawiązująca pasek szlafroka Mimi.

- Co się stało?

- Nic! Chciałam tylko pokazać, jak wyglądają urny nocą — wyjaśniłam, co w moich uszach zabrzmiało mniej więcej, jak: głądajunycy.

Mój towarzysz w dalszym ciągu mocno mnie trzymał.

- Chciałbym się dowiedzieć, dlaczego ułatwia jej się dostęp do alkoholu?

- usłyszałam pełne wyrzutu pytanie skierowane do Ronniego. — I po co ten cały zakaz sprzedaży młodzieży alkoholu w sklepach, skoro dzieci mają w domu swobodny dostęp do piwnicy ojca pełnej win?

- Do kolacji wypiliśmy tylko jedną butelkę bordeaux — wymruczał Ronnie. — Rocznik dziewięćdziesiąty ósmy Chateau Ni... Ale, hmm, skąd przyszedł panu do głowy zakaz sprzedaży młodzieży alkoholu? Zachichotałam, lecz spojrzawszy na bladą twarz Mimi, natychmiast umilkłam. Również pozostali spoglą-

dali na nią z powagą. Najwidoczniej byłam jedyną osobą uważającą tę sytuację za zabawną.

- Może pan ją puścić. Zatrószczy się o nią - powiedziała Mimi lekko drżącym głosem.

- Nie sądzę, by była w stanie samodzielnie utrzymać się na nogach. -
Ucisk na moim ramieniu zelżał dopiero wówczas, gdy Ronnie złapał mnie obiema rękami. - Leżała na chodniku! Nie wiadomo, jak długo.

- Jakie to szczęście, że się pan pojawił - Mimi przygryzła dolną wargę. -
Jestem panu dozgonnie wdzięczna. Nie chcę nawet myśleć, co by się mogło stać, gdyby nie pan. — O Boże, czyżby miała łzy w oczach?
Całe wywołane alkoholem rozbawienie nagle się ulotniło, a w jego miejsce pojawiło się nieczyste sumienie. Nawet kot, który przyszedł z bawialni, miał zaszokowany wyraz pyska.

- A, urna! Dziś zamknięte dla zwiedzających! - wymamrotałam zakłopotana. Najwidoczniej nie byłam wystarczająco pijana.

- Przecież mówiłem, że niemal nie można zrozumieć, co bełkocze.

- Dlatego, że mówię po polsku, ty idioto! - Nagle poczułam przyływ okropnych mdłości. Możliwe, że zaraz się zerzygam. Albo padnę trupem. (Stąd ten dramatyczny czas teraźniejszy).

W uszach pojawiły mi się szумы. Prawdopodobnie w tym momencie zaczęły obumierać komórki mózgowe, potrzebne mi do ukończenia szkoły. W takim razie dobrze, że mam już maturę. A poza tym jest mi tak czy siak wszystko jedno, czy teraz umrę.

- Trzymaj ją mocno, Ronnie!

Do mojej świadomości dochodziły bardzo niewyraźne głosy. Czułam się fatalnie. I nie było mi już wcale wesoło. Oblałam się zimnym potem, dosłownie tryskają-

cym ze wszystkich porów mojego zdezynfekowanego od środka ciała.
Wzmógł się szum w uszach. A zaraz potem przestałam słyszeć
cokolwiek.

Myślałam, że umarłam. A może jedynie usnęłam?

Postępuj, jak zegar słoneczny,

licz wyłącznie szczęśliwe godziny.

Powiedzenie z albumu poetyckiego.

Nie mam pojęcia, czyje. Możecie spokojnie podać mnie do sądu!

Stosownie do czasu,

który upłynął od 21 października:

0,2 szczęśliwych godzin.

Pozytywna strona:

Jeśli tak dalej pójdzie,

to na wieki pozostanę młoda.

Wcale nie zamierzam gloryfikować nieszczęścia, które na mnie spadło, ale muszę stwierdzić, że ma ono też swoje dobre strony. Po pierwsze, nie trzeba się o nic troszczyć. Po drugie, można sobie pozwolić gwizdać na wszystko. Innymi słowy: w momencie śmierci męża można sobie na wiele pozwolić. Nagłej i niespodziewanej, jak to się ładnie zwykle mówi. Pograżona w rozpacz wdowa może być na przemian okropna, podła i grubiańska albo też przez cały dzień apatycznie spoglądać w dal pustym wzrokiem. Nie musi myć włosów, czesać się ani malować. W środku *Wiadomości* ma prawo cisnąć butem w prezentera (to znaczy w ekran telewizora). Może pójść do łóżka o jedenastej przed południem, unikając przy tym wszelkich wyrzutów. A jeśli nagle wpadnie na pomysł przycinania żywopłotu, natychmiast z entuzjazmem wpycha się jej w ręce elektryczny sekator. I jeśli nawet przy okazji uszkodzi magnolię, zdecydowanie nie wchodzić w skład żywopłotu,

nikt nie będzie jej robił z tego powodu żadnych wyrzutów. Może być egoistyczna, marudna, niesprawiedliwa, po prostu obrzydliwie wstrętna, a mimo to wszyscy będą dla niej wyrozumiali. Nawet wówczas, gdy się tak upije, że zaśnie na stojąco i nawet nie zauważy, że kompletnie zarzy... - eeee, to znaczy zabrudziła cały parkiet wymiocinami.

Po moim pijackim ekscesie siostra ze szwagrem troszczyli się o mnie jeszcze bardziej. Również rodzice dzwoniący dwa razy dziennie, by się dowiedzieć, jak się czuję, nie powiedzieli mi ani jednego marnego słowa. Za to nieodmiennie powtarzali, jak bardzo mnie kochają i jak bardzo jestem dzielna. Tak, moja mama odważyła się nawet na teatralne zdania w stylu: „Wiem, mój skarbie, że to najczarniejsze godziny w twoim życiu, ale uwierz mi, że kiedyś znowu zaświeci słońce”. A co do mojej matki- jeśli w jakimś serialu ktoś powiedziałby coś podobnego, zaraz przełączyłaby na inny kanał.

Jedyną osobą, której najwidoczniej wcale nie poruszyła moja osobista tragedia, był pan Pączkogłowy. AJe mogło to równie dobrze wynikać z faktu, iż nic o niej nie wiedział. Ronnie i Mimi otrzymali list od jego adwokata, w którym stwierdzano, że „obecnie mieszkająca u nich nielegalnie i pracująca na czarno osoba” wyzwiała go od „pączkogłowych”, grożąc mu przy tym piłą łańcuchową. Ponadto pan Pączkogłowy stwierdzał, iż zastrzega sobie prawo wniesienia pozwu sądowego z powodu doznanej obrazy, zamiaru uszkodzenia ciała oraz pracy na czarno i to zarówno w stosunku do mnie, jak i do Ronniego i Mimi

Początkowo Ronnie i Mimi wcale nie zamierzali pokazać mi tego listu, by mnie niepotrzebnie nie irytować. Lecz mnie zirytował wyłącznie fakt, iż pan Pączkogłowy zamiast Pączkogłowy zrozumiał Pączkogłowy. Co za skończony idiota. Mimi przekazała wspomniane pismo

mojemu adwokatowi, reprezentującemu mnie nie w aferze wywołanej przez pana Pączkogłowego, lecz w sprawie kamienic z mieszkaniami do wynajęcia, tabakierok i żyrandoli, wniesionej przez adwokata brata mojego zmarłego małżonka.

Jak już wspomniałam, będąc zrozpaczoną wdową, mogłam pozwolić sobie niemal na wszystko. Mimo to Mimi i Ronnie zmuszali mnie po aferze z winem i maleńkim intermezzo na chodniku do pójścia do psycho-terapeutki. Ponoć była znakomita i swego czasu bardzo pomogła Ronniemu „wyjść z ciężkiego kryzysu”.

— Nie wiedziałam, że przeżywałeś ciężki kryzys — zdziwiłam się. Podobnie jak nigdy bym nie przypuszczała, że ma aż tak owłosiony brzuch.

— Ano przeżywałem. Po naszym poronieniu — odpowiedział. - Pani Karcianodomska-Kuracjusz naprawdę okazała się wówczas bardzo pomocna.

Nasze poronienie. Jakie to typowe dla Ronniego, który zawsze mówił: „Jesteśmy w ciąży”. Bez wątpienia był najbardziej kochanym i najwrażliwszym spośród wszystkich otaczających mnie idiotów. Wiedziałam również, że życzy mi jak najlepiej.

Ale mimo wszystko.

— Nie chcę tam pójść. Nie mam dobrego zdania o świrach, a także ludziach o głupich podwójnych nazwiskach paplających od rzeczy na temat tkwiącego we mnie dziecka i za wcześnie zakończonej fazy analnej. Nie cierpię też na żadną depresję, jestem tylko zrozpaczona po stracie męża!

Po mojej wypowiedzi Ronniemu natychmiast napłynęły do oczu łzy. Pogłaskał mi dłoń.

— Ale to tylko dla twojego dobra, gdy ktoś wskaże ci, jak wyjść z rozpacz. I jak na nowo zacząć żyć. Uwierz mi, wiem, o czym mówię.

- Wydaje mi się, że znowu będę wymiotować - powiedziałam.

Ronnie puścił moją dłoń, by porwać ze stolika paterę na owoce, którą podetknął mi pod nos, czekając, co nastąpi. Tymczasem jabłka i banany pacnęły na podłogę. Mimi wywróciła oczami.

- Mówiłam bardziej w sensie przenośnym — wyjaśniłam. - Tego rodzaju rozmowy przyprawiają mnie o mdłości.

Mimi podniosła rozrzucone owoce.

- Rozmowa z kimś, kto nie tylko rozumie twoją rozpacz, lecz także złość, dobrze ci zrobi.

- Ale ja przecież wcale nie jestem zła - skłamałam. Miałam jedynie często ponadprzeciętną potrzebę dać komuś zupełnie bez powodu w pysk albo rzucać otaczającymi mnie przedmiotami. Potrzebę, nad którą dość ciężko było mi zapanować. Niestety.

- Mężczyzna, którego poślubiłaś, przypadkiem zapomniał za życia poinformować cię, że ma do dyspozycji nie tylko skromniutką pensję docenta, lecz także całkiem spore dochody z wynajmu mieszkań oraz różnorodne lokaty kapitałowe. - W ciemnych oczach Mimi pojawiły się błyski. - I to cię nie wkurza?

A więc o to chodzi. Nie, w tej kwestii wcale nie byłam wściekła.

Wzruszyłam ramionami.

- Zawsze miałam gdzieś pieniądze. Podobnie zresztą jak Karl.

- A więc naprawdę tak sądzisz! -Tak.

- A zatem grubo się mylisz. Czy przypominasz sobie zeszłoroczne Boże Narodzenie? Tak bardzo chciałaś przylecieć do Niemiec, ale twój Karl powiedział, że w tej chwili nie możecie sobie pozwolić na lot. Wtedy tata zapłacił za wasze bilety. — Mimi aż zapieniła się ze złości. - Gdy tymczasem on przez cały czas ten cały siedział na

kupie pieniędzy, nic nikomu nie mówiąc. Jak tylko sobie przypomnę, w jakiej ruderze mieszkaliście w Madrycie, wszystko się we mnie przewraca. A to maciupęńkie mieszkanko w Londynie z niedziałającym ogrzewaniem. *Bohémien*] Śmiać mi się chce. To nie była żadna *Bohémien*, tylko po prostu skrajne skapstwo.

- Mimi! — szepnął błagalnie Ronnie. Ale gdy moja siostra już raz wybuchła, nie sposób ją było powstrzymać.

- Również nie wspomniał ci ani słowem, że biorą się z bratem za łby z powodu całkiem sporego spadku -kontynuowała niewzruszenie. - Niby dlaczego? W końcu mogło ci przyjść do głowy, żeby ci wreszcie kupić nowy płaszcz zimowy.

- Miałam wszystko, co mi było potrzebne.

-Tak, jakie to nad wyraz praktyczne dla Karła, że nie musiał sięgać do kieszeni w celu zaspokojenia twoich skromnych potrzeb. Pieniądze taty również brał bez mrugnięcia.

-A może to ty powinnaś pójść do psychoterapeuty! - zaproponowałam. - Bo to ty najwidoczniej jesteś wściekła na Karła.

-Tak - potwierdziła Mimi. - I to jak! Ale to nie ja byłam jego żoną. A w stosunku do mnie zachowywał się jak Ebenizer Scrooge.

Ronnie śledził naszą wymianę zdań z rosnącym niepokojem, lecz Mimi po prostu całkowicie ignorowała jego wiele mówiące spojrzenia.

- Mimi, nie wiem, czy to odpowiedni moment, mówić teraz o eeeeeh słabostkach Karła - przerwał podniesionym głosem. — Obecnie chodzi jedynie o to, by Carolin znalazła odpowiednią pomoc. A psychoterapeutyczne rozmowy stanowią, jakkolwiek by było, dobry początek.

Mimi ponownie prychnęła ze złości, ale już nic więcej nie powiedziała.

- Proszę cię, Carolin - Ronnie zwrócił się teraz do mnie. - Przynajmniej spróbuj choć raz. Postanowiłam zmienić taktykę. -Dobrze - zgodziłam się. - Pójdę, ale obecnie wszystko to jest takie skomplikowane ze względu na ubezpieczenie zdrowotne, miejsce zamieszkania, a głównie ze względu na brak skierowania...

Twarze Ronniego i Mimi rozjaśnił uśmiech. W tym momencie uświadomiłam sobie, że przegrałam z kretelem. Właściwie powinnam się była tego spodziewać. Podczas gdy spędzałam dni na mizantropijnych przemyśleniach („wszyscy to idioci!"), bezsensownym grzebaniu w kartonach do przeprowadzki, w których przywieziono nasze rzeczy (w poszukiwaniu pozłacanej tabakierki) i testowaniu działania wina na mój organizm (co wcale nie jest takie znowu złe - w każdym razie pod warunkiem, że się wie, kiedy skończyć), moja obrotna siostra wzięła sprawy w swoje ręce, załatwiając pogmatwane kwestie mojego ubezpieczenia zdrowotnego. I gdy ja odsypiałam do reszty gigantyczny rausz, Ronnie załatwił mi u lekarza rodzinnego skierowanie na psychoterapię, ustalając termin z jakąś świruską. A tak na marginesie, był to ten lekarz rodzinny, którego nigdy nie widziałam na oczy i który wypisał mi receptę na leki uspokajające, jak również pigułki rzekomo poprawiające nastrój. Jeszcze nie zrealizowałam tej recepty. Poza tym w pierwszej kolejności chciałam wypróbować, jak na poprawę nastroju działa wino.

No tak, trzeba przyznać, że zakończenie tego autoeksperymentu nie było wcale takie złe. Jego punktem krytycznym i zarazem uwieńczeniem było rozłożenie się po pijanemu na chodniku, czego wcale nie planowałam. Stąd też zrozumiałam, że zdaniem postronnych musiałam sprawiać wrażenie osoby na gwałt potrzebującej psychoterapii. Lecz mimo to nie chciałam się jej poddać. A już

stanowczo nie u osoby nazywającej się Kerstin K.

Karcia-nodomska-Kuracjusz.

— Już teraz jej nie cierpię — oświadczyłam Mimi, mając przed oczami tabliczkę ze stali szlachetnej z wygrawerowanymi licznymi „K”.

— Nic nie szkodzi - odpowiedziała, po czym energicznie wepchnęła mnie do środka. Zawlokła mnie przed te przekłete drzwi, najwyraźniej chcąc się upewnić, że na dosłownie ostatnich metrach nie zrobię zwrotu w tył. -Gdybyś mnie potrzebowała, znajdziesz mnie w sklepie. I wyłącz komórkę.

Pani Karcianodomska-Kuracjusz nie zaproponowała mi położenia się na kozetce. Siedziałyśmy głównie twarzą w twarz po przeciwnych stronach biurka, jakby to była rozmowa kwalifikacyjna o pracę. Na biurku stały oprawione w ramki zdjęcia mężczyzny, małego chłopca, kudłatego psa i jej samej. By móc spojrzeć na te wszystkie fotografie, musiałam się trochę powyginać, gdyż stały do mnie tyłem.

— Śliczny — zauważyłam, choć dzieciak miał głowę w kształcie fasoli i do tego świńskie oczka.

Pani Karcianodomska-Kuracjusz przejechała ręką po włosach, uśmiechając się z dumą.

— Mój synek, Keanu.

Mój Boże w niebiesiech. Keanu z jasnoblonde fryzurą, jakby go strzygli po uprzednim włożeniu garnka na głowę. Keanu

Karcianodomska-Kuracjusz. Co wyrośnie z tego biednego chłopca?

Pani Karcianodomska-Kuracjusz jeszcze przez chwilę patrzyła zamyślona na zdjęcie synka, po czym zwróciła się do mnie:

— Pani szwagier powiedział mi, że pani mąż niespodziewanie zmarł na atak serca. To okropny cios dla pani. Podczas psychoterapii będziemy rozmawiać o traumie. To bardzo dobrze, że szukała pani pomocy.

Tak, chętnie w to uwierzę.

- Z pewnością dużo pani płacze.

Skinęłam głową. Tak, dużo płaczę. Ale przed panią

Kar-cianodomską-Kuracjusz nie uronię ani jednej łzy, to pewne. Pomimo że na wyciągnięcie ręki położyła na stole naprawdę zachęcające do płaczu pudełko jednorazowych chusteczek.

- Czy mogę zapytać, ile lat miał pani mąż?

- W październiku skończył pięćdziesiąt trzy lata. Na tydzień przed śmiercią.

- Pięćdziesiąt trzy? - Kerstin K. Karcianodomska-Kuracjusz uniosła w górę brwi. Czy w ogóle miała do tego prawo? Każdy terapeuta powinien przede wszystkim nauczyć się kontrolować swoją mimikę. - A pani ma...?

- W kwietniu skończę dwadzieścia siedem. - Ale założę się, ty głupia krowo, że ta informacja znajduje się w mojej karcie.

- A zatem różnica wieku wynosiła... - wsunęła język między zęby i ponownie przejechała dłonią po nienagannej fryzurze.

- Różnica wieku wynosiła dwadzieścia sześć i pół roku — powiedziałam po paru sekundach. Wielkie nieba, to babsko nie potrafi nawet wykonać najprostszego działania matematycznego. Nieprawdopodobne, żeby w tych warunkach była w stanie zrozumieć moje skomplikowane życie duchowe.

- I ile lat byliście państwo razem?

- Pięć. Z czego cztery jako małżeństwo.

- Hmm, hmm. - Sięgnęła po ołówek i coś tam zanotowała, po czym zapytała: - Czy może chciałaby pani porozmawiać o ojcu?

No jasne. Czegoś takiego można się było spodziewać. Młoda kobieta, starszy mężczyzna — to od razu nasuwa ludziom na myśl pojęcie „kompleks ojca”. A w najlepszym razie również „zezwolenie na pobyt stały”.

Żadnych uprzedzeń. Sama mam ich całą masę. Przykładowo w stosunku do psychoterapeutek zagarniających do tyłu włosy w tempie cztery razy na minutę. Albo w stosunku do ludzi nazywających swoje dzieci Keanu i/lub dających im ośmiosylabowe podwójne nazwiska. Poza tym w stosunku do hodowców agresywnych psów bojowych i ludzi myjących samochody dwa razy w tygodniu. Ale też trzeba sobie uzmysłwić, że

pochopne sądy i uprzedzenia mogą mieć niewiele wspólnego z prawdą czy rzeczywistością. Przede wszystkim, jeśli ktoś uważa siebie za terapeutę.

Nie mam żadnego kompleksu ojca i nigdy takiego nie miałam.

Wysłałam za męża z miłości.

Pani Karcianodomska-Kuracjusz westchnęła, zapewne dlatego, że nic nie powiedziałam. Terapeutom nie wolno wzdychać! Co zrobi w następnej kolejności? Wywróci oczami? Z pewnością była nowicjuską. Albo po prostu idiotką. To zapewne dlatego Mimi i Ronniemu tak szybko udało się zdobyć u niej termin wizyty.

- A może, pani Schütz, raz jeszcze zastanowimy się wspólnie, z jakiego powodu się tu pani znalazła.

— Z pewnością nie z powodu mojego ojca — odpowiedziałam, czując nagłą potrzebę jego obrony. — Sądzę, że mówię w imieniu całego swojego rodzeństwa, że nie jest on tego rodzaju ojcem, z powodu którego można by się nabawić jakichkolwiek kompleksów. To kochany, przyjazny, nieco zamknięty w sobie utzędnik ministerialny w stanie spoczynku. A tak w ogóle jestem za tym, żebyśmy przeskoczyły moje dzieciństwo, gdyż nie ma w nim nic takiego, co miałoby wpływ na moją obecną sytuację lub jej dotyczyło. To nie ma z nią nic wspólnego. Mam na myśli z psychoterapeutycznego punktu widzenia.

Pani Karcianodomska-Kuracjusz bawiła się ołówkiem.

- A może zechciałaby mi pani opowiedzieć, dlaczego zakochała się pani w mężu? - dokładnie zauważyłam, jak zadając to pytanie, usiłowała ukryć ciekawość w głosie i z jakim wysiłkiem nadawała mu profesjonalny, pełen dystansu ton.

Nic ci do tego. Ale nie mogłam przecież siedzieć tu, milcząc przez cały czas jak uparty dzieciak, zastanawiając się, jakie może być drugie imię pani Karcianodomskiej-Kuracjusz. (Kremhilda? Kunegunda? Musiało być jeszcze bardziej okropne niż Kerstin, gdyż w przeciwnym razie nie uznałaby za konieczne ograniczyć go do wyłącznie pierwszej litery). Na ścianie za jej plecami wisiał zegar, którego wskazówka minutowa niemal stała w miejscu. W końcu więc zaczęłam rzeczowo:

-Wyjątkowo dużo studentek kochało się w Karlu. Wykładał historię sztuki i na jego seminariach zawsze był tłum. Był, był po prostu bardzo... charyzmatyczny. A przy tym niekonwencjonalny, mądry i dowcipny. Poza tym naprawdę znakomicie wyglądał i miał doskonałą prezencję. Lecz to nie był powód, dla którego się w nim zakochałam.

-Nie?

-Nie!

Odczekała chwilę, czy przypadkiem nie zacznę mówić sama z siebie, a że nic takiego nie miało miejsca, zadała mi pytanie:

- Dlaczego się pani w nim zakochała?

- Gdyż był to pierwszy mężczyzna, który się mnie nie bał.

- Och, to brzmi interesująco. — Jej brwi ponownie powędrowały do góry, co nadało jej twarzy nieco szyderczy wyraz. — Czy nie zechciałaby pani wyjaśnić tego trochę bardziej szczegółowo?

Usiadłam prosto, podnosząc brodę.

-Mój iloraz inteligencji wynosi 158. Mając szesnaście lat, zdałam maturę.

W wieku dziewiętnastu lat skończyłam geofizykę i meteorologię.

Mężczyźni, których wówczas poznałam, byli tym wszystkim, jak by to powiedzieć... przerażeni. - I do tego tacy antyerotyczni. Co prawda mężczyźni zawsze twierdzą, że inteligencja kobiety jest dla nich

niezmiernie ważna, ale mówiąc to, uważają, że kobieta nie powinna być bardziej inteligentna od nich. A w każdym razie nie na tyle, by można to było zauważyć.

Pani Karcianodomska-Kuracjusz spojrzała na mnie nieufnie.

Najwidoczniej nie sprawiałam w jej oczach wrażenia kogoś z ilorazem inteligencji 158. Zastanawiałam się, czy powinnam jej powiedzieć o instrumentach muzycznych i o pięciu językach. Ale wówczas zapewne znowu wetknęłaby nos w moje dzieciństwo w nadziei, że być może natknie się na taką czy inną małą dziecięcą traumę. Jak powszechnie wiadomo, wszystkie normalne, bardzo zdolne dzieci uczą się grać na skrzypcach i mogą też uczyć się chińskiego. Natomiast ja grałam na mandolinie i klawesynie, gdyż ten właśnie instrument otrzymany w spadku po ciotecznej babce, Elfrydzie, ozdobił nasz pokój dzienny.

Natomiast nauczycielka gry na mandolinie chodziła z mamą na gimnastykę leczniczą kręgosłupa. Tak się złożyło, że nauczycielka od mandoliny była z pochodzenia Polką, zaś nauczyciel gry na klawesynie, którego udało się pozyskać mojej matce, pochodził z Korei. A zatem, by wykorzystać mój zdecydowanie niedociążony mózg i nie nudzić się na lekcjach muzyki, nauczyłam się przy okazji - tak trochę dla zabawy - równocześnie polskiego i koreańskiego. Zaznaczam, że zrobiłam to wcale nie dlatego, żeby zrobić z nich w dorosłym życiu jakikolwiek użytek. Za przemawiało jedynie to, że znajomość obu tych języków zawsze robiła wrażenie na ludziach.

Pani Karcianodomska-Kuracjusz chrząknęła. Ja natomiast stwierdziłam, że jak na jeden raz, to wywarłam na niej wystarczające wrażenie.

- I skończywszy geofizykę oraz metologię, zaczęła pani studiować historię sztuki i wtedy zakochała się pani w swoim profesorze?

- To się nazywa meteorologia - sprostowałam. - Nie, po tych obu kierunkach poszłam na prawo, gdzie poznałam Leona, mojego pierwszego prawdziwego chłopaka.

- I ów Leon nie bał się pani inteligencji? — W jej głosie ponownie pojawił się lekko kpiący ton.

- Nie, bo nic o niej nie wiedział. — I żeby tę nieprzyjemną część historii mieć już za sobą, nie czekając na jej kolejne pytanie, dodałam: — Byliśmy razem przez parę miesięcy do momentu, aż przedstawił mnie swojemu ojcu. I to był właśnie Karl.

- Ale chyba nie ten Karl, którego pani później poślubiła? - Tym stwierdzeniem pani Karcianodomska-Kuracjusz potwierdziła moje wcześniejsze przypuszczenia: była skończoną idiotką.

- Nie, to był tylko jakiś tam sobie Karl, o którym pani opowiadałam po to, by jakoś tam spędzić czas - wyjaśniłam. - Wie pani, jakie było motto życiowe Karla? *Trzymaj się z dala od idiotów*. Mówił, że to jedyna reguła, którą trzeba w życiu stosować, by być szczęśliwym. Być może miał rację. A ja jestem tak bardzo nieszczęśliwa, gdyż od czasu jego śmierci nie udaje mi się trzymać się z daleka od idiotów.

Pani Karcianodomska-Kuracjusz spojrzała do notatek.

- A zatem, czy dobrze panią zrozumiałam? Pani mąż był ojcem pani pierwszego chłopaka?

Moja ty święta cierpliwości, nie opuszczaj mnie!

- Tak, dobrze pani rozumiała. Zerwałam z Leonem, po czym pojechałam z Karlem do Madrytu. Akurat tam zaproponowali mu profesurę. Pobraliśmy się rok później.

Pani Karcianodomska-Kuracjusz przez dobrą chwilę potrząsała głową, przypominając w tym jamnika z ruchomym łbem, jakie z reguły

umieszcza się za tylną szybą samochodu. Zżerała ją potworna ciekawość, co wyraźnie było widać. Dwukrotnie przymierzała się do zapytania mnie o to, co ją tak naprawdę interesowało, lecz za każdym razem nie była w stanie dokończyć zdania.

— Jak zatem jego... mam na myśli... własny syn... i pani... mam na myśli... prywatne otoczenie...? Czy nikt... czy wszyscy nie... nie byli...? Ależ tak! Tylko Bóg jeden wie, jak wszyscy byli potwornie zszokowani! Moja rodzina, jego rodzina, jego przyjaciele - to spowodowało potworne oburzenie. Najbardziej dotknęło to rzecz jasna biednego Leona, którego stosunki z ojcem i tak już były dostatecznie napięte. Lecz wobec pani Karcianodomskiej-Kuracjusz zachowywałam się tak, jakbym nie pojmowała, co tak naprawdę chciała wiedzieć i co ją tak bardzo rajcowało.

- Karl oprócz tego, że wykładał na uczelni, był jeszcze biegłym ekspertem z dziedziny sztuki, pracującym na zlecenie licznych muzeów, galerii i domów aukcyjnych — rozpoczęłam. — Przez dwa lata mieszkaliśmy w Madrycie, skąd przenieśliśmy się do Zurychu. A stamtąd do Londynu, gdzie Karl zmarł. - Zrobiłam krótką przerwę i spojrzałam na zegarek. — Dokładnie przed czterema tygodniami, trzema dniami, dwudziestoma trzema godzinami i czternastoma minutami. Albo jak kto woli przed dwudziestoma siedmioma milionami dwustu sześćdziesięcioma tysiącami i czterdziestoma sekundami.

Pani Karcianodomska-Kuracjusz spoglądała na mnie, mrużąc oczy. A następnie przytaknęła, jakby sama dokonała w głowie stosownego przeliczenia. Rzecz jasna

nie mogła sprawdzić, czy podany przeze mnie wynik był prawidłowy, gdyż nie była nawet w stanie wyliczyć różnicy pomiędzy pięćdziesiąt trzy i dwadzieścia sześć. Jednak w tym momencie mnie zaskoczyła.

- Proszę mi opowiedzieć o ostatnim dniu waszego wspólnego życia.

Ostatni wspólny dzień... ostatni dotyk, ostatni pocałunek, ostatnie spojrzenie, ostatnie słowa... Łzy trysnęły mi z oczu, zanim mogłam temu w jakikolwiek sposób zapobiec.

A pani Karcianodomska-Kuracjusz podsunęła mi pudełko z jednorazowymi chusteczkami do nosa.

Żyj tak, jakby każdy dzień miał być tym ostatnim.

Mądrość kalendarzowa,
prawdopodobnie skradziona plemieniu Indian Hopi
albo pochodząca z jakiejś innej kultury,
nieposługującej się kartami kredytowymi,
których limit można przekroczyć po to,
by raz jeszcze móc porządnie zaszaleć
— w ostatnim dniu.

- Czy jest jeszcze kawa? - zapytał Karl.

Pokazałam brodą na dzbanek, nie odrywając oczu od gazety. W „Observerze” był artykuł na temat studium analizującego zachowania par, w którym stwierdzano, że małżonkowie średnio zamieniają ze sobą w ciągu całego dnia poniżej czterystu słów. Z czego trzysta pięćdziesiąt, jak potwierdzały przeprowadzone badania, wypowiedzianych jest przez żonę. Najczęściej używane słowo to „herbata”. Naprawdę, to nie żart. Zaraz po nim następuje „i” a następnie „czy”. Na przykład: „Czy możesz zamknąć drzwi?” albo „Czy ty mnie w ogóle słuchasz?”.

A jeśli chodzi o herbatę - to słowo króluje tylko dlatego, że jesteśmy przecież w Anglii. Karl zwykł powtarzać, że miłość Anglików do herbaty pojmuje się dopiero wówczas, gdy spróbowało się ich kawy. Co prawda ani on, ani ja nie braliśmy udziału w tych badaniach, ale jestem całkowicie pewna, że zamieniamy ze sobą znacznie

więcej niż czterysta słów. I do tego to on więcej mówi niż ja. Mimo to postanowiłam, tak dla zabawy, policzyć raz wypowiedziane przez nas słowa. Mam słabość do liczb, którą skrętnie ukrywam. Liczę wszystko, co możliwe: psy, dzieci w szkolnych mundurkach, kołatki na drzwiach, autobusy piętrowe. A teraz też słowa.

O ósmej byliśmy po śniadaniu, przeczytaliśmy „Observera” i zamieniliśmy ze sobą siedemdziesiąt słów.

Pytanie „Czy jest jeszcze kawa?” zawiera dokładnie cztery słowa. A Karl zadał je już dwa razy. (Mieliśmy włoską kawę).

- Ogrzewanie w dalszym ciągu nie działa. - To kolejnych sześć słów, które wypowiedziałam, szczękając z wyrzutem zębami. - A przecież chodzi tylko o jeden zawór.

- Wiem, dozorca to niekompetentny, głupi safandu-ła. - Znowu sześć. - Dziś wieczorem ponownie zadzwonię do niego. To czasami piekielnie denerwujące, mówić perfekcyjnie po angielsku, nie znając przy tym ani jednego naprawdę siarczystego przekleństwa.

- Ale niekompetentny, głupi safanduła to już jest coś - zauważyłam.

- I tak tego nie zrozumie.

- To może *motherfucker* - zaproponowałam.

- W żadnym wypadku. Ten facet jest dwa razy wyższy ode mnie i trzykrotnie szerszy.

W milczeniu szczękałam zębami. Gdy wprowadziliśmy się tu przed ośmioma tygodniami, panowały letnie temperatury, ale w międzyczasie nastąpiła jesień. O ile z typową angielską pogodą panującą na zewnątrz jakoś tam mogłam dojść do ładu, o tyle w domu chciałam, żeby było ciepło i przytulnie. Niestety, w tym mieszkaniu było to całkowicie niemożliwe: jeśli tylko odkręciło się ogrzewanie w pokoju dziennym, to kaloryfer w kuchni stawał się zimny jak lód i na odwrót. A w łazience ogrzewanie wcale nie działało.

-Wiesz co? Będę się zwracać do niego po prostu cieć. To najbardziej obraźliwe słowo, jakie mi w tej chwili przychodzi do głowy.

Zachichotałam.

-Tak, dokładnie. Panie... Panie... Panie ciecium! No, panie ciecium!
Karl wstał i poszedł umyć zęby. Nie musiał tego specjalnie oznajmiać, gdyż taki miał zwyczaj, o czym doskonale wiedziałam. O wpół do dziewiątej wymieniliśmy ze sobą dalszych dwanaście słów.

- Muszę już iść. Do zobaczenia - powiedział, całując mnie na pożegnanie.
- Zabierz śmieci i wrzuć je do kubła. - To moje słowa. Do tej pory żałuję, że pożegnałam go tym właśnie zdaniem, gdyż wówczas ostatni raz widziałam go żywego. Wciskając mu do ręki worek ze śmieciami, dotknęłam go przy tej okazji. Po raz ostatni za życia. Jednakże nie były to ostatnie słowa, jakie ze sobą zamieniliśmy. Koło południa zadzwonił do mnie na komórkę i zapytał o hasło dostępu do naszej skrzynki pocztowej na Yahoo. Byłam wtedy na Oxford Street u Marksa i Spencera, gdzie zamierzałam kupić sobie ciepłą bieliznę z angory i grube skarpetki. A może nawet i wełniany szalik oraz rękawiczki bez palców, żebym nie marzła podczas pisania. Pisałam wtedy pracę magisterską. Trzecią z kolei.

- Wu gie be gie wu es wu gie te - wyrecytowałam. Litery tworzyły jedno słowo.

- Czy to po polsku? - Karl znał kilka języków, lecz nie było wśród nich polskiego. Dlatego od czasu do czasu robiłam notatki w kalendarzu właśnie w tym języku. Po to, żeby się z nim trochę podrażnić. Ostatni raz zrobiłam to czternastego października, pisząc: „Wszystkiego naj-

lepszego z okazji urodzin", co Karl przekreślił i nabazgrał na dole: „W żadnym wypadku nie pójde w dzień urodzin do żadnego urologa z żadnym sprzedawcą padliny!!!”.

- Duże W, małe G, małe B, małe G, duże W, małe S, małe W...

- Wielkie nieba, Carolin - przerwał mi. - Jak można zapamiętać coś takiego, nie mając mózgu jak komputer?

- Przecież to całkiem proste - zauważyłam.

- Proste to kaczeniec - stwierdził. - Bezsensowny rząd wymieszanych ze sobą dużych i małych liter, które tylko...

Ostatnie słowo przytłumił hałas silnika przejeżdżającego autobusu. Mimo to kontynuowałam wyliczankę:

- G, B, gie...

- Duże czy małe? I co ma znaczyć to monotonne zawodzenie?

- No dobra! - Rozejrzałam się wokół i ścisząc głos, zaczęłam szeptać jak spiskowiec: - Wówczas gdy bębenek gra, wszyscy stoimy w gotowości tak.

- Co takiego?

- Wówczas gdy bębenek gra, wszyscy stoimy w gotowości tak! - Teraz śpiewałam, ignorując rzucane przez ludzi zdziwione spojrzenia. - Kolonia AlaaP, Alaaf Kolonia, Alaaf! Alaaf zawsze z dużej.

- Carolin, czy musisz mnie martwić? Czy to znowu nagła tęsknota za domem?

-To kod! To pierwsze litery słów refrenu piosenki karnawałowej!

-Aha, rozumiem. Wcale nie takie głupie. Totalnie stuknięte, ale niegłupie.

- Zapisaleś?

- Jak to leciało? Gdy bębenek gra? Duże G, małe b, małe G... Rany boskie, kto zna tę pokręconą piosenkę?

* Błazeńskie gwarowe pozdrowienie karnawałowe używane wyłącznie w Kolonii i tylko w czasie karnawału (przyp. tłum.).

Niemal odebrało mi mowę.

- Wówczas gdy bębenek gra!!!! To przecież zna każdy. Nawet ty, Karl. Przecież wychowałeś się w Kolonii i mieszkałeś tam co najmniej przez dwadzieścia lat.

-Zakładam więc, że to piosenka karnawałowa. W czasie karnawału zawsze wyjeżdżaliśmy z rodzicami na urlop. I jestem im za to naprawdę wdzięczny. Karnawał to coś dla... - Znowu jego słowa zagłuszył warkot silnika autobusu.

- Dlatego i pomimo to wszyscy znają tę piosenkę. -Ale nie ja. Bogu niech będą dzięki. Przyślij mi, proszę, SMS-a. Gdy tylko go dostanę, zmienię hasło na kaczeniec. I wszystko jedno, co na to powiesz.

- Zostawimy katedrę w Kolonii - powiedziałam. -To chyba musisz znać? To nasze hasło na Amazonie. Duże Z, małe K...

- Gdybyś teraz mogła być tak dobra...

- Więc zostajemy przy tym? Znakomicie. -Catolin! Śpieszę się. Przyślij mi, proszę, SMS-a

z hasłem. - Karl odłożył słuchawkę, zanim jeszcze zdążyłam zanucić „Karawana ciągnie dalej!”.

To były ostatnie słowa, jakie zamieniliśmy ze sobą.

Ostatni SMS, który Karl otrzymał ode mnie, brzmiał: „Wówczas gdy bębenek gra, Wszyscy stoimy w gotowości tak. Superodjazdowa koza? Przyznaj, proszę”.

A Karl odpowiedział: „Niech będzie: tak, jesteś su-perodjazdową kozą”. Było dokładnie wpół do pierwszej. O wpół do drugiej Karl miał się spotkać na Saint John Street w wietnamskiej restauracji na obiedzie z pewnym właścicielem galerii. Ale tam nie dotarł, gdyż w taksówce na rogu Ecke Farringdon Road i Charterhouse Street dopadł go zawał serca. Taksówkarz zareagował wzorowo. Tak szybko, jak tylko to było możliwe, pognał do najbliższego szpitala

Saint Bartholomew's Hospitals, gdzie po kilku nieudanych próbach przywrócenia Karla do życia stwierdzono jego zgon.

Jeśli policzyć nasze SMS-y, to w tym dniu zamieni-ismy ze sobą czterysta jedenaście słów, przy czym dwukrotnie *motherjucker* i kaczeniec. Czterokrotnie bębenek Za to ani razu nie padło słowo herbata. Ani razu też nie powiedziałam mu „kocham cię”. Czułam pewien rodzaj wewnętrznego zadowolenia, że nie mieściliśmy się w ramach studium z „Observera”.

Wolałabym myśleć o czymś innym, gdy tak patrzyli na martwego Karla i głaskałam jego zimną rękę O czymś mądrzejszym, głębszym, wysoce filozoficznym Możę nawet o czymś choćby trochę uroczyście.

Ja natomiast analizowałam naszych ostatnich czterysta jedenaście słów. Myślałam również o tym, jak to dobrze, że nie jestem taksówkarzem. O tym, że po drodze do szpitala naliczyłam czterdzieści cztery taksówki. Że pielęgniarka nałożyła zbyt dużo różu. Że zmarli wcale nie wyglądają tak, jakby spokojnie spali, lecz jak... trupy.

I ze chętnie porozmawiałabym z Karlem o tym, jakie to wszystko jest dziwne. W końcu zaczęłam mówić, choć pojęłam, że Karl już mi nie odpowie. Że już nigdy nie usłyszę jego głosu. Nawet na automatycznej sekretarce gdyż to moj głos został na niej nagrany.

Przez cztery godziny siedziałam nieruchomo, trzymając Karla za rękę. Czułam się, tak, jakbym znajdowała się pod szklanym kloszem. Do czasu aż pojawiła się Mimi, wzięła mnie w ramiona i płacząc, powiedziała- I to jest właśnie powód, dla którego nie należy wychodzić za starszych mężczyzn.

Później twierdziła, że nigdy nic takiego nie mówiła Cdy wychodziłyśmy, Karl przestał nagle wyglądać jak zmarły. Sprawiał wrażenie, jakby spał

W życiu zawsze spotykamy się dwukrotnie!
Idiotyczny frazes, ale niestety prawdziwy.
I do tego trzeba mieć piekielne szczęście,
żeby się skończyło tylko na tych dwóch razach.

Zanim wyszłam, umyłam twarz w przeznaczonej dla pacjentów toalecie pani Karcianodomskiej-Kuracjusz. Trzeba przyznać, że od chwili, w której z oczu zaczęły mi płynąć łzy, pani Karcianodomska-Kuracjusz nie była już taka sttaszna. Jej niepewność i arogancja rozplýwały się z każdą zasmarkaną przeze mnie chusteczką. Zaś ona sama znalazła dla mnie cały szereg pocieszających i zarazem mądrych słów. O dziwo naprawdę poczułam ukojenie, gdy powiedziała, że nikt nie jest w stanie pomóc mi znieść ból, który czuję. Ona też nie.

- Mogę jedynie pomóc pani przetrwać - usłyszałam. Zabrzmiało to cudownie patetycznie i całkowicie na miejscu. Do tego stopnia, że przytaknęłam całkiem zadowolona. Przetrwać - przecież nie chciałam niczego więcej.

Na końcu ustaliłyśmy, że przyjdę ponownie za dwa dni. Poza tym pani Karcianodomska-Kuracjusz namówiła mnie, żebym rozważyła możliwość zażywania leków psy-

chotropowych, przynajmniej przez jakiś czas. Pokazałam jej receptę, którą wypisał mi lekarz Ronniego, na co ona potrząsając głową, stwierdziła:

- W takim razie równie dobrze może pani pić wino. Przepiszę pani lek nowej generacji. - Wręczając mi receptę, ujawniła raz jeszcze zadziwiająco głęboką przenikliwość, jeśli chodzi o świat moich myśli: - Może to pani spokojnie zażywać. Nie musi się pani bać. Ten lek sprawi, że nie będzie pani aż tak bardzo ciężko i że będzie pani odczuwała mniejszą rozpacz. Nie będzie już pani czuła potrzeby rzucenia się z mostu.

Gdy ponownie znalazłam się na ulicy, zadzwoniła Mimi.

- Czy było bardzo źle?

- Doprowadziła mnie do wycia. Sądzę, że o to jej właśnie chodziło.

- Mam nadzieję, że nie nawymyślałaś jej od idiotek.

- Tylko w myślach. Czy wiesz, jakie imię ta kobieta dała synowi? Keanu!

- Widocznie płodząc to dziecko, myślała nie o mężu, lecz o kimś innym - uznała Mimi. - To przecież dozwolone.

- Ale gdyby każdy tak postępował, wówczas przedszkola pełne by były Bradów, Colinsów, Johnnów i Orlandów.

- I Jude'ów - Mimi uzupełniła moją wyliczankę. - Gdzie jesteś? Wiesz, jak wrócić? Znasz drogę? Przyjdiesz do nas do sklepu?

- Może później. Teraz muszę coś kupić. - Słyszac, jak Mimi wciąga powietrze, dodałam szybko: - W aptece. Poza tym potrzebuję zeszyt, gdyż pani Karcianodomska--Kuracjusz chce, żebym prowadziła dziennik. Zatytułuję go „Jestem otoczona przez idiotów” i potem napiszę na tej podstawie książkę. Coś w rodzaju podręcznika dla zrozpaczonych i zdesperowanych. Co o tym myślisz?

- Znasz dowcip o kierowcy jadącym pod prąd? Właściwie jest to jakby odniesienie do twojego przypadku. A więc Tiinnes i Schal jadą autostradą, słuchając komunikatów nadawanych przez radio kierowców. *Uwaga,*

uwaga, na A4 na odcinku pomiędzy Kolonią-Mehrheim i rozjazdem Kolonia-Wschód jakiś kierowca jedzie pod prąd... Ha, mówią sobie Tiinnes i Schal, tylko jeden! I o co ten wrzask. Przecież są ich całe setki.

- I uważasz, że jestem Tiinnesem i Schalem?

- Dokładnie. Zamień po prostu kierowcę jadącego pod prąd na idiotę, i będzie pasować do ciebie jak ulał.

- Jak chciałabyś się nazywać w mojej książce? Wredna starsza siostra Lucilla?

- Wszystko mi jedno, byle nie Gertruda. Kup sobie więc ten gruby zeszyt. Albo jeszcze lepiej pięć, żeby zadziwić panią Karcianodomską-Kuracjusz, ile masz do powiedzenia, gdy już wreszcie zaczniesz.

- Tak, całe strony zajmie mi opis wrednej starszej siostry Lucilli mocującej mi na głowie wianek uwity ze stokrotek. Czy przypadkiem nie pistoletem na podgrzany klej?

- Halo? Wypraszam sobie, to była taśma samoprzylepna!

- Sznurek do wiązania paczek!

- Taśma samoprzylepna! I zrobiłam to tylko dlatego, że byłaś najbardziej łysem dzieckiem, jakie chodziło po tym świecie, a ja chciałam cię choć trochę upiększyć.

Po tych słowach wredna starsza siostra Lucilla zakazała mi wyłączać komórkę i powiedziała, że mnie kocha.

Odpowiedziałam jej, że też ją kocham. Od czasu śmierci Karla staram się zawsze, by ostatnie wypowiedziane przeze mnie słowa były miłe.

Ostatecznie nigdy nic nie wiadomo.

Zamiast przejechać trzy przystanki tramwajem, przeszłam na piechotę całą drogę z gabinetu pani Karciano-

domskiej-Kuracjusz. Pogoda niekoniecznie nadawała się do spaceru, lecz brnąc w siąpiącym deszczu, byłam zadowolona, że mam nad głową ponure listopadowe niebo. W stanie, w jakim byłam, świecące słońce czy wiosna byłyby dla mnie nie do zniesienia. Podobały mi się również ponure twarze idących z naprzeciwka ludzi, gdyż dawały mi poczucie, iż nie jestem jedynym nieszczęśliwym człowiekiem w tym mieście.

Podsumowując, godzinka ryczenia w gabinecie pani

Karcjanodomskiej-Kuracjusz sprawiła, że poczułam się odrobinę lepiej.

W każdym razie nie miałam już potrzeby rozpychać kuksańcami ludzi na boki, wrzeszcząc przy tym wniebogłosy: „Z drogi! Mój mąż nie żyje!”.

Mimi i Ronnie mieszkali w naprawdę eleganckiej podmiejskiej dzielnicy, której wszystkie ulice nosiły nazwy insektów. Uliczki w tego typu osiedlach szeregowych domków jednorodzinnych są z zasady gęsto naściubione jedna przy drugiej. Po tych wszystkich mrówkach, wazkach i szerszeniach ludziom odpowiedzialnym za planowanie przestrzenne miasta zapewne musiały wyczerpać się pomysły. Wówczas przed przystąpieniem do szukania nowych nazw ulic totalnie się naćpali, po czym sięgnęli po poradnik zwalczania szkodników. Najbardziej podobała mi się „ulica Opuchlaka Truskawkowca”, prowadząca do niedaleko położonej „ulicy Karaczana Brązowopaskowego.

Na początku roku Mimi wraz z kilkoma przyjaciółkami otworzyły sklep z butami na ulicy Kruszycy Złotawki, który nazwały Buciki&Klepciki.

Ludzie sporo spekulowali na temat znaczenia słowa „klepcik”, którego nie znaleźli w słowniku. Stworzyli więc teorię, że chodzi tu o coś w rodzaju wydzieliny tejże kruszycy złotawki, czyli inaczej mówiąc produkt wydalany z bebechów tegoż insekta. Moja matka uznała tę nazwę za tak zagmatwaną, że za każdym razem myliła się, mówiąc „Buciki i Klopsiki” albo „Buciki, Klopsiki i Pulpeciki”. Tydzień temu omal-że nie parsknęłam śmiechem, gdy mnie zapytała, czy nie poszłabym przypadkiem Mimi na rękę i nie popracowała trochę w „Buciku i

Klozeciku", co by mnie z pewnością oderwało od ponurych rozmyślań. Zasadą sklepu było - odejść od głównego, dobrze znanego i powszechnie przyjętego nurtu na korzyść nieznanymi marek butów, nietypowych fasonów torebek oraz ładniutkich ozdóbek dla dziewcząt. Do tego wszystkiego oferowano jeszcze cappuccino na koszt firmy. I zdaje się, że pomysł chwycił. W sklepie zawsze coś się działo. A po buty włoskiego projektanta Francesco Santiniego, na sprzedaż których Buciki&Klepciki miały w Niemczech wyłączność, klientki przyjeżdżały nawet z dość odległych miejsc. Nawet ja, normalnie raczej mało interesująca się modą bądź zgoła wcale, nie mogłam się im oprzeć. Na ostatnie urodziny Mimi podarowała mi parę sandałków Santiniego, zrobioną z turkusowych paseczków. Obcasy miały aż jedenaście centymetrów, ale mimo to jakimś niezgłębionym cudem potrafiłam się w nich poruszać. Poza tym nadawały szczególnego szyku, nawet gdy miało się na sobie najzwyklejsze jeansy i najprostszy T-shirt. Tylko z ich powodu kupiłam turkusową sukienkę Ghosta, a ponadto turkusowe kolczyki, bransoletkę ze szklanymi koralikami w kolorze turkusowym oraz jedwabny turkusowy szal. (Bez obawy, nie zakładałam tego wszystkiego naraz, lecz odpowiednio kombinowałam z innymi elementami). A że o tej porze roku nie mogłam nosić sandałków, Mimi naciskała przez cały czas, żebym zobaczyła sobie zimową kolekcję Santiniego, zanim wykupią wszystkie buty w moim rozmiarze. Ale po co miałam kupować nowe buty, skoro Karl nie mógł ich już obejrzeć, ani mnie w nich podziwiać?

Na Kruszycy Złotawki oprócz sklepu z butami był jeszcze tajwański warzywniak, biuro podróży, punkt lotto z niewielkim asortymentem artykułów piśmienniczych, sklep z odzieżą dziecięcą, piekarnia i apteka, w której zamierzałam zrealizować receptę.

Do apteki razem ze mną wkroczyła cała rodzina, matka z trójką dzieci. Najmłodsze, w wózku, który został przed drzwiami, miało około roku. Po wyjęciu z wózka dzieciak w czapce z daszkiem, zakrywającej uszy i zawiązywanej pod brodą, uczeplił się matczynego biodra. Nawet najpiękniejsze dziecko w takim nakryciu głowy wyglądało, jakby je spoliczkowano, co mnie rozzłościło, gdyż nawet bez tej przekłetej czapki malec nie grzeszył specjalnie urodą. Pomimo że tak paskudnie o nim myślałam, dzieciak uśmiechnął się do mnie radośnie, wypuszczając z buzi smoczek. Schyliłam się, by go podnieść i podać matce, która natychmiast wetknęła go do torebki, wyciągając w zamian nowy. — To zdarza się nieustannie — powiedziała. — Konstantyn, ty mały zdobywco serc. Znowu olśniłeś kolejną dziewczynę swoim zabójczym uśmiechem. — Uśmiechnęła się protekcyjnie. — Normalnie woli blondynki.

Och, mój ty Panie Boże miłosierny.

W odróżnieniu od siostry, której oczy lśniły na widok każdego idiotycznego dziecka czy głupawego niemowlaka i do którego natychmiast zaczynała szczebiotać, nie widziałam w tych małych stworkach niczego cudownego. Nawet w okresie poprzedzającym fazę „wszyscy to idioci”, cechującą się wrogością w stosunku do ludzi. Nawet niezbyt lubiłam Eliane, dziecko mojego brata. Przyczyną takiego stosunku do bratanicy były prawdopodobnie nasze rzadkie spotkania (na całe szczęście) oraz to, że widząc mnie, zawsze albo zaczynała marudzić („Nie chcę tego ciastka, bo jest połamane!”), albo dłubała z pasją w nosie, a następnie zjadała swoje babole („Mamo, Carolin brzydko na mnie patrzy!”). Zaś książeczki, które jej przynosiłam, ciskała lekceważąco w

kat. („Nie chcę książki o żółwiu, tylko bajkę o księżniczce". „Nie chcę książki o księżniczce, chcę o niani, która potrafi czarować". „Nie chcę książki o żadnej głupiej niani, tylko o żółwiu".). Nie pojmuję, dlaczego w tej sytuacji tak uporczywie dawałam jej wciąż książki z obrazkami.

Prawdopodobnie dlatego, że po prostu byłam ciekawa, na co tym razem będzie narzekać i co znowu wymyśli. Albo też chciałam uchodzić w annałach rodzinnych za głupią ciotkę, która daje w podarunku wyłącznie książki. Matka Eliane — moja szwagierka Zuzanna, zwana „Piłą Tarczową" - chętnie dolewała oliwy do ognia pytaniami w stylu: „Dlaczego nie kupiłaś poduszki z żabim królem, jak ci radziłam? Oszczędziłabyś przez to Eliane rozczarowania!". Rzecz jasna uważałam Zuzannę za równie okropną jak jej córka i przynajmniej w tym względzie nie byłam osamotniona. Nikt w rodzinie nie lubił Zuzanny, naturalnie z wyjątkiem mojego brata, który przecież koniec końców się z nią ożenił, co Karl zawsze kwitował: „I gdyby jeszcze można było pojąć dlaczego". Matka w aptece była pod względem osobowości kubek w kubek podobna do Zuzanny, taka jej duchowa bliźniaczka.

- Marlon, nie sądzę, że aptekarz cokolwiek znajdzie, jeśli pomieszasz te przesadnie drogie, rzekomo zdrowe torebki z żelkami — powiedziała łagodnym głosem.

Przy czym słowo „pomieszasz" było w tym przypadku nadzwyczaj łagodnym określeniem na „zrzucenie cukierków na podłogę". A że aptekarz zajęty był obsługiwaniem innej klientki, nie zauważył, co Marlon wyczynia z jego towarem. Dzieciak miał jakieś pięć lat i deptał torebkę z żelkami, ciekawy efektu swoich poczynań.

- Nić nie ścieliło! - zauważył rozczarowany. Co proszę?

- Musisz więc wskoczyć na nią z większą siłą i wtedy strzeli - wyjaśniła matka, po czym odwróciła się do starszej siostry Marlona. - Flavio, pomóż Marlonowi na powrót ułożyć żelki na półce! W przeciwnym razie będziemy musieli w końcu za wszystko zapłacić.

- Ale przecież to nie ja je zrzuciłam — dziewczynka próbowała się wykpić.

-Tylko nie zaczynaj znowu, moja pannico! Natychmiast pozbierajcie te torebki. - Kobieta przerzuciła dziecko z jednego biodra na drugie, a lodowate spojrzenie, którym obrzuciła córkę, przez moment spoczęło również na mnie. Pod jego wpływem omal sama nie padłam na kolana i nie zaczęłam zbierać porzucanych torebek. Ale tylko omal. Tymczasem aptekarz pożegnał się z klientką i spojrział zza lady. Prawdopodobnie był poniżej trzydziestki, młodzieńczy typ o krótko przyciętych, jasnokasztanowych włosach z piegami na nosie.

- Och, a cóż to się stało?

-Tylko niech pan nie udaje, że coś takiego ma miejsce po raz pierwszy - prychnęła na niego rozsierdzona matka trójki potwornych dzieciaków. — Te rzekomo zdrowe słodczyce położono z pełną premedytacją w zasięgu dziecięcych rączek po to, żeby stało się coś takiego, zmuszając w ten sposób rodziców do kupienia tego chłamu.

Aptekarz sprawiał wrażenie osłupiałego. Po chwili jego wzrok spoczął na mnie. Wówczas uśmiechnął się, wyczarowując maluteńkie zmarszczki w kącikach ust.

- Oooo, cześć!

W tym momencie uznałam go za czarującego, w odróżnieniu od niemowlaka w paskudnej czapce.

- Byliśmy pierwsi! - Babsko zagdakało, spoglądając na mnie ze złością. - Nie musi się pani tak gapić.

Mój mąż dopiero co zmarł, ty głupia krowo. A więc mogę się gapić, jak chcę.

Flavia ułożyła pęknięte torebki na regałach.

- Te podeptał Marlon - oznajmiła.

- Niepjawda, to nie ja! Jus byli potajgane.

- Naturalnie zapłacę za nie - warknęło krówsko, zwracając się do aptekarza. - Dokładnie, jak pan to sobie zaplanował!

Aptekarz w dalszym ciągu wyglądał na skonsternowanego, mimo to nie zaprzeczył, lecz zapytał uprzejmie:

- Czy życzy sobie pani coś jeszcze? Nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

- Wszy na głowie - prychnęła w odpowiedzi. - Znowu się rozplenily, gdyż pewni ludzie nie przestrzegają zasad higieny i z zapalem rozsiewają wokół to wstrętne robactwo. Dlatego chcę mieć coś na wszelki wypadek w domu.

Mówiąc to, rzuciła mi ponownie spojrzenie tak ponure, jakbym należała do grupy „pewnych ludzi”. Demonstracyjnie podrapałam się w głowę.

Podczas gdy aptekarz wydawał pani Wszawej odpowiedni preparat oraz stosowny grzebień, Marlon buszował w regale z kosmetykami.

Wstrzymując oddech, czekałam w napięciu, co się wydarzy. Jednak on zadowolili się strzelaniem z palca wskazujacego, który miał imitować pistolet, do opakowania z kremem i wrzasku: „Peng, jesteś martwy!”. A ponieważ Flavia ogryzała paznokcie, matka zamierzała jeszcze kupić gorzki żel do ich smarowania. Wcześniej jednak chciała się upewnić co do jego składu, żądając precyzyjnego objaśnienia. Gdy cała czwórka wreszcie sobie poszła, a aptekarzowi wyraźnie ulżyło, co w pełni byłam w stanie zrozumieć, ponownie przesłał mi promienny uśmiech.

- To ładnie z twojej strony, że wpadłaś.

- Eeehmm. Dziękuję. — Byłam przyzwyczajona, że ludzie biorą mnie za młodszą, niż byłam w rzeczywistości. Powodem był mój niski wzrost, delikatna budowa ciała oraz fakt, iż makijaż nakładałam jedynie wówczas, gdy było to bezwzględnie konieczne. A dziś zdecydowanie nie było. Zaś przytrzymująca grzywkę klamerka z biedronką, którą moja pięcioletnia bratanica zapomniała wziąć od Mimi podczas ostatniej wizyty, z pewnością nie dodawała mi lat, ani też nie nadawała dorosłego wyglądu. - Czy ma pan to na składzie?

Mężczyzna wziął papier, wcale na niego nie patrząc.

- Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie zapytać, jak się czujesz, ale pomyślałem sobie, że możesz poczuć się niezręcznie. Wyglądasz dobrze. Jesteś tylko trochę blada.

- Co proszę?

Czyżby flirtował ze mną? Jeśli tak, to był to doprawdy dziwny sposób.

- No tak, szczerze mówiąc, sam byłem trochę zakłopotany - kontynuował.

- Wprawdzie mogłem być nieco miłszy względem ciebie. Ale wiesz, alkohol i młodzież to temat, który działa na mnie tak, jak przysłowiowa płachta na byka.

- Hmm, a na kogo nie... - wymamrotałam skonsternowana, po czym mnie замуrowało. O nie, tylko nie to! Nagle uświadomiłam sobie, że mam przed sobą faceta, który zbierał mnie z chodnika po eksperymencie z winem. Co prawda nie zapamiętałam jego twarzy, za to on zapamiętał moją. Niestety! Przez parę sekund zmagalam się ze sobą, rozważając, czy przypadkiem nie powinnam odpowiedzieć: „Aaaa, teraz rozumiem! Zapewne pomylił mnie pan z moją siostrą bliźniaczką!”. Ale w końcu odrzuciłam tę myśl.

- To miło z pana strony, że pośpieszył mi pan z pomocą — powiedziałam w zamian. — Dziękuję.

- Złamane serce? - zapytał współczująco.

— Można tak to określić.

— Żaden mężczyzna nie jest wart tego, by się upijać z jego powodu!

No proszę. Klasyczny frazes ku pokrzepieniu serc! Byłam ciekawa, z czym teraz wyskoczy. Ale on już skupił się na mojej recepcie.

— Mam oba te lekarstwa. Ale to prawdziwe siekiery. Dziwię się, że ktoś przepisał ci coś aż tak silnego.

W zamian moglibyśmy zaproponować walerianę albo doskonałą herbatkę z melisy.

— Psychoterapeutka powiedziała mi, że to powstrzyma mnie od rzucenia się z mostu - wyjaśniłam. - Sądzę, że żaden mężczyzna nie jest wart tego, by z jego powodu skakać z mostu, czyż nie?

Aptekarz wydawał się być nieco zmieszany. Pomru-czał coś pod nosem, a następnie zniknął pomiędzy regałami z niezliczoną ilością szuflad, ustawionymi za ladą w równych rzędach. Po chwili wrócił z dwoma małymi opakowaniami. W międzyczasie w aptecce pojawił się nowy klient, starszy pan.

— Potrzebna mi maść - huknął, nawet nie mówiąc „dzień dobry”.

— Zaraz będę do pana dyspozycji — poinformował go aptekarz.

— Boże święty, czy nie ma tu nikogo poza panem? -zapytał starszy pan, wzdychając.

— Niezmiernie mi przykro, ale koleżanka zgłosiła dziś rano, że jest chora i nie może przyjść do pracy.

— W takim razie za chwilę przyjdę raz jeszcze. Ale proszę odłożyć dla mnie tę maść. Spiesz mi się.

— A o jaką maść panu chodzi?

Rencista był już w połowie drogi do wyjścia.

— No tę, którą zawsze biorę w białym opakowaniu z niebieskim napisem! Panie Boże miłosierny. Czarna roz-

pacz w Niemczech z tą nieudolną obsługą! Nie dziwota, że gospodarka coraz szybciej stacza się na dno. - Wyszedł, pomstując.

- Stały klient? - zapytałam.

- Nie. - Aptekarz zaprzeczył. - Ale takich jak on jest na pęczki. Wczoraj był tu taki jeden. Pokazał mi jakąś' kapsułkę i zażądał, żebym mu sprzedał dokładnie to samo, tyle że czerwone. I jak mi przy tym nawymyślał! Słysząc go było aż na drugim rogu ulicy, gdy się wydierał, że jestem najbardziej niekompetentnym pigularzem w całym mieście.

- Wygląda, że to naprawdę praca marzenie.

- Nie jest aż tak źle. Ale przecież nie tylko emeryci mają nierówno pod sufitem. Młodzi ludzie też. W zeszłym tygodniu pewien typek dostał szalu, gdy mu powiedziałem, że nie mamy opakowań z prezerwatywami po sto sztuk. Zastanawiałem się, na co mu, mój ty Boże, aż taka ilość?

- Może chciał zbudować z nich balon. Albo może prowadzi burdel.

- Nie sądzę. Raczej chciał zrobić wrażenie na mojej FTA. Na drugi dzień przyszedł ponownie i tym razem chciał coś na alergiczną erekcję. Zachichotał, patrząc na mnie wyczekująco, czy też się roześmieję. Ale od pięciu tygodni już nie potrafiłam się śmiać. Z wyjątkiem chwili, kiedy byłam zalana w trupa.

- Co to jest FTA?

Westchnął, pakując moje lekarstwa do papierowej torby.

- Gdy się ma złamane serce, nic nie wydaje się śmieszne. Mam rację? A FTA oznacza farmaceutyczno-techniczną asystentkę. Czy twoja rodzina pochodzi z Polski?

- Że co?

- Pytam dlatego, że tamtej nocy cały czas mówiłaś do mnie po polsku.

- Naprawdę?

- W każdym razie twierdziłaś, że to po polsku. Szczerze mówiąc, brzmiało to dla mnie zupełnie jak pijacki bełkot.

Zawstydziłam się, że moje pijaństwo postawiło w tak niekorzystnym świetle polski, rujnując jego reputację, do tego stopnia, że poczułam potrzebę naprawienia złego wrażenia. - Polski jest piękny, melodyjny i bardzo poetycki - powiedziałam tak ostro, jak tylko potrafiłam. - I wcale nie brzmi jak pijacki bełkot. Nie, nie pochodzimy z Polski. Moja nauczycielka gry na mandolinie jest z pochodzenia Polką. Czy chciałby pan jeszcze coś wiedzieć? Albo może powiedzieć coś obraźliwego pod adresem mandoliny?

Potrząsnął głową.

- Właściwie to chciałbym cię tylko trochę rozweselić. Złamane serce! Uffff. Żaden powód, żeby znienawidzić cały świat.

Gdy płaciłam za lekarstwa, spostrzegłam, jak walczy ze sobą. Chrząknął nerwowo. Całkiem wyraźnie chciał mi coś powiedzieć.

- Taka ładna dziewczyna jak ty szybko znajdzie sobie kogoś lepszego. - Powiedziawszy kolejny oklepany frazes, podniósł głowę. Spostrzegłam, że się trochę zaczerwienił.

- Inne matki też mają pięknych synów - zauważyłam bezlitośnie. - I oczywiście znowu coś z klasycznego repertuaru: „Jesteś jeszcze taka młoda. Ciesz się, że masz go z głowy”.

- Nie to miałem na myśli - odparował, mierzając mnie wzrokiem i potrząsając głową.

- Czyżby?

Jego rumieniec przybrał na intensywności.

- Chciałem tylko zwrócić ci uwagę na ulotkę. Te leki nie tolerują alkoholu. Zażyte z nim mogą mieć groźne skutki uboczne.

- Wezmę to sobie do serca. - Postanowiłam, że następnym razem pójde do innej apteki. - Do widzenia.
- Bardzo bym się cieszył - odpowiedział. A gdy już byłam przy drzwiach dodał: - Bezcelne, przekorne dziewczusko.
- Wszystko słyszałam - odparowałam. Po polsku.

*Szczęście to coś, co dostrzegamy
dopiero wówczas,
gdy opuszcza nas z wielkim hukiem.*
Marcel Archard

Aptekacz miał rację. Rzeczywiście zachowywałam się jak bezczelne, przekorne dziewczuszyisko. A co najgorsze: złośliwości wygaduję z pełną premedytacją. Podłość, jeśli się zważy, że w przeszłości byłam taką miłą dziewczynką. Naprawdę! W mojej rodzinie zawsze mówiło się o mnie „nasze malutkie słoneczko”. Prawie nie ma zdjęć, na których bym się nie uśmiechała promiennie. (Miałam nawet dołeczki w policzkach. Czy znikają, jeśli już się ich nie potrzebuje? Czy jest z nimi podobnie jak z dziurkami w uszach, które ponownie zarastają, jeśli nie nosi się kolczyków?)

Ale to było kiedyś. Natomiast dziś jestem w zasadzie potwornie wściekła na wszystkich, którym przypadkowo nie zmarł mąż.

Prawdę powiedziawszy, ta niesprawiedliwa i zupełnie nieuzasadniona złość była lepsza niż tępa obojętność, jaka ogarnęła mnie tuż po śmierci Karła. W ciągu nocy

całkowicie straciłam poczucie czasu i gdyby nie rodzina - rodzeństwo, rodzice oraz mój szwagier o anielskim charakterze - chyba bym tego nie wytrzymała i przepadła z kretesem. Od czasu do czasu jadłam i piłam, co Mimi podetknęła mi pod nos. Czasami zdrzemnęłam się na kilka minut. A czas płynął sobie tak jakoś obok mnie, jakby w innym wymiarze. Ronnie też przyleciał na kilka dni do Londynu. Poza tym przybyli rodzice z Hanoweru. A podczas weekendu wpadł także brat, by pomóc przy pakowaniu rzeczy. Trzeba było zorganizować kremację oraz mszę pożegnalną za zmarłego, wypowiedzieć umowę najmu mieszkania, zlikwidować cały ten kram, no i załatwić transport. Bez Karła pobyt w Anglii nie miał już dla mnie sensu. Wówczas Mimi i Ronnie zaproponowali mi, bym na początek zamieszkała u nich. (Rodzice też chcieli wziąć mnie do siebie. Ale że mieszkali drzwi w drzwi z bratem i jego żoną, Piłą Tarczową, wybrałam - przy całej obojętności na wszystko - mniejsze zło).

Nie musiałam nic robić. Wystarczyło, że od czasu do czasu uniosłam głowę i wydusiłam z siebie „tak” lub „nie”. Więcej ode mnie nie oczekiwano.

W Londynie nie znałam niemal nikogo. Wszyscy, z którymi miałam do czynienia przez ostatnich osiem tygodni przed śmiercią Karla, byli jego znajomymi, przynajmniej kolegami z pracy. Należeli do nich ludzie z Courtauld Institute of Arts*, gdzie wykładał, przyjaciel zatrudniony w domu aukcyjnym Sotheby's, właściciele galerii i pracownicy muzeum. Wszyscy przyszli pożegnać Karla na uroczystość zorganizowaną przez moją rodzinę w moim imieniu. Ten straszny dzień jakoś tam udało mi się przetrwać, mając przez cały czas nierzeczywiste uczucie, jakbym była spowita w gruby kłęb waty.

* Londyńska galeria sztuki europejskiej od renesansu po impresjonizm i postimpresjonizm (przyp. tłum.).

Dopiero wieczorem, gdy Mimi pomagała mi zrzucić z siebie wszystkie te czarne łachy, w które byłam ubrana (w tych dniach nie miałam po prostu siły nawet na rozpięcie choćby jednego guzika), uświadomiłam sobie, że nie pojawił się nikt z rodziny Karla. Przez sekundę pomyślałam, że może zapomnieliśmy ich powiadomić, iż Karl nie żyje. Lecz Mimi zapewniła mnie, że rzecz jasna zawiadomiła ich jeszcze w dniu śmierci Karla (gdy popadłam w swoistą śpiączkę na jawie - nic nie pamiętam z tamtych dni). Dzwoniła do każdego po kolei, a ponadto wysłała wszystkim, którzy znajdowali się w książce adresowej Karla, zaproszenia na mszę, zaczynając od jego dzieci. Niezależnie od tego odbyła długą telefoniczną rozmowę z Leonem, prosząc go, by przyjechał do Londynu i włączył się w przygotowania do ceremonii oraz pomógł w załatwieniu niezbędnych formalności. On jednak stanowczo odmówił.

Żadna osoba na świecie poza mną nie była w stanie pojąć, że nikt z rodziny Karla nie uważał za stosowne wziąć udziału w uroczystości pogrzebowej. Ale tak było naprawdę. Moja rodzina była niemile dotknięta, osłupiała, rozczarowana oraz rozgniewana takim bezdusznym zachowaniem. Ja natomiast gapiałam się tępo w dal baranim wzrokiem, mimochodem licząc róże na poduszkach materiału, którym była obita sofa. (Pięćdziesiąt trzy róże na każdej poduszce, dziewiętnaście pełnych róż i piętnaście połówek na obiciu jednego boku, dwadzieścia jeden całych i jedenaście połówek na drugim. Jak to możliwe? Na każdym kroku, gdziekolwiek by spojrzeć, jakiś niewytłumaczalny fenomen). Ale tak naprawdę ich nieobecność wcale mnie nie zdziwiła. W ostatnich pięciu latach Karl niezbyt często widywał się z dziećmi. Stosunki były skomplikowane i napięte - w dużej mierze z mojego powodu. Leon osta-

tecznie zerwał wszelkie kontakty z ojcem w dniu naszego ślubu. Powody swojej decyzji wyłuszczył w liście, który Karl podarł na strzępy, a następnie cisnął do kosza. Sporo wysiłku kosztowało mnie złożenie ich w całość. Przeczytawszy cały list, ponownie wrzuciłam go do kosza, by Karl nic nie zauważył. Nigdy nie wspomniał ani słowem o jego treści. Ja zresztą też nie. Później zdarzało się, że żałowałam swojej ciekawości, gdyż słowa Leona głęboko zapadły mi w pamięć. *Ze wszystkiego, co do tej pory zrobiłeś matce, ten ostatni afront jest najbardziej bezduszny, najbardziej niesmaczny i najpodlejszy... Życzę ci, żebyś sobie uświadomił, jak bardzo jesteś żalosny jako mężczyzna, żeniąc się dziewczyną porzuconą przez własnego syna. A jeszcze do tego wszystkiego oczekujesz, że rodzina będzie się z tego cyrku cieszyć...*

W tym czasie niemalże nie spałam i w momencie, gdy nadszedł pierwszy list od adwokata wuja Thomasa, byłam tak potwornie przemęczona i udręczona, że czasami, gdy coś mówiłam, co prawda słyszałam własny głos, lecz sądziłam, iż ktoś inny jest ze mną zsynchronizowany. I to nie dlatego, że usta mi się nie zamykały. Wręcz przeciwnie. Poza „tak” i „nie” albo „wszystko mi jedno” nie byłam przeważnie w stanie wydobyć z siebie słowa. Od czasu do czasu apatycznie wykrztusiłam „dziękuję”. Tęskniłam za tym, by móc wreszcie zasnąć. By choć na parę godzin móc zapomnieć, że Karl nie żyje. By choć na parę godzin móc zapomnieć o wszystkim. A równocześnie potwornie bałam się spać.

Ale nawet wtedy, gdy powieki opadały mi ze zmęczenia, nie zapadałam w sen, a w głowie przez cały czas tłukła mi się tylko jedna myśl: Karl nie żyje. Karl nie żyje. Karl nie żyje. Nieżyjenieżyjenieżyje.

Udało mi się zasnąć na dobre dopiero wówczas, gdy zaczęło być ciekawie. Wręcz sensacyjnie. Stało się to w chwili, w której Mimi otworzyła list od adwokata wuja Thomasa i zaczęła go czytać, z oburzenia nie mogąc złapać tchu.

Głosem, w którym brzmiała konsternacja, czytała otrzymane pismo, przy czym ojciec co trochę przeszkadzał jej okrzykami zawierającymi cały szereg wulgarnych, zupełnie nietypowych dla niego wyzwisk.

- Co za impertynencki, pozbawiony wszelkiego szacunku kutas! - wrzeszczał. Matka zaś zaczęła nerwowo szukać środków, jakie zażywał na obniżenie ciśnienia, podczas gdy ja zapadałam się coraz głębiej w poduszki sofy.

.. .ponadto mój Klient uznaje za istotne podkreślić, iż przedmioty wymienione w załączonej specyfikacji stanowią pamiątki rodzinne, które zmarły jedynie przechowywał dla mojego Klienta...

Głowa osunęła mi się na bok, oddech stał się głębszy, a powieki opadły. *Jeśli zmań tydzień jego żona sprzedali niniejsze przedmioty, wówczas muszą oni wypłacić mojemu Klientowi stosowne zadośćuczynienie, odpowiadające pełnej ich wartości.*

- Co za podstępna świnią!! - ryknął rozwścieczony ojciec, na którego ramieniu spoczywała moja głowa. — Nawet nie raczył zjawić się na pogrzebie rodzonego brata, ale za to nie tracąc czasu, pognął do adwokata. Pazerny skunks!

- Carolin? Czyżby spała? Niech ktoś, proszę, zmierzy jej puls!

- Pozwól jej spać - wtrąciła się matka. - Jest wykończona, a to ją dobiło. Czytaj dalej!

Niezależnie od roszczeń żony i dzieci zmarłego mój Klient domaga się następujących przedmiotów stanowiących integralną część majątku... -

Były to ostatnie słowa, które do mnie dotarły. Następne miałam usłyszeć dopiero czternaście godzin później.

Gdy się wreszcie obudziłam, byłam bardziej zmęczona i wyczerpana niż przed zaśnięciem. I równie niezain-teresowana.

Mimi z ojcem zaczęli przeglądać papiery Karla, w wyniku czego stwierdzili, że spadek rzeczywiście istniał. I to w takiej wysokości, że warto było toczyć o niego spór.

Spadek, o którym nie miałam bladego pojęcia, że w ogóle istnieje.

Spadek, którego istnienie z pewnością by mnie zaszokowało, gdybym już nie znajdowała się w szoku spowodowanym śmiercią Karla.

W przeciwieństwie do siostry, która nie bacząc na napomnienia ojca, iż o zmarłych należy mówić wyłącznie dobrze, od momentu wyjścia na jaw wielkości majątku Karla nazywała mojego męża wyłącznie Ebenizer Scrooge lub skapiradło, w dalszym ciągu uważałam go za człowieka zasadniczo hojnego i wspaniałomyślnego. Wbrew twierdzeniom Mimi dotyczącym braku zimowego płaszcza, nor, w których mieszkaliśmy i tym podobnych złośliwości, zawsze żyliśmy dostatnio. Co prawda nasze mieszkania nie były ogromne ani specjalnie luksusowe, ale zawsze doskonale położone, w odpowiedniej dzielnicy, przez co wcale nie tanie. Ponadto należy mieć na uwadze, że miejscem pracy Karla były głównie Zurych i Londyn, miasta, w których życie jest droższe niż gdziekolwiek indziej. Już same przeprowadzki kosztowały majątek. (Spróbujcie kiedyś przeprowadzić się z klawikordem!). A w Madrycie mieliśmy nawet dochodzącą pomoc, señorę Seda, która zarabiała u nas niemało, gdyż oboje nienawidziliśmy sprzątanania. Do tego stopnia, że naczynia myliśmy dopiero wtedy, gdy już nie było nic czystego. (Później zachowywaliśmy się tak, jakby señora Seda w dalszym ciągu była naszą sprzątaczką. Gdy przykładowo stwierdzałam: „Ktoś znowu musi posprzątać

łazienkę", wówczas Karl odpowiadał: „Sądziłem, że załatwiła to już señora Seda. A tak na marginesie, powinna była też powiesić pranie"). Co prawda Karl prowadził wykłady w licznych uniwersytetach, lecz żadna z tych posad nie była zbyt dobrze płatna. Dlatego często pracował dodatkowo dla muzeów, towarzystw ubezpieczeniowych i domów aukcyjnych w charakterze doradcy lub biegłego eksperta. Pieniądze, które tam zarabiał, również były przez nas wydawane co do grosza, gdyż Karl uwielbiał dobre jedzenie (ja również), dobre wina (ja nie), chętnie kupował w ekskluzywnych delikatesach, a także co najmniej dwa razy w tygodniu jedliśmy poza domem. Ponadto dużo chodziliśmy do teatru i kina. No i wydawaliśmy mnóstwo pieniędzy na książki. Na fatalaszki i drogie kosmetyki już nie starczało. W tej sytuacji moje nieprzywiązywanie wagi do tego typu rzeczy było swoistą zaletą. Albo też rezygnując z jakiegoś zakupu, mówiliśmy sobie: To przecież nie było wcale takie znowu ważne.

A co się tyczy braku stosownego zimowego okrycia, tak często wypominanego przez Mimi, to od wielu lat miałam czarno-biały tweedowy płaszcz, który po prostu uwielbiałam i w którym zawsze czułam się znakomicie. Noszę go zresztą do dzisiaj, choć jest już mocno sfatygowany. I z pewnością to nie skąpstwo Karla było powodem, że nie kupiłam sobie nowego. Po prostu nie był mi potrzebny. Z zasady nie jestem za wyrzucaniem rzeczy tylko dlatego, że się troszeczkę zestarzały. Rodzice dawali mi miesięcznie kilkaset euro, nazywając to oficjalnie „pieniędzmi na studia". Natomiast prawdziwy powód ich hojności był zupełnie inny - nie chcieli, bym była wyłącznie na „utrzymaniu" Karla, by tylko on mnie „wspierał". Karl zaś nie miał nic przeciwko pośmiertnym zarzutom Mimi pod jego adresem. Sama

też trochę zarabiałam tłumaczeniami. Ale były to dochody nieregularne i jak wspomniałam, niewielkie.

Moja rodzina była oburzona, gdy zaczęły przychodzić pierwsze listy od adwokata. Głównie dlatego, że Karl trzymał mnie w całkowitej nieświadomości co do stanu swojego majątku. Rzecz jasna oburzali się i na to, że rodzina Karla nie miała nic lepszego do roboty, jak rzucić się natychmiast niczym sępy na to, co po nim zostało. A na koniec oburzało ich to, że sama nie byłam ani trochę oburzona. Wówczas Ronnie znalazł książkę o czterech fazach żałoby, z której wynikało, że ciągle jeszcze jestem w fazie szoku i w związku z tym oburzenie w tym okresie nie stanowi pozycji mojego emocjonalnego repertuaru.

Ale nie była to do końca prawda, gdyż po znalezieniu w papierach Karla czegoś w rodzaju testamentu, stanowiącego kartkę papieru, na której napisał piórem „Na wypadek mojej śmierci cały mój majątek dziedziczy moja żona Carolin”, uzupełniając powyższe oświadczenie woli miejscem i datą oraz poświadczając własnoręcznym podpisem, zdecydowanie poczułam ogarniające mnie gwałtowne, bezdenne oburzenie. Byłam oburzona tym, że Karl najwyraźniej brał pod uwagę, iż pożegna się z tym światem przede mną. Ze w ogóle myślał o śmierci i o zostawieniu mnie samej!

Natomiast moja rodzina po przeczytaniu jego ostatniej woli ponownie przyjęła Karla na swoje łono. Do pewnego stopnia. Ojciec tak się ucieszył, że aż pocałował rzeczoną kartkę papieru.

Nieświadomie poślubiłam bogatego mężczyznę. A w czasie naszego małżeństwa jego majątek znacznie się powiększył, gdyż ciotka Jutta i rodzice Karla umarli krótko po sobie, zostawiając mu w spadku nie tylko, jak sądziłam, połowę willei w Kolonii w dzielnicy Rodenkirchen, lecz również dom z mieszkaniami na wynajem w Dussel-

dorfie, całkiem spory majątek w gotówce i akcjach, a także szereg dzieł sztuki, w tym szczególnie cenną „Martwą naturę z rybami i pejzażem nadbrzeżnym w tle”, na którą wuj Thomas miał szczególną chrapkę, gdyż wymieniał ten obraz wielokrotnie w każdym ze swoich pism.

Mimi nieustannie próbowała zainteresować mnie odziedziczonym spadkiem, pomimo że Ronnie zapewniał ją, że jeszcze nie czas po temu. Czasami zasypywała mnie liczbami w nadziei, że będę je automatycznie dodawać w pamięci, albo też referowała mi szczegółowo stan portfela posiadanych przeze mnie akcji. Od czasu do czasu pokazywała mi w Internecie obrazy oraz inne dzieła sztuki, wskazując na znajdujące się obok nich ceny. Lecz mnie ta cała paplanina zupełnie nie interesowała. Nie miałam zielonego pojęcia, czy Karl rzeczywiście posiadał te wszystkie rzeczy, których tak pożył wuj Thomas. Nigdy niczego takiego nie widziałam. Wiele z tego, co wymieniał, brzmiało tak, jakby były tworem wyłącznie jego wybujałej wyobraźni.

*Lepiej być pierwszorzędnym wydaniem
siebie samego niż drugorzędną kopią kogoś innego.*

Judy Garland

Mądre, mądre,
ale żeby być pierwszorzędnym wydaniem siebie samego, trzeba wpierw
wiedzieć, kim się jest naprawdę.

- Bądź po prostu sobą. — To motyw przewodni mojego dzieciństwa.

Matka powtarzała to zdanie zawsze wtedy, gdy skarżyłam się, że nie mam
przyjaciół. - Bądź po prostu sobą, wówczas wszyscy będą cię kochać
taką, jaka jesteś.

Taaak, cóż na to powiedzieć? Że to po prostu nieprawda. Naturalnie, że nie
powinno się udawać innego, niż się jest, lecz oczekiwanie, że wszyscy cię
z tego powodu pokochają, jest z gruntu błędne. Jedynie wtedy, gdy się ma
bardzo dużo pieniędzy, znajdą się tacy - spoza rodziny

- którzy pokochają cię dokładnie takim, jakim jesteś.

Głupio tylko, jeśli akurat właśnie ktoś taki umrze.

Kupiłam dwa zeszyty szkolne w linie. A teraz siedziałam u Mimi za
stołem, gapiąc się na pierwszą stronę. Co prawda pani

Karcianodomska-Kuracjusz była zadania, że powinnam pisać o tym, co
mnie dręczy, wyłącznie dla siebie. Lecz nie miało to specjalnie sensu,
gdyż jeśli o mnie

chodzi, to etap porządkowania spraw we własnej głowie miałam już za sobą. Dla mnie wszystko było jasne. A jeśli już miałam wszystko opisać, to jedynie po to, żeby pani Karcianodomska-Kuracjusz mogła mnie lepiej poznać i dzięki temu zastosować skuteczniejszą terapię.

By ułatwić jej wejście w moje życie, rozpoczęłam od zabawnego epizodu mającego miejsce w dniu, w którym poznałam matkę Leona. (Pani Karcianodomska-Kuracjusz: Czy przypomina sobie pani? Leon był moim pierwszym chłopakiem, synem mojego przyszłego męża... ..Ach tak, to podkreśliła pani sobie aż trzykrotnie).

Matka Leona mieszkała wraz z jego siostrami w Oer-Erkenschwick, miejscowości oddalonej od Kolonii o godzinę jazdy samochodem. Mieli tam ładny jednorodzinny dom z dużym ogrodem. Tuż obok mieszkali dziadkowie Leona ze strony matki. Całość przepięknie położona, rzecz można idyllicznie. Przeciwległa duża łąka z jabłoniemi również stanowiła własność rodziny. Leon powiedział mi, że ze względu na dziadków zarówno on, jak i obie jego siostry wybudują tam domy - wszystkie trzy tuż obok siebie.

- W Oer-Erkenschwick! - Uznałam nazwę miejscowości za tak piękną, że nie mogłam się powstrzymać od ciągłego jej wymawiania.

Oer-Erkenschwick. Ta nazwa dosłownie rozpływała się w ustach niczym malinowe lody.

-Znam gorsze miejsca - skwitował mój zachwyty Leon.

Matka Leona była jego żeńskim wydaniem: ładna, wysoka blondynka o błyszczących oczach, których uwadze niemalże nic nie uchodziło.

- Ma pani plamę! - Były to pierwsze słowa, jakie do mnie powiedziała. A zaraz potem dodała: - Dzień dobry, miło mi panią poznać, Carolo.

- Carolin - poprawił ją Leon.

Poparzyłam z przerażeniem na swój T-shirt i rzeczywiście, było na nim coś na kształt cienia plamy, żeby nie powiedzieć „fantomowa plamka”, w miejscu gdzie rano usunęłam szczoteczką resztki pasty do zębów. Nigdy nie sądziłam, że można by ją spostrzec bez zużycia lupy.

Jednakże matce Leona to się udało.

- Gdyby chciała się pani odświeżyć, to łazienka jest na końcu na prawo. Z tonu, jakim to powiedziała, wywnioskowałam, że skorzystanie przeze mnie z tego przybytku uważa za bezwzględnie konieczne.

Stałam zatem w łazience i spoglądając w lustro, stwierdziłam, że wyglądam nienagannie i świeżo. Zza drzwi dochodziły odgłosy rozmowy prowadzonej przez Leona i jego matkę. Dokładnie rzecz biorąc, Leon mówił po cichu, natomiast głos jego matki brzmiał głośno i wyraźnie. Nie mogłam pozbyć się wrażenia, że chciała, żebym słyszała, co ma do powiedzenia.

- Z pewnością, skarbie. Uważam tylko, że jest trochę za bardzo... niepozorna. Zbyt przeciętna. Po prostu taka sobie szara myszka. Czy naprawdę uważasz, że pasuje do ciebie i jest dla ciebie odpowiednia? Niestety, nie mogłam dosłyszeć odpowiedzi Leona.

- To tylko moje zdanie. Wydaje mi się, że zasługujesz na coś wyjątkowo szczególnego, mój skarbie. — Znowu usłyszałam matkę Leona. Stojąc za drzwiami łazienki, przełknęłam ślinę. Właściwie to powinnam być zadowolona, że uważała mnie za zupełnie przeciętną. Nic szczególnego. Przecież - niezgodnie z radą Judy Garland - zużywałam mnóstwo energii właśnie na to, by nie być sobą, co z pewnością nie spodobałoby się mojej matce. W czasie moich drugich studiów w Kolonii, mieście, w którym nikt mnie nie znał, chciałam wreszcie wszystko robić właściwie. Obecnie

byłam dokładnie w wieku innych studentów uczęszczających na pierwszy semestr i nie powiedziałam nikomu, a zwłaszcza Leonowi, że mam już dyplomy magisterskie z geofizyki oraz meteorologii. Milczałam również na temat klawikordu, mandoliny, koreańskiego, ilorazu inteligencji oraz średniej oceny maturalnej. Byłam naprawdę pierwszorzędnym wydaniem zupełnie normalnej, miłej dziewczyny z sąsiedztwa.

- Opowiedz mi coś o sobie - poprosił Leon na naszym pierwszym spotkaniu.

- Nie ma zbyt wiele do opowiadania - odpowiedziałam. - Jestem całkiem przeciętną dziewczyną.

- Przeciętną dziewczyną z ponadprzeciętnie słodką buzią. - Gdy Leon powiedział, zaczerwieniłam się jak burak. Z jednej strony z zakłopotania, a z drugiej z radości. A raczej tryumfu. (A przede wszystkim dlatego, że czerwienię się z powodu każdego chłopaka. Leona zaś uważałam za najwspanialszy męski okaz, jaki kiedykolwiek pojawił się na mojej drodze).

Lubiłam go. Podobał mi się jego wygląd, jego uśmiech, a także sposób, w jaki na mnie spoglądał. Uwielbiałam, gdy brał mnie za rękę. A gdy przedstawił mnie jako swoją dziewczynę, aż mi się zakręciło w głowie z radości. Nareszcie! Wreszcie miałam kogoś, do kogo należałam.

Bądź przede wszystkim sobą! Akurat. Co za głupota, mamó! Bądź jak inni, a będziesz mieć przyjaciół.

I ilu nagle ich miałam! Leon z blond lokami, równiu-sieńkimi zębami i błyszczącymi błękitnymi oczami był nie tylko najprzystojniejszym studentem na całym wydziale prawa (mój Boże, jak on wspaniale wyglądał!), ale jeszcze do tego jednym z najbardziej lubianych. Gdy zaczęliśmy być parą, dorobiłam się za jednym zamachem dwudziestu nowych przyjaciół i przyjaciółek, z którymi tworzyliśmy

prawdziwą klikę wspólnie organizującą imprezy, razem się uczącą, jedzącą, chodzącą do kina i bawiącą się wieczorami. Nagle należałam do ich kręgu, a nie stałam z boku, gdzieś tam na obrzeżu. I nikt nie uważał mnie za dziwoląga ani nie nazywał Albertą Einstein. Nikt też nie stroił sobie idiotycznych żartów z mandoliny i nie opowiadał o niej głupich kawałów.

Powtarzałam sobie, że mówienie o moim ilorazie inteligencji, gdy nikt o to nie pyta, byłoby jedynie czystą bufonadą. Podobnie jak przechwalanie się znajomością kilku języków obcych. Wmówiłam sobie, że Leon i jego przyjaciele, *pardon*, moi przyjaciele, tak samo by mnie lubili, gdyby wiedzieli o mnie wszystko, to znaczy poznali tę skrzętnie ukrywaną część mojej osobowości, która czyniła ze mnie zawsze i wszędzie outsiderkę. Ale jak dotąd nie miałam możliwości opowiedzenia im o tym.

Gdy odwiedzali mnie rodzice - a robili to co najmniej raz w miesiącu, gdyż mieli zniżkowe bilety kolejowe, a poza tym pomiędzy Hanowerem i Kolonią kursował bardzo szybki pociąg Intercity - dbałam, by nie natknąć się przypadkiem na Leona. Lepiej było nie ryzykować, bowiem po niespełna dziesięciu minutach mama z pewnością wszystko by wypaplała.

— Ach, Leon, co za zabawne imię! — Było wielce prawdopodobne, że powiedziałyby coś takiego. - Carolin w wieku sześciu lat napisała powieść zatytułowaną *Głupia Jaśmin i podły Leon*. Prawda, koteczku? Dokładnie rzecz biorąc, nie była to wcale powieść, lecz własnoręcznie ilustrowany pamflet w zeszycie formatu A5 pod tytułem *Głupi Leon i podła Jenny*. Bohaterom swojego dzieła nadałam imiona dzieci z klasy, zachowujących się niezbyt mile w stosunku do mnie. (Wolałabym pominąć milczeniem, co wówczas napisałam o głupim Leonie i podłej Jenny).

W każdym razie od „powieści” do lekcji gry na mandolinie dzieliłby nas już tylko malutki kroczek. Dlatego spotkanie Leona z moją rodziną pragnęłam odwlec w czasie na tyle, na ile tylko się dało.

Lekcje gry na mandolinie, a do tego jeszcze Leon i Jenny — tak czy owak miałam szczęśliwe dzieciństwo. Moi rodzice zawsze mieli na względzie przede wszystkim dobro dzieci. Co prawda moje rodzeństwo kłóciło się między sobą jak przekupy na targu, ale w stosunku do mnie byli zawsze kochani i troskliwi. Powodem tego mogła być różnica wieku. Oboje byli dużo starsi ode mnie, co sprawiało, że nie musieli tłuc się ze mną o klocki lego czy inne zabawki. Mimi była starsza o jedenaście lat, a brat, Manuel, o dziewięć.

Nasi rodzice bardzo się kochali. Nie mieliśmy żadnych finansowych problemów. I podobnie jak matka Leona w Oer-Erkenschwick (przepraszam, ale chodzi tu o klasyczny przypadek niemożności powstrzymania się od powtarzania ulubionego słowa) mieliśmy piękny dom z ogrodem. W dzieciństwie miałam psa i kota, fantastyczne wakacje, a do tego cudownych, wręcz wzorowych dziadków. Nasza trójka była absolutnie nieskomplikowana i całkowicie zdrowa. Do tego nauczyliśmy się dobrze i nie mieliśmy żadnych kłopotów ze szkołą. Poza tym nie cierpieliśmy na anoreksję i nie byliśmy uzależnieni od narkotyków. Co prawda brat dwukrotnie przeżywał, jak to ojciec mawiał, „szczenięce lata”, lecz najgorszym przewinieniem jego szczeniństwa było opieranie łokci na stole podczas jedzenia oraz mówienie: „Nie denerwuj się, staruszkę/staruszkę”, gdy wracał zbyt późno do domu.

Moje dziecięce szczęście maciło jedynie to, że miałam niewielu przyjaciół. A tak prawdę powiedziawszy, nie miałam ich wcale. Mając pięć lat, poszłam do szkoły i byłam o dobrą głowę niższa od innych dzieci. A do tego

wszystkiego nie miałam żadnych luk w uzębieniu Natomiast w przeciwieństwie do innych uczniów umiałam już czytać oraz pisać. Nie potrafiłam natomiast zrozumieć, że można mieć problemy z wyliczeniem, ile wynosi dziesięć odjąć osiem. Większość dzieci uważała mnie za dziwną, fascynującą i równocześnie odpychającą.

Do tego wszystkiego mieszkaliśmy na przedmieściu, będącym praktycznie wsią, gdzie każdy znał każdego. Gdziekolwiek bym poszła, moje pojawienie się wyprzedzało rozgłos dziwadła. Znalezienia przyjaciół wcale też nie ułatwiało mi przeskoczenie klasy drugiej i szóstej. Co prawda niektórzy chętnie by się ze mną przyjaźnili, ale przede wszystkim po to, by móc ode mnie odpisywać zadania domowe. Bardzo bolało, że tak naprawdę nigdzie nie było dla mnie miejsca i zawsze znajdowałam się poza nawiasem. W pewnych fazach życia matka powtarzała mi na pocieszenie niczym młynek tybetański: „Bądź po prostu sobą” W końcu wczułam się w wygodną rolę dziwaczego outsidera, którą odgrywałam całkiem dobrze. Sprostanie tej reputacji z czasem stało się dla mnie wręcz sprawą honoru. Wygrywałam zatem wszystkie konkursy sylabizowania i przeliterowania wyrazów, zdobywałam laury na olimpiadach matematycznych, otrzymywałam nagrody na festiwalu „muzykującej młodzieży” i zdałam maturę z najlepszym wynikiem w całym okręgu Hanoweru A żeby być dokładnym, z drugim najlepszym w całej) Dolnej Saksonii. Wygrał inny geniuszek - siedemnastoletni outsider - zdobywca licznych renomowanych nagród z dziedziny nauk przyrodniczych, który osiągnął jeszcze wyższą średnią niż ja. Zastanawiałam się przez moment, czy przypadkiem do niego nie napisać, łudząc się, że być może znalazłabym w nim pokrewną duszę. Lecz gdy zobaczyłam jego zdjęcie w gazecie, nabrałam dystansu, rezygnując z pierwotnego zamierzenia.

W odróżnieniu od siostry, która wręcz nie mogła opędzić się od wielbicieli, do szesnastego roku życia nie wiedziałam, co to pocałunek. Pierwszym chłopakiem, który mnie pocałował, był mój uczeń, któremu udzielałam korepetycji, Oliver Henselmeier. Oliver był co prawda, o pół roku starszy ode mnie, lecz chodził do klasy niżej. Zdawałam sobie jasno sprawę, że nasz związek od początku skazany jest na niepowodzenie. Ale chciałam co najmniej spróbować. I choć Oliver mi tego nie wyznał, dotarło do mnie okreźną drogą, że zerwał ze mną nie z powodu mojej ponadprzeciętnej inteligencji, lecz dlatego, że miałam małe piersi. Z tej historii wyciągnęłam dwa wnioski. Po pierwsze: chłopakom jest wszystko jedno, jak wysoki jest iloraz inteligencji, byle tylko wielkość miseczki stanika była odpowiednio duża. Po drugie: chłopak, któremu jest wszystko jedno, jak wysoki jest twój iloraz inteligencji, bo tak czy siak jest o wiele wyższy niż jego, wcale tak naprawdę nie jest erotyczny. (Nazwisko Henselmeier zresztą też nie. Ale to tylko tak na marginesie). Natomiast z Leonem było całkiem inaczej. Po pierwsze, podobały mu się moje piersi, takie jakie były. (No tak, jeśli mam być szczerą, to powiedział, że wygląd nie jest dla niego taki znowu istotny, gdyż chodzi mu bardziej o wartości duchowe). Po drugie, miał znacznie wyższy iloraz inteligencji niż Oliver. Po trzecie, miał ładne nazwisko. A po czwarte, mówił mi wyłącznie miłe rzeczy. Po naszej pierwszej wspólnej nocy - chętnie przespałabym się z nim w dniu, w którym go poznałam, dla zasady i dlatego, że był to dla mnie już najwyższy czas, ale doszło do tego dopiero po całych czterech tygodniach - powiedział:

- Z tobą, Carolin, to dla mnie coś poważnego. Po prostu uważam, że do siebie pasujemy.

Byłam dokładnie tego samego zdania. Chociaż, szczerze mówiąc, nie miałam żadnej skali porównawczej i nie byłam tak do końca pewna, czy Leon ma na myśli naszą cielesną czy też może duchowo-intelektualną kompatybilność. A może i obie.

- Kocham cię - wyznał mi po naszej trzeciej nocy.

- Też cię kocham - odpowiedziałam, gdyż tak wypadało. Było mi naprawdę, naprawdę dobrze. Czułam się tak normalna, jak nigdy dotąd. Taaak, a teraz stałam w łazience w jego rodzinnym domu, zmuszona wysłuchiwać, że nie jestem dla niego wystarczająco dobra. Właściwie zabawne, jeśli dobrze się zastanović.

- Mogła pani spokojnie użyć grzebienia - oznajmiła matka Leona, gdy tylko pojawiłam się w drzwiach. - Leży tam specjalnie dla gości. Nie, zdecydowanie nie można powiedzieć, że od pierwszego wejrzenia poczułyśmy do siebie sympatię.

Leon przedstawił mi swoje młodsze siostry, Corinne i Helen. Obie, wysokie blondynki, lustrowały mnie sceptycznie od stóp do głowy. I o ile Corinne, bądź co bądź, zmuszała się do uśmiechu, o tyle Helen przez całe popołudnie patrzyła na mnie spode łba. W drodze powrotnej Leon powiedział mi, że Helen bardzo była przywiązana do jego byłej dziewczyny i ma mu za złe, że z nią zerwał.

- Daleko bardziej ma to za złe mnie! - zauważyłam.

- Bzdura. To było całe tygodnie przed naszym poznaniem. Zobaczysz, że następnym razem będzie dla ciebie dużo miłsza.

Na myśl o następnym spotkaniu ciarki przebiegły mi po plecach.

Następny raz. Następny raz w w Oer-Erkenschwick. Brzmiało to w moich uszach trochę niczym muzyka filmowa, stanowiąca na przykład tło do sceny pod prysznicem w *American psycho*. Albo to Dumdidum

didum grane zawsze wtedy, gdy miała się ukazać płetwa ogonowa białego rekina żarłacza.

Matka Leona upiekła ciasto z wiśniami. Przy kawie zaczęła mnie wypytywać o rodzinę. Czuję się nieswojo, gdy tak nieustannie mierzyła mnie wzrokiem niczym pyton królika. Mimo to starałam się ujawniać wyłącznie te fakty, które mogły jej się spodobać. Powiedziałam zatem, że ojciec był radcą w ministerstwie, brat jest lekarzem, a siostra magistrem ekonomii, że latem wyszła za mąż i że obecnie szukają z mężem domu w Kolonii, że żona brata wkrótce urodzi dziecko, na co wszyscy czekamy z ogromną radością. W tej ostatniej sprawie wcale nie nałgałam, a jedynie trochę przesadziłam. Faktycznie rodzice bardzo cieszyli się, że wkrótce urodzi się ich pierwszy wnuk. Natomiast radość Mimi była, można powiedzieć, raczej umiarkowana. Tak naprawdę to wszyscy mieliśmy cichą nadzieję, że brat w końcu pokaże Pile Tarczowej drzwi albo ona puści go kantem.

Poza tym troszeczkę nakłamałam, twierdząc, że moja mama wprowadzi też piecze znakomity placek z wiśniami (prawda), ale nie tak doskonały, jak ona (kłamstwo). Może za bardzo się podlizywałam, prosząc ją o przepis. Ale sądziłam, że będzie jej miło.

-Ta receptura to rodzinna tajemnica - odmówiła z pełnym ubolewania uśmiechem. - Ujawnia się ją jedynie członkom rodziny.

W porządku. Jakkolwiek by było, starałam się. W myślach ponownie zresetowałam moduł zabiegania o jej względy.

Ze swej strony matka Leona zwierzyła mi się, że chciała zostać nauczycielką muzyki i/lub śpiewaczką operową, lecz musiała zrezygnować z tych planów ze względu na dzieci oraz byłego męża.

- Zawsze przykładalam ogromną wagę do muzycznego wykształcenia moich dzieci - oznajmiła. - Cała trójka odziedziczyła po mnie talent muzyczny i wszyscy znakomicie grają na pianinie.

- No, teraz to już przesadziłaś - Leon był wyraźnie zażenowany. - Poziom naszej gry wystarcza wyłącznie na użytek domowy.

- Wcale nie przesadziłam - odpowiedziała. - Carola z pewnością by się ucieszyła, gdybyś jej coś zagrał.

- Carolin — sprostowałam.

Matka Leona chciała wiedzieć, czy w mojej rodzinie też się kładło nacisk na wykształcenie muzyczne. Zastanowiłam się przez chwilę, co by najchętniej chciała usłyszeć. Jeśli wspomnę o klawikordzie i mandolinie, wówczas w jej gadzinowatych oczach zapewne pojawi się coś na kształt „Uuuch, też mi coś. Figa z makiem reprezentuje sobą trzy razy więcej niż ty. Hmhmm”. Z drugiej strony nie chciałam, by mnie wzięła za kompletnego kulturalnego ignoranta. Dlatego też odpowiedziałam (zgodnie z prawdą), że w szkole podstawowej mieliśmy lekcje gry na flecie.

Uśmiech matki Leona potwierdził moje przypuszczenia. Jeśli sądzić po mimice, to co prawda nie miała zbyt wysokiego mniemania o flecie, lecz moja odpowiedź raczej ją zadowoliła.

- Przecież nie wszystkie przychodzące na ten świat dzieci mogą być małymi Mozartami - podsumowała, patrząc na swoje potomstwo z dumą i miłością, na co małe Mozarty odpowiedziały jej pełnymi miłości uśmiechami.

Po zjedzeniu placka z wiśniami małomówna Helen Mozart siadła do fortepianu i zagrała Beethovena *Dla Elizy*. To naprawdę piękny utwór, ale także najbardziej partaczony. Przyczyną takiego stanu rzeczy jest fakt, że większość ludzi uczących się w młodości grać na pianinie, w późniejszych latach zobaczywszy gdziekolwiek ten instrument, rzuca się na niego i koniecznie musi zagrać właśnie *Dla Elizy*. Co prawda z reguły jedynie początek,

chętnie opuszczając znacznie trudniejszą część środkową, o ile w ogóle kiedykolwiek potrafili ją zagrać. Alternatywnie w najlepszym razie wybrzdąkują też *Balladę dla Adeliny* Richarda Claydermana. A nieuczęszczający na lekcje pianina zadowolają się *Walcem do kotleta*. Helen zagrała jednak trudną część środkową w taki sposób, że biedny kompozytor nie poznałby własnego utworu. Mimo to matka klaskała entuzjastycznie.

- A teraz ty, Leonie! - rozkazała.

Proszę, byle tylko nie *Balladę dla Adeliny*, modliłam się w duchu. Lecz Leon pozytywnie mnie zaskoczył *Wesołym wieśniakiem* Schumanna. Ten utwór grałam już w wieku siedmiu lat.

Matka Leona omal nie pękła z dumy.

- Znakomicie! - zachwyciła się. — Kobieta, która cię upoluje, będzie mogła uważać się za prawdziwą szczęściarę. Prawnik z talentem muzycznym! I do tego wyglądający jak gwiazdor filmowy.

- Mamo! - Leon był zażenowany.

— Ale przecież to prawda!

- I potrafisz też zreperować pralkę! - wtrąciła Corinne.

— I super grać w tenisa — dorzuciła Helen.

— I znakomicie piec oraz gotować — uzupełniła matka. -Ale nie tak dobrze jak ty, mamo - odpowiedział

Leon, całując ją.

— Nie teraz — zaprotestowała. - Jeszcze Carola będzie zazdrosna.

Lecz Carola, rzecz jasna, wcale nie była zazdrosna, natomiast Carolin była nieco... poirytowana. W naszej rodzinie też się kochaliśmy i byliśmy bardzo dumni z siebie, ale komplementami obdarzaliśmy się raczej powściągliwie. Zdań typu: „Wyglądasz niczym gwiazda filmowa” praktycznie się u nas nie słyszało, a raczej: „Z dnia na dzień coraz bardziej upodabniasz się do psa”.

Czy Leon ostatecznie nie okaże się maminsynkiem?

W drodze powrotnej do Kolonii zapytałam go o ojca. Jak się okazało, opuścił rodzinę oraz Oer-Erkenschwick, gdy Leon miał niespełna czternaście lat, co do dzisiaj miał mu bardzo za złe. Jego ojciec jest bardzo znanym i renomowanym historykiem sztuki, co sprawiało, że przed rozwodem i tak rzadko bywał w domu. Ciągłe podróżował, często za granicę, pozostawiając wychowanie dzieci wyłącznie żonie i dziadkom. Był całkowicie niepraktyczny i do niczego nieprzydatny. Nie potrafił nawet wymienić żarówki czy wbić gwoźdźca w ścianę, nie zaginając go. Wszystkie naprawy w domu musiał zawsze wykonywać Leon. Albo dziadek. Ojciec był próżnym, zarozumiałym egoistą, a do tego nieodpowiedzialnym pozerem, wcale niedbającym o dzieci. Nawet obecnie. Bez przerwy przenosił się z miejsca na miejsce, nieregularnie płacił alimenty i gdyby nie zamożni dziadkowie, nie starczyłoby pieniędzy nawet na lekcje gry na pianinie i tenisa. Przykro mu było mówić w ten sposób o ojcu, który okazał się pod każdym względem prawdziwym gnojkiem. Jeśli Leon mógłby w ogóle powiedzieć coś pozytywnego na jego temat, to jedynie to, że dzięki ojcu dokładnie wiedział, jaki chciałby być - zupełnie inny niż on.

Natychmiast zrobiło mi się żal Leona. Być może w tej sytuacji to normalne, że jego więzy z matką i siostrami były aż tak silne. Z czystej solidarności i na złość temu łajdakowi ojcu.

Chętnie pogłaskałabym go po dłoni, lecz nie mogłam tego zrobić, gdyż prowadził samochód. Dlatego pogładziłam go po udzie, na co Leon uśmiechnął się do mnie.

- Nie przejmuj się matką. Na początku zawsze jest trochę krytyczna względem moich dziewczyn. Ale ma naprawdę złote serce. - (To akurat uważałam za wykluczone. Jeśli serce jego matki rzeczywiście było z jakiegoś szla-

chetnego metalu, to co najwyżej z cyny). - Z pewnością pozna się na tobie i doceni twoje zalety. Wiesz, zaliczasz się bardziej do dziewcząt, na które zwraca się uwagę i które wpadają w oko dopiero od drugiego spojrzenia. Nie jesteś takim typem fotomodelki, jak inne moje partnerki, ale za to nie jesteś też aż tak ambitna i tylko w połowie tak kapryśna jak one.

- To się zgadza - przytaknęłam z ulgą, choć rzecz jasna nie znałam żadnej z moich poprzedniczek. - Chyba miałeś, hmmm, sporo dziewczyn?

- Ilość to przecież sprawa relatywna - zauważył Leon, uśmiechając się krzywo. - Przede wszystkim chodzi o to, jak poważnie traktuje się związek. A nasz traktuję naprawdę serio. To, co jest między nami, ma przyszłość.

Spojrzałam z boku na Leona i pomyślałam, że właściwie wszystko mi jedno, co jego matka sądzi o mnie. Albo - eeehhh - dużo bardziej istotne jest, jaka chciałam być, albo jeszcze lepiej, co on sądzi o mnie i za jaką mnie uważa, gdyż byłam taka, jakbym była... - zresztą wszystko jedno! Najważniejsze, że w ogóle mnie kocha.

- Jesteś zdania, że najważniejsze to mieć chłopaka - stwierdziła siostra, gdy wyłuszczyłam jej przez telefon mój sposób myślenia. - Wszystko jedno za jaką cenę.

- Nie, wcale tak nie myślę.

- Czy naprawdę kochasz tego całego Leona? A może kochasz jedynie to, że on cię kocha?

-He?

- Nie zgrywaj głuptaka. Dokładnie wiesz, o co mi chodzi.

- Tak, kocham Leona - przyznałam, kładąc tyle patosu w brzmienie mojego głosu, na ile to było możliwe. - I on mnie kocha. - I jeśli kiedykolwiek przy sprzyjającej temu okazji wyznam mu, że znam się również na geofizyce i meteorologii i że jako siedmiolatka grając

Wesołego

wieśniaka — co za zbieg okoliczności — zdobyłam główną nagrodę w programie *Młode talenty* w klasie instrumentów strunowych, wówczas on z pewnością powie ze śmiechem: — Ale dlaczego trzymałaś to w tajemnicy? Przecież to jest super!

Z całą pewnością.

Siostra jedynie westchnęła.

*Wszystko ma swoje dwie okazje,
tę stosowną i tę zaprzepaszoną.*
Stan Nadolny

Przez kolejne dwa miesiące nie nadarzyła się jeszcze stosowna okazja. Za to babka Leona ze strony ojca skończyła siedemdziesiąt lat i Leon nalegał, żebym poszła z nim na przyjęcie urodzinowe, gdyż chciał mnie przy tej okazji przedstawić rodzinie ze strony ojca.

- Nie martw się, ojca tam nie będzie - zapewniał, widząc moją rezerwę. - Jest teraz w Madrycie. W każdym razie stamtąd przysłał nam ostatnią pocztówkę. Za to przyjdą moje siostry, wuj Thomas i całe mnóstwo prominentów z kolońskiego świata polityki, gdyż dziadek przez dziesięciolecia był bardzo aktywnym działaczem politycznym. A przez dwie kadencje był nawet wiceburmistrzem miasta. Naprawdę bardzo bym cię chciał przedstawić dziadkom. I stryjecznej babce Jutcie. Straszny z niej oryginał.

Prominentni politycy z Kolonii, stryjeczna babka Jutta i jeszcze na dodatek wuj Thomas. Brzmiało to w moich uszach niespecjalnie zachęcająco. Do tego groziło mi

ponowne spotkanie z uroczymi siostrzyczkami Leona, do którego wcale się nie paliłam. Lecz do mojej roli całkiem zwyczajnej dziewczyny z sąsiedztwa należała również gotowość uczestniczenia w każdej imprezie, bez wybrzydzenia i zbędnego komplikowania sprawy. Oświadczyłam zatem, że chętnie tam pójdę.

Leon ucieszył się i zapewnił mnie, że nie powinnam się stresować, jeśli chodzi o wybór ciuchów, co sprawiło, że od razu pożałowałam, iż dałam się namówić na tę rodzinną fetę.

— Przede wszystkim żadnych jeansów — podkreślił. — I może zrobisz coś z włosami.

— Co masz na myśli? Czy coś jest nie tak z moją fryzurą? — zapytałam lekko spanikowana.

— Włosy masz całkiem w porządku. Chodzi tylko o to, że koński ogon jest bardziej stosowny na korty tenisowe niż na tego rodzaju przyjęcie. Moja babka jest w tych sprawach niezwykle pedantyczna. Zawsze zwraca szczególną uwagę na włosy, paznokcie i buty.

W tym momencie ogarnął mnie prawdziwy strach.

— Pożyczę ci coś do ubrania — zaproponowała mi siostra. — I zrobię ci paznokcie. Wiesz przecież, nie zawsze trzeba co parę tygodni obcinać je aż do opuszków. Istnieją takie rzeczy, jak pilnik i cążki do skórek, których używa się na co dzień.

Mimi i Ronnie kupili w międzyczasie dom w Kolonii. Po półrocznej abstynencji bardzo się cieszyłam, że znów mam przy sobie kogoś z rodziny. I choć oboje mieli niewiele czasu ze względu na ogromną ilość pracy, ja zaś mieszkałam w akademiku, widywaliśmy się niemal codziennie, mimo że dojazd do nich był aż z dwiema przesiadkami i zajmował ponad pół godziny.

Naturalnie Mimi i Ronnie bardzo chcieli poznać Leona. W końcu zaprosiłam go na kolację, ale dopiero wówczas, gdy mi przysięgli na

życie swojego pierwородnego dziecka, że nie powiedzą nic, co mogłoby popsuć mój nieskazitelnny obraz „zwyczajnej dziewczyny”. Chodziło tu głównie o Ronniego, który tak ni z tego, ni z owego wpadał na pomysł, by zadać mi, na przykład pytanie: „Carolin, co to dokładnie takiego ta jonosfera?”.

Byłam zmuszona wysłuchiwać niezliczonych kazań zaczynających się od słów: „Coś jest nie tak, skoro nie odważyłaś się opowiedzieć mu wszystkiego o sobie” albo „Mężczyzna, który nie kocha cię taką, jaka jesteś, nie jest wart tego, żebyś”... blabląbla. W końcu jednak przyrzekli, że mnie nie „ośmieszają” i nie „skompromitują”.

Jak zawsze ugotowali coś pysznego i byli najwspanialszymi gospodarzami. A Ronnie wygadał się tylko raz, gdy ni z gruchy, ni z pietruchy spontanicznie mnie zapytał odnośnie do swoich spraw remontowych:

- Kafelki mają kosztować czterdzieści siedem euro za metra kwadratowy. Ale jeśli kupimy więcej niż pięćdziesiąt metrów kwadratowych, to wówczas dostaniemy ze względu na moje dobre kontakty pięćdziesięcioprocentowy rabat. A jeśli zapłacimy zaraz przy odbiorze, to dojdzie do tego jeszcze dwuprocentowe skonto. Potrzebujemy sześćdziesiąt pięć metrów kwadratowych. Ile zatem będzie nas to wszystko kosztować? Carolin?

Zrobiłam wielkie oczy i zacisnęłam wargi.

- Eeeeeee, zaraz przyniosę kalkulator. - Ronnie był bardzo speszony i do tego czerwony jak burak. Mimi jedynie się uśmiechnęła. Natomiast Leon wcale nie zauważył, że ledwie się powstrzymałam od wytecytowania: „trzy tysiące czterysta dziewięćdziesiąt trzy przecinek dziewięć trzy pięć”.

-To miły chłopak - przyznała później Mimi. Wprawdzie nie było w jej głosie szczególnego zachwyty, ale „miły chłopak” to już był spory postęp w porównaniu

z określeniem „wyjątkowo głupi cep”, jakiego używała w stosunku do Olivera Henselmeiera. Zaś w międzyczasie nie było nikogo, dla kogo musiałaby znaleźć stosowny epitet.

- Tak, bardzo miły - przytaknął Ronnie. - Uważam tylko, że trochę za dużo i za często opowiada o matce i siostrach.

- Akurat ty masz w tej sprawie coś do powiedzenia — fuknęła Mimi, nienawidząca swojej teściowej i szwagierek. Niestety, z wzajemnością. Ta antypatia pogłębiała się w miarę upływu czasu i była tym większa, im dłużej Ronnie i Mimi pozostawali bezdzietni.

- Można to też interpretować jako siłę charakteru. - Ronnie zareagował natychmiast. - Świadczącą o tym, że może przejąć na siebie odpowiedzialność za rodzinę.

Ten wariant interpretacji wyjątkowo przypadł mi do gustu.

Natomiast Leon był zachwycony Mimi i Ronniem. Uważał, że nawet koty są fantastyczne.

-Wiesz, tak długo zwlekałaś z przedstawieniem mnie swojej rodzinie, że aż zacząłem się bać, że mogą być trochę... hm, no jak by to powiedzieć, no wiesz, co mam na myśli.

-Co?

- Eeehmm, że są trochę mniej reprezentacyjni.

- Trochę mniej reprezentacyjni niż kto? - Niż jego rodzina? Niż ja?

- Przecież to teraz i tak wszystko jedno. Są wspaniali, bardzo sympatyczni, wykształceni i interesujący ludzie - powiedział Leon. - Również ich dom jest fantastyczny. Niesamowity. Bardzo mi się podoba. Kiedy poznam twoich rodziców?

- Przy pierwszej nadarzającej się okazji - zapewniłam, krzyżując przy tym za plecami dwa palce.

Na siedemdziesiąte urodziny babki Leona Mimi pożyczyła mi jedną ze swoich prościuteńkich czarnych sukienek koktajlowych, świetnie podkreślających figurę, w których zawsze wyglądała niczym Audrey

Hepburn. Ja zaś, cokolwiek by powiedzieć, wyglądałam w niej jak mała siostrzyczka Audrey Hepburn. Do tego miałam czólenka na wysokich obcasach i dwurzędowy naszyjnik z pereł, który dyndał mi przy szyi i który szybko wetknęłam do małej pożyczonej kopertówki, jak tylko zniknęłam z pola widzenia. Co za dużo, to niezdrowo.

Natomiast z fryzurą nie dało się na szybko nic zrobić. Skończyło się na wetknięciu mi w tył głowy kilograma czarnych szpilek do włosów i usztywnieniu całej konstrukcji chyba toną lakieru, który wypryskano mi na głowę. Z pewnością to, co w efekcie wyszło, byłoby zupełnie nieodpowiednie na kortach tenisowych.

Mój wygląd zachwycił Leona.

- Wyglądasz, jakbyś miała dziesięć lat więcej - zauważył. - Jak prawdziwa dama.

Byłam przerażona. W drodze do Kolonii-Rodenkirchen zjadłam całą szminkę i starłam z powiek rzucającą się dramatycznie w oczy kreskę, zastępując ją dyskretnym, niemal niewidocznym cieniem. Mimo to, gdy wysiadaliśmy przed willą dziadków Leona, czułam się jak przebieraniec z cyrku.

Dom był wspaniały - secesyjny, z wykuszami, wieżyczkami, posadzkami z polerowanego marmuru, intar-sjowanym parkietem oraz sztukateriami na sufitach. Od Renu dzieliły go zaledwie dwie przecznice.

Przekroczywszy próg, wyprostowałam się automatycznie, jakbym połknęła kij. I choć babka Leona była matką jego ojca, wyglądała dokładnie jak starsze wydanie matki Leona: wysoka blondynka, bardzo zadbana, z lekką zmarszczką wokół ust, świadcząca o frustracji.

Natychmiast ogarnął

mnie strach, że zauważy jakąś' plamę na mojej sukience i zaraz każe mi udać się do łazienki w celu odświeżenia.

Lecz ona była w stosunku do mnie czarująca. Co prawda przedstawiła mnie wszystkim obecnym — prominentom z kolońskiego świata polityki? - jako „małą przyjaciółeczkę Leona”, ale to mi wcale nie przeszkadzało. Dziadek Leona był o parę lat starszy od żony i wyglądał jak wachmistrz Dimpfelmoser z bajki *Rozbójnik Hotzenplotz*. Brakowało mu jedynie hełmu i munduru. Z pewnością był w swoim czasie wspaniałym zastępcą burmistrza i gdy mnie pocałował w rękę, uznałam to za uroczy gest.

Siostry Leona były ubrane niemal identycznie, dostosowując się jedna do drugiej. Wystąpiły w granatowych sukienkach w białe kropki, rozsiewając wokół urok Oer-Erkenschwicker.

- Ładna sukienka - zauważyła Corinne. - Z H&M?

- Już prędzej z D&G - wymruczałam, nie będąc całkiem pewna. Jeśli chodzi o marki projektantów, nie miałam specjalnego rozeznania.

- Uważam, że czegoś tu brakuje — stwierdziła Corinne, wskazując na mój dekolt. No nie, tego już było za wiele! Co też jej przyszło do głowy, czepiać się moich małych piersi? Szukałam jakiejś błyskotliwej riposty — mogłam na przykład pokazać na jej głowę i stwierdzić: „Lepiej mieć mały biust niż mały w tym miejscu”, gdy dodała: — Naszyjnika czy czegoś w tym guście.

Och. A więc byłam wobec niej niesprawiedliwa.

- Mam perły w torebce - powiedziała zawstydzona, ponownie wyciągając naszyjnik.

- Ale śliczne! - Corinne oplotła perłami moją szyję, co na trzy sekundy wzbudziło we mnie niemal przyjazne uczucia względem niej.

- Znacznie lepiej — stwierdziła, ponownie mi się przyglądając. — Teraz ten płaski biust już się tak nie rzuca w oczy.

Uczucie przyjaźni rozwiało się w mgnieniu oka. Na zawsze.

Helen natomiast wyciągnęła aparat fotograficzny. - Mama powiedziała, żeby ci koniecznie zrobić zdjęcie. Mogę?

-Naturalnie. - Lepiej teraz niż później, gdybym tak złamała obcas albo gdyby mi wylazła z włosów któraś ze szpilek. Helen zrobiła ze dwadzieścia zdjęć, z których natychmiast usuwała wszystkie te, na których dobrze wyszłam. Zachowała tylko jedno, na którym mam na wpół zamknięte oczy, sprawiając wrażenie, jakbym była na rauszu. Leon podszedł do nas z dwoma kieliszkami szampana. Towarzyszył mu dobiegający czterdziestki mężczyzna, który nieprzeciętnie długo zatrzymał wzrok na moich kolanach, zanim powolutku skierował go w górę, aż dotarł -nieznacznie opuszczając kąciki ust - do biustu, gdzie jego spojrzenie spoczęło na naszymyjniku z pereł.

- Wujku Thomasie, to moja przyjaciółka, Carolin. -Wujek Thomas - przedstawił się wujek Thomas,

szczupły mężczyzna o dziwnie nabrzmiącej, gąbczastej twarzy.

Identyczne wrażenie sprawiał jego uścisk dłoni. -Czarna owca w rodzinie.

- Och, a ja sądziłam, że to ojciec Leona jest czarną owcą - wymknęło mi się nieopatrznie.

- Mój wielki brat, pan profesor? Ależ skąd. To przecież ulubieniec matki i ojca. To, co Karl mówi i robi, stanowi dla nich świętość. Natomiast wszystkie moje plany oraz pomysły uważają za niedorzeczne. No tak, taki już los artysty. - Zwilżył sobie usta. - Jestem z branży filmowej.

-Aktor? - Uznałam, że byłby znakomity w roli skończonego drania.

- Na Boga, nie! Jestem producentem. To ktoś taki, kto wszystko trzyma w garści i do kogo prowadzą wszystkie drogi, gdyż to właśnie on robi *big money*. Ale wpierw

trzeba zainwestować, co jakoś nie dociera do mózgu pewnych osób. Każde marzenie, które ma się stać *reality*, wymaga przecież pieniędzy. Nikt nie chce dać wiary, jakie kłody rzuca się pod nogi każdemu, kto chce zdobyć finansowanie na zrealizowanie swojej wielkiej wizji. - W tym momencie rozejrzał się wokół, po czym kontynuował, zniżając głos: - Powinno się sądzić, że co najmniej rodzice wesprą własne dziecko. Ale skądże znowu! Nie - i już! Również w takim dniu, jak ten, wypomina mu się jedynie te projekty, które zakończyły się kląpą. Tak, tak! Panie Boże, przecież każdy człowiek popełnia błędy, prawda? Również ktoś taki, jak mój dobry przyjaciel Bernd. Bernd Eichinger. Znasz go? A Rossiniego? *Mężczyznę, przedmiot pożądania! Pachnidło!* - Taki ktoś też jest narażony na porażki. Ale czy z tego powodu rodzice jeżdżą po nim bez przerwy jak po łysej kobyle? Nie! Wyjątek stanowią moi skostniaли starzy, siedzący na pieniądzach jak kwoki na jajach i nic, tylko mendzą. Stary nie chce nawet uruchomić swoich kontaktów. W sytuacji, gdy dla nowego projektu uzyskaliśmy nawet błogosławieństwo - ale teraz *top secret*, dobrze? - samego Tila, któremu strasznie spodobał się scenariusz. Ale czy to do uwierzenia, że moich rodziców taka bomba ani trochę nie interesuje?

- Til Schweiger? - krzyknęła Corinne. - Ale obcia-chowo!

- Psssst! Mówiłem przecież, że to *top secret*. Ale jak już będzie tak daleko, będziecie mogli przyjść na plan zdjęciowy - obiecał wuj Thomas. - Od czegoż ostatecznie ma się bogatego wujka w branży filmowej. Och, tam z tyłu widzę kogoś z naszego rządu. Sądzę, że nie zaszkodzi porozmawiać z nim trochę o kulturze. Proszę o wybaczenie! Później pokażę wam moje nowe porsche. Jeśli chcecie, możecie się ze mną przejechać na próbę.

Leon wcisnął mi do ręki kieliszek szampana.

- Wujek Thomas ma bzika na punkcie szybkich aut.

I kokainy, pomyślałam. Albo innej nielegalnej substancji wywołującej

megalomanię. Sama chętnie wzięłabym teraz działkę.

Leon powiódł mnie przez całe pomieszczenie, kierując się w stronę stryjecznej babki Jutty, liczącej sobie na oko ze sto lat i sprawiającej wrażenie, jakby w ogóle nie wiedziała, kim on jest.

- Która to już godzina, młodzieńcze? - zapytała. - Muszę powoli myśleć, jak wrócę do domu. Mój mały Tommi nie lubi być sam.

- Jeszcze wcześniej, ciociu Jutto. Przyjęcie dopiero co się zaczęło. A tak a propos, to moja ptzyjaciółka Carolin.

- W żadnym wypadku nie pojedę taksówką - oznajmiła ciotka Jutta. -

Taką bezbronną kobietę jak ja od razu by upiekli żywcem, zabierając jej do tego jeszcze i torebkę. Która to już godzina, młodzieńcze? Biedny psiak nie lubi być sam.

-Przyjdziemy znowu trochę później. - Leon powlókł mnie do swoich sióstr. - Biedna ciotka Jutta. Stopniowo niedołącznieje. I do tego zawsze trochę bezczelna. Ale wszyscy są dla niej mili, gdyż nie ma dzieci, ale za to spory majątek do zapisania w testamencie.

Helen podsunęła mi pod sam nos aparat fotograficzny.

- Czy mogłabyś zrobić parę zdjęć mnie, Corrine i Leonowi? Najlepiej tam, z tyłu, przed fortepianem. Dla mamy.

Pewnie, że mogłam. Piękne niczym obrazek, muzykalne potomstwo przed błyszczącym czarnym fortepianem. Mama będzie zachwycona.

Instrument był nastrojony i najwidoczniej nie było zakazu grania na nim.

Mogłam to tylko powiedzieć w duchu, niestety. Najpierw Helen zagrała

Dla Elizy, a następ-

nie Corrine powtórzyła ten utwór. Dziadkom i gościom potworne rzępolenie najwidoczniej nie przeszkadzało. Natomiast mnie to dyletanckie walenie w klawisze coraz bardziej działało na nerwy.

- A może by tak zagrać coś... Bacha? - zaproponowałam.

- Nie cierpimy Bacha. Jest okropny - odpowiedziała Helen. Wówczas Leon zagrał dla odmiany *Wesołego wieśniaka*. Po nim przyszła kolej na *Wesołego wieśniaka* w wykonaniu Corrine. A następnie Helen
Za prawym okiem poczułam pulsowanie.

- A może by tak Chopina? - nie poddawałam się.

Na to Helen stwierdziła, że Chopin jest zbyt pompacyjny. Grzebała w stercie nut leżących na fortepianie, chcąc znaleźć coś innego.

- O, to! To jest ładne. Dopiero co to ćwiczyłam. Mozart. Sonata es-moll. Pieknie trudna, jak twierdzi moja nauczycielka fortepianu.

- Es-dur — sprostowałam automatycznie. Ale Helen zaczęła już gwałcić sonatę, Leon zaś zajął się robieniem zdjęć.

Pulsowanie za okiem przybrało na sile. Gdy już nie byłam w stanie dłużej wytrzymać tej masakry, udałam się na poszukiwanie toalety. Dwie pierwsze, które udało mi się znaleźć, były zajęte. Ktoś posłał mnie piętro wyżej. Łazienka, do której trafiłam, była zachwycająca. Miała tylko jedną wadę - nie można było zamknąć drzwi na klucz. Musiałam więc zaklinować klamkę, używając w tym celu taboretu. W przeciwnym razie nie odważyłabym się podciągnąć w górę sukienki i zsunąć w dół majtek, ze strachu, że ktoś może wejść i mnie zobaczyć. Następnie, zanim odważyłam się wyjść na zewnątrz, pedantycznie sprawdziłam przed lustrem, jak leżą na mnie majtki i sukienka. Nie byłam przyzwyczajona do opiętych, ciasno przylegających

do ciała kreacji. Guzdrałam się, jak tylko się dało. Na dół schodziłam bardzo powoli. Tak się złożyło, że mozartowska sonata Es-dur należała do moich ulubionych utworów fortepianowych i przeżywałam istne katusze, słysząc, co Helen z nią wyprawia. Jeśli będę poruszać się w żółtym tempie, to może uda mi się natrafić znowu na *Dla Elizy*.

W międzyczasie przybyli nowi goście. Stali w grupach tuż obok siebie aż do samego holu. U podnóża schodów dwóch mężczyzn prowadziło ożywioną rozmowę. Jednym z nich był wujek Thomas. Drugi mężczyzna był dokładnie w jego wieku. Przystojny typ, o dobrej prezencji, chociaż nieco wymiętoszony zarówno na twarzy, jak i na koszuli. I w jeansach! To przecież było niedopuszczalne, czyż nie? Czy nikt mu nie powiedział, że babka Leona nienawidzi jeansów? Ale może był to w końcu ten deputowany, któremu wuj Thomas Kokainowy Nos chciał wycisnąć z bebechów pieniądze na swój filmowy projekt. Zapewne z tego powodu prominentny gość pozwolił sobie na pojawienie się w pomiętej koszuli, do tego nawet w jeansach. Jakby to był weekend w jego własnym ogródku. A że nie mogłam wyminąć obu panów, nie wciskając się pomiędzy nich, stanęłam na schodach i mimowolnie przysłuchiwałam się prowadzonej rozmowie.

— Chodzi tylko o cztery miliony. Tyle wynoszą koszty produkcji. Tak, tylko tyle. Nie potrzebujesz tak się krzywić. To jest *low budget*. Nawet jeśli miałby być przekroczony o pięćset tysiaków. Nie masz bladego pojęcia, ile pieniędzy wpompowuje się normalnie w filmy. — Wuj Thomas mówił dość szybko i po wyrecytowaniu każdej liczby zwilżał równie szybko wargi językiem, sprawiając wrażenie zdenerwowanej żmii. — Sam mam zagwarantowany udział w zysku w wysokości dobrych dwunastu koma osiem procent, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem. Jeśli wejdiesz w to, powiedzmy kwotą pięćuset

tysięcy, co możesz zrobić z palcem w nosie, podzielę się z tobą zyskiem, odpalając ci dwadzieścia procent z mojej działki. Wówczas bardzo szybko odzyskasz włożone pieniądze i jeszcze do tego zgarniesz krociowe zyski. Przy przewidywanym sześćdziesięciomilionowym zarobku -co wcale nie jest utopią, nie przy tej obsadzie. A jak tylko zobaczysz scenariusz, będziesz wiedział, że tu wszystko pójdzie jak z płatka. A poza tym jak wiesz, sam *Zajaczek bezuszaczek**przyniósł swobodnie siedemdziesiąt dwa miliony, he! Ale nawet jeśli nie uda nam się zgarnąć aż tyle, i założmy, że zarobiliśmy tylko głupie czterdzieści milionów, co jest bardzo zaniżonym szacunkiem, to możesz być pewien, że i tak będzie to więcej niż super. Wówczas masz zapewnioną czterokrotność ze swoich pięciuset tysięcy euro. I to się nazywa dobra lokata kapitałowa, no nie?

- Pozwolisz, Tommi, że najpierw wejdę i przywitam się z solenizantką!
— Nieznajomy skwitował długi wywód. - A nawet gdybym miał te pięćset tysięcy euro...

-Tylko mi nie wciskaj: „Nie mam takiej forsy” -przerwał mu wujek Thomas. - To nie ma żadnego znaczenia dla prawdziwego wizjonera. Najważniejsze, że możesz kogoś na nią naciągnąć. Przecież to lokata pewna jak śmierć. Pozwolić uciec takim zyskom z powodu zwykłej arogancji, byłoby przecież... Człowieku! Czy ty mnie w ogóle słuchasz? Wkładając pięćset tysięcy, będziesz miał z tego prawie dwa miliony. Moi pozostali inwestorzy aż podskakują ze szczęścia pod sam sufit. Tak czy owak, proponuję ci ten złoty interes, żeby się potem nie mówiło, że cię pomiąłem.

- Milion pięćset trzydzieści sześć tysięcy - wyrecytowałam bez zastanowienia, nawet nie zdając sobie z tego

* Popularna, bestsellerowa bajka dla dzieci autorstwa Tila Schweigera, która została przez niego zekranizowana (przyp. tłum.).

sprawy. Potok słów wuja Thomasa wyzwolił mój naturalny, instynktowny odruch liczenia.

— Cooo? - Wujek Thomas oraz nieznajomy podnieśli wzrok i spojrzeli na mnie. Przez mgnienie oka wydał mi się bardzo bliski. Zupełnie, jakbym znała go od dawna. Możliwe, że odniosłam takie wrażenie, gdyż wyglądał zupełnie jak Krokodyl Dundee. Nie był tylko spalony na brąz i nie nosił kowbojskiego kapelusza. Lecz włosy miał spłowiałe od słońca. Oczy natomiast były barwy spranego błękitu, podobnie jak jego jeansy. Gdy się uśmiechał, wokół oczu tworzyły mu się drobne zmarszczki.

— Jak to było?

— Milion pięćset trzydzieści sześć tysięcy. — Poczułam, że się czerwienię.

— No to co, że tyle! — Wuj Thomas wyraźnie się rozeźlił. - Wszystko jedno. Tak czy siak jest to kupa forsy. Ogromny zysk.

— Przy założeniu, że zyski będą wynosić sześćdziesiąt milionów - mruknęłam. - Przy czterdziestu milionach daje to milion czterysta dwadzieścia cztery tysiące.

— Nieźle - zauważył nieznajomy w jeansach. — Wysiadłem w chwili, gdy po raz pierwszy padło słowo procent. Czy ma pani może wbudowany w głowie jakiś kieszonkowy kalkulator?

Skinęłam głową.

— La! To jest w pewnym sensie nawet sexy — zauważył Krokodyl Dundee, co sprawiło, że zaczerwieniłam się jeszcze bardziej.

— Czterdzieści milionów to najniższy szacunek. Bardziej realne jest te sześćdziesiąt milionów. A kto zna scenariusz, ten wie, że możemy liczyć na więcej - powiedział wuj Thomas, błyskawicznie wyciągając język i natychmiast go chowając. - Ale gdyby nawet okazało się inaczej, to inwestując pięćset tysięcy i do tego milion, to eeeeh,

odliczając z tego sto dwadzieścia tysięcy, uzyskuje się dwustuprocentową rentowność. Czegoś takiego nie zaoferuje ci żaden bank na świecie.

- Dokładnie rzecz biorąc, rentowność wyniosłaby sto cztery przecinek osiem procent - sprostowałam, czując wewnętrzny przymus.

Wuj Thomas mlasnął.

- Miałem na myśli mniej więcej dwukrotność.

- A jeśli zamiast pięciuset tysięcy euro zainwestowałbym eeeeeh dwieście siedemdziesiąt tysięcy? - zainteresował się Krokodyl Dundee, cały czas wpatrując się we mnie.

- Co też byłoby mile widziane. Lepsze to niż nic - powiedział wujek Thomas. - Ale jestem pewien, że mógłbyś wysupłać więcej.

- No, jeśli nadal założymy, że film przyniesie czterdzieści milionów i wuj Thomas da panu dwadzieścia ze swoich dwunastu przecinek osiem procent - podsumowałam - wówczas przy tym milionie dwudziestu czterech tysiącach euro rentowność będzie wynosić... - O rany, to było naprawdę sexy! - ...Dwieście siedemdziesiąt trzy przecinek dwieście dwadzieścia sześć procent. W zaokrągleniu.

- Niesamowite - stwierdził Krokodyl Dundee, potrząsając głową z uśmiechem.

- Czy to znaczy, że w to wchodzisz? - Wuj Thomas drażył temat.

- W żadnym razie, Thomas - zaprzeczył Krokodyl Dundee. - Po pierwsze, bynajmniej nie dysponuję tak dużą sumą. A po drugie: kiedyż to którykolwiek z twoich wspaniałych projektów przyniósł choćby jedno euro zysku? Nie, po prostu podziwiałem jedynie zdolność liczenia w pamięci tej młodej damy. - Mówiąc to, uśmiechał się do mnie. A uśmiech miał fantastyczny. Nie mam ochoty tego pisać, ale muszę przyznać uczciwie, że pod wpływem tego uśmiechu zmiękły mi kolana.

Z chęcią wykonałabym dla niego dalsze obliczenia.

— Wiesz co, jesteś skończonym dupkiem! — Wybuchnął wujek Thomas.

— Wiedziałem przecież, czego można się po tobie spodziewać. Ale mógłbyś przynajmniej porozmawiać z ojcem. Co? Co najmniej tyle mógłbym oczekiwać od starszego brata.

Zatrzęsło mnie przy słowach „skończony dupek”. Natomiast słysząc „starszy brat”, zaczęłam drżeć. O cholera jasna!

— Muszę stwierdzić, że powrót do domu zawsze wiąże się ze sporą przyjemnością - powiedział Krokodyl Dundee.

W porządku. Teraz to porobiło się naprawdę... głupio. I właśnie wtedy babka Leona odkryła obecność Krokodyla.

— Karl! Och, Karl! Co za niespodzianka! Theo, popatrz tylko, kto przyjechał!

Krokodyl Dundee alias Karl, alias ojciec Leona objął matkę.

— Wszystko jasne — zauważył wuj Thomas. — Jak tylko kochany Karl raz na sto lat pojawia się przed drzwiami, wszyscy robią w portki z radości.

Teraz zjawili się również Leon, jego siostry i dziadek Leona. Ale nikt z nich jakoś nie sprawiał wrażenia, że narobił z radości w majtki. Oczy dziadka błyszczały. Natomiast dzieci Karla stały sztywno jak kłody, gdy ojciec brał je w ramiona.

— Sądziłem, że jesteś w Madrycie. — Leon odezwał się pierwszy.

— Byłem tam jeszcze dziś w południe - wyjaśnił ojciec. - Ale to przecież siedemdziesiąte urodziny twojej babci, więc nie mogło mnie zabraknąć.

- Jesteś moim najpiękniejszym prezentem. - Babcia Leona była wyraźnie rozczulona.

- Moim również - potwierdził jego dziadek. - Choć to nie moje urodziny.

- No i wszystko jasne — podsumował wuj Thomas. - Gdybym to ja zjawił się tutaj w jeansach i pomiętej koszuli, nikt by mnie nie wpuścił nawet za próg.

- Przyjechał prosto z lotniska - stwierdził dziadek Leona.

- Jak wyrosliście. - Karl zwrócił się do dzieci. - Z każdym rokiem stajecie się coraz bardziej podobni do matki.

Wyraźne grymasy na twarzach.

- Zaraz usiądziemy sobie w jakimś cichym kącie i porozmawiamy, co tam u was nowego. W porządku? - Karl zachował się tak, jakby niczego nie zauważył.

- Helen stara się o przyjęcie do następnej edycji *Germany's Next Top Model* - oznajmiła Corinne.

- Leon ma nową uroczą malutką przyjaciółeczkę - wtrąciła babka Leona, wskazując na mnie. W dalszym ciągu stałam na najniższym stopniu schodów, jakbym zapuściła korzenie.

Karl obrzucił mnie wzrokiem. Tym razem jego uśmiech wypadł nieco krzywo.

- Cześć, uroczą malutką przyjaciółeczko!

- Cześć — wyszeptałam.

- Nazywa się Carolin Gauß. - Leon dokonał prezentacji. - Carolin, a to mój ojciec. Karl Schütz. Carolin studiuje dwa semestry niżej ode mnie.

Uścisnęliśmy sobie dłonie.

- Studiuje pani prawo? Stawiałbym raczej na technologię lotów kosmicznych lub coś w tym rodzaju.

- Co za niedorzeczność - oburzył się Leon.

- Zaprosili mnie na casting - pochwaliła się Helen, odgarniając długie włosy na kark.

— Carolin właśnie wyliczyła, że mój nowy projekt przyniesie zysk wielkości dwieście i coś tam procent. — Wuj Thomas włączył się do rozmowy. - Ludzie, to naprawdę opłacalna inwestycja. Historia niemieckiego filmu jeszcze wam za to podziękuje.

Lecz nikt nie zwracał na niego uwagi. Na czele z Helen.

- W bagażniku samochodu, który wynająłem, jest jeszcze prezent — powiedział Karl. - Poza tym czysta koszula, jeśli chcecie wiedzieć.

Tommi, pójdiesz ze mną i pomożesz mi to wszystko przynieść?

Zaparkowałem za porsche jakiegoś bufona z diisseldorfską rejestracją.

— To moje — odburknął wuj Thomas.

— Tak też sobie pomyślałem. — Karl uśmiechnął się.

— Chodź. — Leon wziął mnie za ramię. — Przyda ci się kieliszek szampana. Widzę, że jesteś przerażona.

Tak naprawdę to jemu potrzebny był kieliszek szampana. Mnie przydałby się raczej zimny prysznic.

— I kto by pomyślał, że się dziś zjawi? W każdym razie nie ja - powiedział Leon.

— Koniecznie musimy zrobić mu parę zdjęć — odezwała się Corrine. — Ze względu na mamę.

— Po co? Gdy zobaczy, że wygląda młodziej niż ona, znowu będzie ryczeć — zauważyła przytomnie Helen.

— A jak wrócimy bez zdjęć, będzie wrzeszczeć. - Corrine zamknęła dyskusję.

— W każdym razie później zagram mu coś na fortepianie — oznajmiła Helen - żeby zobaczył, jakie zrobiłam postępy.

— Znowu się zjawił — zauważyła Corrine. - Przywiózł babci obraz. To było do przewidzenia. Chodź, podejźmy do nich.

— Idźcie we dwie, beze mnie - wyłgał się Leon. - Muszę się trochę zająć Carolin.

Corrine i Helen rzuciły mi wściekle spojrzenia, po czym zostawiły nas samych. Leon wypił wyjątkowo szybko dwie lampki szampana, jedną po drugiej, po czym przez dobrą chwilę rozwodził się z wściekłością nad tym, jakie to typowe dla ojca, że zawsze pojawia się wówczas, gdy nikt się go nie spodziewa, ale gdy jest potrzebny, nigdy go nie ma.

- Przed trzema laty mama musiała pójść na parę dni do szpitala z powodu jakichś kobiecych spraw. Czy sądzisz, że przyjechał wtedy, by się zaopiekować swoimi cótkami? Oczywiście, że nie! Ten obowiązek musieli znowu wziąć na siebie dziadkowie. Nie pojawił się, pomimo że Helen błagała go ze łzami w oczach, żeby przyjechał do domu.

Porwał kolejny kieliszek szampana z tacy i na powrót zaciągnął mnie do kąta, w którym stał fortepian. Ponownie poczułam pulsację za lewym okiem.

- I widzisz, co ma na sobie? - Leon rzucił ponure spojrzenie w miejsce, w którym stał ojciec wraz z siostrami i babką Leona, pozwalając się fotografować na zmianę z każdą z nich. - To przecież wszystko jedno, czy przyjeżdża się prosto z lotniska, czy nie. Mógł wsiąść do samolotu w garniturze i w krawacie. Prawda? I nie chcę nawet zgadywać, przez ile tygodni nie był u fryzjera. Czemu nic nie pijesz?

— Boli mnie głowa. Leon nie zareagował.

- Już teraz wiem dokładnie, o co znowu będzie się pytać. Zawsze zadaje te same pytania. Ale najbardziej do szału doprowadza mnie to, że zawsze zachowuje się tak, jakby wszystko było w najlepszym porządku. A na końcu mówi, że bardzo by się cieszył, gdybyśmy go kiedyś odwiedzili. W miejscu, gdzie właśnie chwilowo mieszka. Ani nam to w głowie.

— Dlaczego?

- Dlaczego? - Leon spojrzał na mnie ze złością. - Wciąż jeszcze nie rozumiesz? Gdy nas zostawił, Helen miała zaledwie dziewięć lat! Przecież ci o wszystkim opowiedziałem. Zachował się jak ostatni dupek. Matce pękłoby serce, gdybyśmy nagle zmienili front i opowiedzieli się po jego stronie.

-Ale przecież tu wcale nie chodzi o dwie wrogie sobie organizacje wywiadowcze. Można mieć dobre układy zarówno z matką, jak i z ojcem, nawet gdy są rozwiedzeni.

- Właśnie, że nie - zaprzeczył Leon. - Ale i tak tego nie zrozumiesz. Przez chwilę panowało między nami milczenie. Leon sączył szampana, rzucając co rusz ponure spojrzenia na ojca. Ja również od czasu do czasu patrzyłam na niego, przypominając sobie jego uśmiech, miękkie kolana i całe to wariactwo. Przecież ten mężczyzna był zapewne stary jak świat. Dużo starszy, niż świadczyłby o tym jego wygląd. Musiał mieć co najmniej czterdzieści pięć lat. A do tego był ojcem mojego chłopaka. Mimo to.

Tymczasem Corrine i Helen znowu znalazły się obok nas.

- Mamy całą kupę zdjęć. Zobacz! - Corinne zwróciła się do brata.
- Wcale nie zapytał o mamę! - stwierdziła z oburzeniem druga siostra.
- Ale Helen mimo to udało się poinformować go, że mama gra zawsze w duecie z panem Schmitterem w deblu mieszanym. I że pan Schmitter zawsze przynosi nam pralinki orzechowe Ferrero.
Obie zaczęły chichotać. Helen ponownie usiadła przy fortepianie i zaczęła grać sonatę Es-dur Mozarta. A raczej usiłowała to robić.

-Jak tylko przyjdzie, musimy zaraz zrobić wam wspólne zdjęcie, Leonie - powiedziała Corrine. — Zaprosił nas do Madrytu - dodała.

- Co było do przewidzenia — odpowiedział Leon.

Rzępolenie Helen działało mi potwornie na nerwy.

-To przecież trzydziestkidwójki - w końcu nie wytrzymałam. - Gra się je dwa razy szybciej, niż poprzedzające je nuty.

- Doskonale o tym wiem - odpowiedziała kandydatka na wirtuoza. - Ale to jest przypadkowo adagio, które jest powolne.

- Nuty trzydziestodwójkowe gra się zawsze o połowę krócej niż szesnastki. Niezależnie od tempa - uświadomiłam ją.

- Ale to przecież naturalne ritardando - upierała się Helen, odrzucając wyzywająco głowę w tył. — Jeśli masz pojęcie, co to takiego.

- Co za nonsens - znowu nie wytrzymałam. Och. Ojciec Leona — Karl — zmierzał w naszą stronę. Moje serce przyspieszyło w nieprzyjemny sposób i biło teraz jak szalone. - Gdyby Mozart chciał, żeby trzydziestkidwójki grać jak szesnastki, z pewnością by to zaznaczył.

- Ach tak? Czy tego się nauczyłaś podczas lekcji gry na flecie? - rzuciła mi beczelnie Helen, na co Corrine zachichotała.

Leon wcale się nie odezwał. Podobnie jak ja obserwował dokładnie ojca, który stał teraz w środku pomieszczenia, zatrzymany przez jakieś siwowłose małżeństwo. Bogu niech będą dzięki. Stojący obok mnie Leon również odetchnął z wyraźną ulgą.

- W takim razie zagraj lepiej, skoro się tak wymądrzasz! - Helen była wyraźnie wściekła. Wstała od fortepianu i pchnęła mnie w jego stronę.

-Co?

- No zagraj to, jak należy! - powtórzyła Helen. Corrine ponownie zachichotała.

- Helen! - napomniał ją Leon.

- Niech zagra! - Helen zacisnęła wargi, utworzyły teraz wąską kreskę. - Zamiast stać i głupio się wymądrzać, niech pokaże, na co ją stać i czy jest rzeczywiście lepsza! Ale wpiery muszę zapytać babcię, czy przypadkiem ma gdzieś flet.

Karl ponownie ruszył w naszą stronę.

- Uwaga, tata się zbliża - syknęła Corrine. Opadłam na stołek fortepianowy.

- Och nieeee! - jęknęła Helen. - Patrzcie, wzięła to na serio!

- Halo! Czy będzie koncert? - dotarł do mnie głos Karla.

- Tak! - potwierdziła Corrine z nieukrywanym szyderstwem w głosie, z góry ciesząc się z mojej klęski. - Carolin zamierza pokazać - Helen jęknęła teatralnie - jak powinno się grać allegro.

- Adagio - poprawiłam, po czym moje palce zawisły niezdecydowanie nad klawiszami. - Właściwie to chciałam jedynie pokazać, jak te trzydziestkidwójki... i szesnastki...

- Ależ nie tłumacz się! Zaczynj wreszcie grać! - Helen przerwała mi w pół zdania. - Cali zamieniamy się w słuch!

Serce biło mi jak szalone. Karl oparł się o fortepian i posłał mi uśmiech. No nie! Jeśli teraz zacznę grać, wszystko popsuję. Przecież nie mogłam do tego dopuścić. Najlepiej będzie, jeśli zagram jakiegoś prościutkiego walczyka do kotleta, uśmiechnę się i odejdę od fortepianu.

Spojrzałam w nuty.

Corrine i Helen chichotały jak szalone, jakby je łaskotano, wyśmiewając się ze mnie.

— Carolin — powiedział Leon, a w jego głosie słychać było zdenerwowanie.

Miał rację. Powinnam była wstać.

Wstać albo zagrać walczyka do kotleta. Jedno z dwojga.

Karl patrzył na mnie wyczekująco. I nagle nie byłam w stanie dłużej się opierać. Zaczęłam grać. Przy pierwszych taktach miałam jeszcze nieco sztywne palce, ale po chwili wczułam się w instrument i dziwnie zaczęłam się z każdym dźwiękiem coraz bardziej odprężyć. Pulsowanie za okiem wyraźnie się zmniejszyło i po chwili całkowicie ustąpiło. Nie potrzebowałam zaglądać w nuty, gdyż z każdym dotknięciem klawiatury coraz lepiej przypominałam sobie cały utwór. Zawsze uwielbiałam tę sonatę. A poza tym nie sprawiało mi żadnej różnicy, czy gram na fortepianie czy na klawikordzie. Każdą aplikaturę wykonywałam perfekcyjnie. Gdy zaczęłam grać drugą część, rozmowy wokół ucichły i coraz więcej osób gromadziło się wokół fortepianu, patrząc, jak gram. Dawno ucichł też chichot za moimi plecami.

Podeszli również dziadkowie Leona i słuchali mojej muzyki. Nie miało to dla mnie najmniejszego znaczenia, gdyż grałam jedynie dla Karla.

Gdy odrywałam wzrok od klawiatury, widziałam wyłącznie jego skupioną twarz i z jakiegoś irracjonalnego powodu miałam nadzieję, że uważał moją grę na fortepianie za równie sexy, jak umiejętność liczenia w pamięci.

Gdy przebrzmiała ostatnia część, otaczający mnie goście zgotowali mi gorącą owację. Wówczas Karl ponownie się uśmiechnął, a babka Leona powiedziała:

— To było cudowne, Carolin. Leon wcale nam nie powiedział, że ma pani taki wspaniały talent.

Usłyszałam za plecami, jak Leon wciąga powietrze.

— Chciałem to zachować na szczególny moment — powiedział lodowatym tonem.

Przygryzłam dolną wargę i spojrzałam z niedowierzaniem na swoje dłonie. Dlaczego to zrobiłam? Musiałam chyba kompletnie postradać zmysły! I to z powodu tego obcego mężczyzny. Tego zupełnie obcego, starego mężczyzny. Ojca Leona, właśnie obleganego przez Corrinę, która chciała go dalej fotografować, gdyż uznała, że nie zrobiła wystarczająco dużo zdjęć. Helen zaś zniknęła niczym kamfora.

Wstałam i odwróciłam się do Leona. Nie byłam w stanie spojrzeć mu w oczy.

-To było dobre - zauważył. Jego głos brzmiał cicho. - Zwłaszcza jak na kogoś, kto jako dziecko uczył się grać wyłącznie na flecie.

- Nigdy nie twierdziłam, że miałam lekcje gry tylko na flecie - odparowałam.

- Ależ tak, tak właśnie twierdziłaś - powiedział. -W ten sposób mogłaś jeszcze skuteczniej ośmieszyć moją młodszą siostrę. I to akurat przed ojcem.

Chciałam coś powiedzieć na swoją obronę, ale Leon nie dopuścił mnie do głosu.

- Wybacz, proszę. Idę jej poszukać. Zapewne siedzi w jakimś kącie i wypłakuje sobie oczy.

Odwrócił się na pięcie, zostawiając mnie całkiem samą.

*Łatwo jest brać życie ciężko.
I ciężko jest brać życie lekko.*
Erich Kastner

Pierwszy zeszyt przeznaczony dla pani Karcianodomskiej-Kuracjusz był już w połowie zapisany. Zrobiłam sobie przerwę, gdyż jeden z kotów Mimi wskoczył na stół, złapał w zęby długopis i zaczął ocierać się wielkim łbem

O kostki palców moich rąk.

Na zewnątrz zapadał zmrok. Czas na tabletki zapisane przez świra.

Oszczędziłam sobie dokładnego studiowania ulotki dołączonej do opakowania. Możliwe działania uboczne w przypadku każdego lekarstwa są tak czy siak do tego stopnia przerażające, że to doprawdy cud, że ludzie w ogóle odważają się je stosować. Czasami nawet zadajemy sobie pytanie, co jest gorsze: bóle głowy czy może mdłości i suchość w ustach występujące po zażyciu tabletki na ból głowy. W moim przypadku działania uboczne były szczególnie kuriozalne: po zażyciu jednej tabletki „w szczególnych przypadkach” mogą wystąpić depresje i huśtawki nastrojów. Ha, ha, ha.

Tyle co zdążyłam zażyć lekarstwo, popijając wodą z kranu, gdy zadzwoniła moja komórka. To była ponownie Mimi, z zapytaniem, gdzie jestem. Czekala na mnie od paru godzin i zaczęła się martwić. A poza tym dzisiaj znowu sprzedała kilka par butów Santiniego w rozmiarze 36. Jeśli dalej tak się będę guzdrać, to nic już nie zostanie.

- Już wychodzę - oznajmiłam.

W Bucikach&Klepcikach właśnie podawano cappuccino.

Sklep, jak zazwyczaj po południu, pełen był dzieci i wózków dziecięcych. Gdyby nie regały pełne butów, można by pomyśleć, że wdepnęło się w jedną z tych grup matek bawiących się wspólnie z dziećmi.

Mimi trzymała w ramionach dzieciaka, równocześnie doradzając klientce. Pomachała do mnie czarnym klapkiem. Jej partnerka, Constanze, pocałowała mnie nieproszona w policzek. W przeciwieństwie do mnie Mimi zawsze miała mnóstwo przyjaciółek. Wszystkie były niesamowicie miłe w stosunku do mnie, z tego tylko prostego powodu, że byłam ukochaną siostrzyczką Mimi. Nawet teraz, gdy stałam się obrzydliwą, humorzastą siostrą-wdową, okazywały mi jedynie ogromną serdeczność.

- Carolin, z cukrem czy bez? - zapytała Constanze.

- Bez. Ale proszę z bardzo dużą ilością spienionego mleka. I fajny byłby też kawałek szarlotki.

- Robi się! - Constanze uśmiechnęła się do mnie promiennie.

- Ach, żartowałam przecież - powiedziałam. - Przecież doskonale zdaję sobie sprawę, że to sklep z butami, a nie kawiarnia.

Dla Constanze moje stwierdzenie stanowiło najwidoczniej nowość.

- Upiekłam przecież dwie blachy szarlotki. Usiądź, proszę, tam z tyłu na sofie. Zaraz wszystko ci przyniosę.

Na ogromnej sofie o wygiętych nogach siedziały już Mimi oraz jej druga partnerka, Trudi, która właśnie karmiła dziecko.

- Cześć, smutna siostrzyczko Mimi - przywitała mnie, gdy usiadłam obok niej.

- Cześć, niezwykła partnerko Mimi, która w zasadzie powinna pokazywać się w sklepie wyłącznie we wtorkowe i czwartkowe przedpołudnia - odpowiedziałam.

Trudi westchnęła.

- Przecież to wszystko jedno, czy siedzę tu na sofie, czy w domu na kanapie. - Ponowne westchnienie. - Och, Constanze, czy też dostanę szarlotkę?

- Robi się! - potwierdziła Constanze.

Jej cótka, Nelly, siedziała za kasą zatopiona w lekturze *Homo Faber*, prawdopodobnie na potrzeby szkolne. Miała około piętnastu lat. Nogi, w dwóch różnych butach, położyła na ladzie. Na lewej stopie miała różową tenisówkę, zaś prawa obuta była w czarne czółenka ze srebrną klamerką.

- Trudi zjadła już dwa kawałki - powiedziała wyraźnie nadąsana.

- Ale ja karmię — uświadomiła mnie Trudi. — A wówczas można jeść, ile dusza zapagnie, a mimo to się chudnie.

- Nie schudłaś ani grama - zauważyła Nelly. - Powiedziałabym, że jesteś tłusta jak kaczką.

- Jak gęś - poprawiła ją Trudi. - Mówi się tłusta jak gęś.

- Wszystko jedno, co się mówi. Liczy się jedynie słowo tłusty - skwitowała Nelly.

- Nie bądź taka bezczelna wobec Trudi! — Constanze przechodząc, dała Nelly kuksańca. - A przede wszystkim zdejmij te giczoły ze stołu! I przestań się zgrywać!

- Wcale się nie zgrywam, tylko robię reklamę waszym butom! - odszczeknęła Nelly, nie zdejmując nóg z lady. — To się nazywa *productplacement*.

Malutki syn Constanze, którego imię wyleciało mi z głowy, sortował w kącie pasty do butów według kolorów. Wydawał się być całkowicie pochłonięty tą „pracą” i coś tam mrucał do siebie pod nosem.

Mimi zapakowała klientce do kartonów dwie pary butów, które następnie wsadziła do dużej czerwonej papierowej torby z napisem i logo Buciki&Klepciki. Kobieta tak była zadowolona z zakupu, że omal zapomniałaby o dziecku. A Mimi prawdopodobnie nie miałaby nic przeciwko temu.

Kolejna klientka nie przyprowadziła co prawda ze sobą żadnego dziecka, ale też nie wyszła z pustymi rękoma, gdyż w rekordowo krótkim czasie zdecydowała się na dwie pary butów. Otwierałam szeroko oczy ze zdziwienia, gdyż sama nie kupowałam rocznie więcej niż jedną parę i nigdy by mi nawet nie przyszło do głowy nabyć w jednym dniu i do tego w jednym sklepie aż dwóch. Nawet wówczas, gdyby dawano za to darmową szarlotkę i do tego cappuccino. Ale jak widać, wszyscy tutaj musieli być zakupoholikami. Albo znajdować się w stanie hipnozy. Najwidoczniej nikt nie opuszczał tego sklepu z pustymi rękami. Każdy wychodził co najmniej ze wstążką do włosów. (Były nawet takie, które dokładnie pasowały zarówno do butów, jak i torebek. Prawda, że perwersja?).

Pewna kobieta jeszcze dobrze nie przestąpiła progu, a już pokazywała na czarne czółenka, które Nelly miała na prawej stopie, pytając równocześnie:

— Czy macie rozmiar 39?

Gdy wyszła z czarnymi butami w torbie, Nelly posłała matce pełen tryumfu grymas, zdjęła długie nogi z lady, po czym włożyła na jedną stopę srebrny wieczorowy sandałek, a na drugą wściekle zielone gumowe kalosze w truskawki. Po czym ponownie położyła nogi na ladzie i na powrót pograżyła się w *Homo Faberze*.

- Tę znam - stwierdziła Trudi, gdy w drzwiach pojawiła się następna

klientka. - Chodziła razem ze mną na kurs terapii oddechowej. Weź ją. -
Podała mi dziecko. -Musi jej się jeszcze odbić.

Zostałam z dzieckiem w ramionach i, muszę przyznać, czułam się trochę niezręcznie. Pamiętałam jeszcze z czasów niemowlęctwa mojej bratanicy, Eliane, że „odbicie się” oznacza ni mniej, ni więcej, jak „zarzycie cię od góry do dołu”. Lecz maluch Trudi zaskoczył mnie pozytywnie: dziecko położyło mi główkę na ramieniu, po czym spokojnie zasnęło. Jak na takie maleństwo, to trzeba stwierdzić, była dosyć ciężka. Nie miałam odwagi się poruszyć ze strachu, że może się obudzić po to tylko, by mnie dokumentnie obrzygać. Jednak po chwili zjawiała się Mimi i zabrała mi dzieciaka.

- Czy nie jest to najśłodsze stworzonko na świecie?

- szepnęła z zachwytem. - Te maluteńkie rączki i ten puszek na główce. Jest rozkoszna.

- To samo mówiłaś o wyjcu Anny - zauważyła Nelly, nie podnosząc nawet głowy znad książki.

- Tak mówi o każdym dziecku - stwierdziłam.

- Bo wszystkie są rozkoszne - odpowiedziała Mimi.

— Po prostu malutkie cudenka. O, popatrz tylko, France-sca ziewnęła! Widząc siostrę z obcym dzieckiem w ramionach, malującą się w jej oczach potworną tęsknotę, utwierdziłam się ogólnie w swoim negatywnym poglądzie na życie, a szczególnie w przekonaniu dotyczącym podziału szczęścia i nieszczęścia: ani jedno, ani drugie nie było sprawiedliwe. Największym marzeniem Mimi było posiadanie dzieci, lecz od momentu poronienia półtora roku temu nigdy już nie zaszła w ciążę. Zaś innym ludziom ciągle rodziły się dzieci, również tym, którzy wcale ich nie chcieli. Albo tym, którzy wychowywali je na rozpusz-

czone, bezczelne bachory, jak to miało miejsce w przypadku Piły Tarczowej i mojego brata w odniesieniu do ich córki, Eliane. Natomiast Ronnie i Mimi, którzy byli wręcz stworzeni na dobrych rodziców, w dalszym ciągu pozostawali bezdzietni.

Mimi zawsze chciała mieć co najmniej czwórkę dzieci i imię dla pierworodnego wybrała na długo przedtem, zanim poznała Ronniego: Nina-Louise dla dziewczynki i Seweryn dla chłopczyka. (Jak jakiś most. Zdaję sobie sprawę, że uważam to za totalnie... ale cóż, są najróżniejsze gusta na tym świecie). Ale dziwnym trafem Ronnie wcale nie uważał tych imion za dziwaczne. A co jeszcze dziwniejsze - uznał je za naprawdę piękne.

Gdy zeszliśmy się z Karlem, koronnym argumentem Mimi przeciwko naszemu związkowi była zawsze kwestia dzieci.

- Jeśli wyjdiesz za tego człowieka, oznacza to, że nie będziesz mieć dzieci - powtarzała nieustannie. - Proszę cię, nie rób tego. Jesteś jeszcze taka młoda.

- Ale ja wcale nie chcę dzieci - odpowiadałam.

- Jeszcze ich nie chcesz! Ale uwierz mi, kiedyś przyjdzie taki czas, że zmienisz zdanie. I okaże się, że poślubiłaś niewłaściwego mężczyznę.

Gdy powtórzyłam Karlowi tę rozmowę, jedynie wzruszył ramionami i spokojnie stwierdził:

- Twoja siostra ma rację. Nie chcę już więcej dzieci. Te, które mam, całkowicie mi wystarczają. Zawsze mi uzmysławiają, że zawiodłem jako ojciec. Daj sobie spokój z wychodzeniem za mnie!

Być może Mimi rzeczywiście miała rację. Kiedyś prawdopodobnie przyszedłby ten moment, w którym zapragnęłabym dziecka. Ale jak do tej pory jeszcze nie nadszedł.

- Dokładkę szarlotki? — Constanze przywołała mnie do rzeczywistości. — Zostały jeszcze tylko dwa kawałki! — stwierdziła ponuro Nelly, co zapewne miało oznaczać: „Ani się nie waż ich zeżreć!”.

— Nelly, zaraz będzie kolacja! — przypomniała Constanze.
— No i co z tego?
— Sądziłam, że masz złamane serce!
— A co to ma wspólnego z jedzeniem?
— Złamane serce źle wpływa na apetyt — poinformowała ją Constanze.
— Nie u mnie - stwierdziła Nelly. - U mnie wpływa wyłącznie na zły nastrój.
— Nie widzę żadnej różnicy. I powtarzam raz jeszcze: zdejmij wreszcie nogi ze stołu! - Constanze pacnęła w gumowce, po czym odwróciła się do nas. - Widziałyście? Sprzedałyśmy dziś trzy torebki Gittiego. Nawet tę śmieszna w kratkę z jeleniem. Klientka była zdania, że jest zupełnie w stylu retro. A ja naprawdę próbowałam jej to wyperswadować.
— Gitti będzie zadowolony — powiedziała Mimi. — To rekompensuje porażkę z filcowymi ocieplaczami nadgarstków, których nikt nie chciał.
— Poza kobietą, która sądziła, że to ściery do garów — zauważyła Nelly. Tymczasem Trudi odprowadziła do drzwi klientkę obładowaną dwoma czerwonymi torbami. Następnie klapnęła na sofę obok mnie.
— To jedna z tych, które mówią: chcę się jedynie trochę porozglądać, z góry twatdo postanawiając, że nie sięgną do portmonetki. Musiałam wspólnie z nią trochę pooddychać i przypomnieć jej, że wszechświat oferuje nam wszystkiego w bród i że człowiekowi należy się choć trochę luksusu. Również jej, co sprawiło, że nagle nabrała przekonania, iż wszystko, co tu widzi, już jutro

może zostać wykupione. Dobry Boże, musiałam ją wręcz powstrzymać, by nie zgarnęła wszystkiego. Zamierza przyjść ponownie w przyszłym tygodniu i przyprowadzić wszystkie swoje przyjaciółki, by kupić, co jeszcze zostało. - Trudi przeciągnęła się z zadowoleniem. — Naprawdę wierzę, że będziemy bogate.

Malutki synek Constanze wdrapał się Trudi na kolana, po czym wtulił się w jej obfity biust.

- Czy wtedy kupimy sobie okręt? — zapytał.

- Nie, Juliuszku, mój skarbie - odpowiedziała Constanze. - Ale za to będziemy mogli zapłacić kafelkarzowi. A to już jest przecież coś. Ach, dziewczyny, jestem taka szczęśliwa. Zupełnie nie zdawałam sobie sprawy, co to za wspaniałe uczucie, mieć wreszcie własne zarobione pieniądze.

- Wcale nie jest ich znowu aż tak dużo - zauważyła Mimi. - Ale muszę przyznać, że obrót przerósł moje najśmielsze oczekiwania. I rośnie z miesiąca na miesiąc. Nawet w lecie nie odczuliśmy specjalnego spadku.

- Constanze, czy to prawda, że nigdy wcześniej nie pracowałaś? - Trudi najwidoczniej chciała się upewnić co do stanu swojej wiedzy. - Nawet na studiach?

W odpowiedzi Constanze jedynie potrząsnęła głową.

- Nie. Tak się złożyło, że wcześniej i bogato wyszłam za mąż - przyznała. Po czym z uśmiechem dodała: - Za bogatego d... aaach. — Rzuciwszy z boku spojrzenie na syna, przerwała.

- Dupka? — uzupełniła Nelly, co sprawiło, że Trudi natychmiast zasłoniła chłopczykowi uszy. - Donosiciela? Dorobkiewicza? Durnia?

- Doradcę podatkowego i zarazem prawnika — powiedziała Constanze.

- Trzeba stwierdzić, że masz szczególny pociąg do tego rodzaju typków - zauważyła Mimi. Aktualny partner życiowy Constanze też był mianowicie prawnikiem. Jego kancelaria reprezentowała mnie w postępowaniu spadkowym.

- Taaa — Nelly zwróciła się do matki — trudno powiedzieć, żebyś była

światlanym przykładem! I akurat ty chcesz mi wmówić, że powinnam roznosić gazety, bo to dla mnie dobre i ważne zajęcie!

- Przypomniało mi się, że przecież też kiedyś zarabiałam pieniądze. - Constanze pośpieszyła z odpowiedzią. — Podczas wakacji szkolnych w hodowli w bateriach klatkowych Bauera Klaasensa. Za siedem pięćdziesiąt za godzinę. I to marek. Prawdziwie parszywa robota. W porównaniu z nią roznoszenie raz w tygodniu gazet to naprawdę pryszcz. Julek, czemu tak obwąchujesz Trudi?

- Bo śmierdzi bukiem — odpowiedział Juliusz.

- Nie mówi się bukiem, tylko zbukiem - poprawiła Nelly. - Musisz oddychać przez usta. Zawsze tak robię. Mamo, powiedz coś więcej o tej twojej parszywej robocie. Nie wierzę w ani jedno słowo!

- Możesz zapytać babci! Miałam prawo wstępu do domu dopiero wówczas, gdy cała splukałam się od góry do dołu wodą z węża — oznajmiła Constanze, po czym dodała speszona: - ale wytrzymałam też tylko dwa tygodnie, gdyż bardzo mi było żal tych biednych kurczaków. A Bauer Klaasens powiedział mi, że nie chce takiej beksy jak ja.

Trudi roześmiała się.

- A jak ty zarabiasz pieniądze, mała siostrzyczko Mimi?

Natychmiast poczułam się nieswojo.

- Też wyszłam młodo za mąż - przyznałam. - I praktycznie teraz dziedzicę. Też młodo.

- Właśnie była w trakcie pisania pracy magisterskiej, gdy... - Mimi zająknęła się - ...gdy zmarł jej mąż.

- Też byłam wieczną studentką - Trudi pośpieszyła mi z pomocą, chcąc mnie trochę rozweselić.
- Z tym, że Carolin kończy już trzecie studia z kolei - poinformowała Mimi, kołysząc dziecko Trudi. - Najpierw studiowała geofizykę i meteorologię w Hanowerze, a potem prawo w Kolonii. Lecz gdy poznała Karla, przerwała te studia i zapisała się na romanistykę w Madrycie. A później studiowała ekonomikę i zarządzanie przedsiębiorstw. W Zurychu.
- W Sankt Gallen - sprostowałam.
- Właśnie. Dojeżdżała tam codziennie z Zurychu pociągiem. A wieczorem wracała. Podczas jazdy tłumaczyła hiszpańskie artykuły dla różnych magazynów gospodarczych. Jej skąpi... mąż miał jedynie skromną pensję docenta. No i do tego kilka kamienic z mieszkaniami na wynajem, całe fury akcji i coś tam jeszcze na ozdobę, o czym Carolin wcale nie powiedział.
- Wredna Lucilla wykorzystuje każdą okazję, by nabijać biednej siostrze głowę różnymi podłościami - zrewanżowałam się. - Podobnie jak w dzieciństwie przybijała jej do tejże głowy wstążki.
- Przyklejałam, a nie przybijałam, ty nieznośna łysa pało! - oburzyła się Mimi. - Poza tym Carolin mówi biegle po angielsku, hiszpańsku, francusku, włosku, po polsku i koreańsku.
- Wcale nie biegle - ponownie czułam się w obowiązku sprostować wypowiedź siostry. Po włosku potrafiłam jedynie czytać, o ile w ogóle można to nazwać czytaniem. A po koreańsku nigdy z nikim nie rozmawiałam - z wyjątkiem nauczyciela gry na klawikordzie.
- Czyli jesteś czymś w rodzaju cudownego dziecka? - zainteresowała się Nelly.
- Byłam czymś w rodzaju cudownego dziecka - kolejny raz czułam się zmuszona sprostować czyjaś wypo-

wiedź. Nie byłam już dzieckiem. Pozostałam, co najwyżej, cudowna.

- Trzy skończone kierunki studiów! Auuu! - Trudi była wyraźnie pod wrażeniem. - I co teraz zamierzasz z tym zrobić? A raczej co zamierzałaś z tym zrobić, zanim zmarł twój mąż?

Wzruszyłam ramionami.

- W Londynie można było robić uzupełniające studia magisterskie drugiego stopnia. Prawdopodobnie bym się na nie zapisała.

- Na czwarty kierunek? Naprawdę? Nie masz przypadkiem tej całej nauki po dziurki w nosie?

Nie odpowiedziałam.

— Ale przecież musisz mieć też jakieś plany zawodowe. - Trudi dalej drażyła temat. - Jakiś wymarzony zawód, który byś chętnie wykonywała. W dalszym ciągu milczałam.

— Ja przykładowo zawsze chciałam pracować z ludźmi i przybliżać im cuda wszechświata za pomocą ćwiczeń oddechowych, tańca, medytacji i prawdziwej komunikacji z naszymi duchowymi przewodnikami.

I na taką też wyglądasz.

— A ty? O jakim zawodzie marzysz? Jaka praca byłaby dla ciebie optymalna? - Trudi spojrzała na mnie wyczekująco. A właściwie to wszyscy zaczęli się we mnie wpatrywać jak sroki w gnat.

Niestety, Trudi dotknęła bolesnej kwestii. Nie miałam żadnych planów zawodowych. Jedyne, co planowałam, to starzeć się razem z Karlem. Wpierw miał się zestarzeć on, potem ja. Lecz wredne życie wszystko pokrzyżowało.

Moim problemem było to, że nie miałam żadnych wybijających się zdolności, gdyż byłam uzdolniona w tym samym stopniu we wszystkich dziedzinach. A ponadto nie

było nic, co robiłabym z prawdziwym zapalem. Dlatego bylam zdania, ze studiowanie to jedyna rzecz, ktora moge robic naprawde dobrze. I niezaleznie od tego, ile wpakowalam do mozgu, wciaz bylo w nim jeszcze dosc miejsca na dalsze informacje, ktore moglam z latwoscia przyswajac. Dobre oceny wiaze sie zawsze z konkretnymi zainteresowaniami, zgodnie z dewiza, ze co sie dobrze zna i umie, to sie tez chetnie robi. Mnie jednak to stwierdzenie nie dotyczylo.

Wezmy na przyklad liryki Vicente Aleixandre y Merlo - zasadniczo tez nie darzylam tego poety szczegolna sympatia. Mimo to znalam na pamiec wszystkich jego piec poematow po niemiecku i hiszpańsku. Jesli mam byc szczerza, to rownie malo interesowaly mnie alokacje skapych zasobow naturalnych, za cała matematykę finansową uważalam za jedno wielkie gówno. Lecz mój mózg nie miał z jej zrozumieniem najmniejszych problemów i wszystko zapamiętywał bez żadnego wysiłku z mojej strony. Co wcale nie oznaczalo, ze w przyszłości zamierzalam zostac dyrektorem do spraw marketingu czy tez zatrudnic sie jako nauczycielka hiszpańskiego.

- Nie wiem - przyznalam. - Moim zyciowym marzeniem bylo wieczne studiowanie az do emerytury.

-Tez nie mialam zadnych zawodowych ambicji -przyznala Constanze, glaskajac mnie z czulością po ramieniu. - W zasadzie zawsze bylam zadowolona z tego, ze moge wychowywac dzieci, troszczac sie o nie.

- Ale Carolin nie ma dzieci - zauwazyła przytomnie Trudi.

Mimi westchnęła.

- Przecież jest jeszcze bardzo mloda - zauwazyła Constanze.

- To całkiem jak ty, mamó - zauwazyła Nelly. Trudi przejechała palcami po blond lokach synka

Constanze.

- Czasami bywa tak, że nie od razu się wie, czego się naprawdę chce. Dlatego ma się anioły i duchowych przewodników. Wiesz, nic się nie dzieje bez powodu!

Ach tak!

- Również śmierć twojego męża ma jakiś sens, który kiedyś odkryjesz. - Trudi kontynuowała swój wywód.

- Jeśli tylko będę prawidłowo oddychać? - O rany, Trudi jako dziecko naprawdę musiała wypaść z łóżeczka prosto na głowę. - Albo sądzisz, że moi aniołowie i duchowi przewodnicy skrzyknęli się do kupy i zawiązali spisek mający na celu zamordowanie mojego męża po to, żebym w końcu przestała studiować?

Zamiast szoku lub zakłopotania, albo choć odrobiny zawstydzienia, Trudi wzruszyła jedynie ramionami.

- Wiem jedynie, że wszystko, co się wydarza, ma jakiś głęboki sens.

- Bzdura! - ostro zaprotestowała Constanze. - Na świecie zdarza się tyle okropieństw, z których naprawdę tylko nieliczne mają jakikolwiek sens!

- To ty tak sądzisz! - odparowała Trudi.

Złapałam rozbawione spojrzenie Mimi i zmarszczyłam czoło. Świetnie, że podchodzi do tego z humorem. Dla mnie taka partnerka w interesach, przypisująca całą winę za wszystko, co się wydarzy, aniołom, byłaby doprawdy nie do wytrzymania.

- Czyli jesteś teraz naprawdę bogatą wdową? - zainteresowała się Nelly.

- Jasne! Przecież odziedziczyłam żyrandole i tabakierki. Pytanie tylko, gdzie one są. Bardzo chętnie bym je wystawiła na eBayu.

- Cool! Jeśli w ogóle wyjdę za mąż, to też tylko za bogatego faceta. Wtedy nie będzie tak strasznie smutno, gdy stuknie w kalendarz. - Nelly podeszła rzeczowo do sprawy.

Musiałam się uśmiechnąć. Spadek dla rodziny zmarłego - zasadniczo to świetny pomysł.

- Przekonamy się, co z tego zostanie - trzeźwo stwierdziła Mimi. - Niestety, Carolin musi podzielić się spadkiem z całą chmarą żarłocznych sępów. A jak wiadomo, masa spadkowa zmniejsza się w miarę zwiększania się masy spadkobierców.

- I naprawdę nie miałaś pojęcia, że ten typ siedział na workach z pieniędzmi? - zainteresowała się Trudi.

- Ja nie. Ale z pewnością moi aniołowie, którzy wpakowali mnie prosto w jego ramiona - wypaliłam bez namysłu. Chciałam swoją wypowiedź okraszyć odpowiednio złośliwym uśmiechem, ale kąciki moich ust zatrzymały się wpół drogi.

A jeśli to rzeczywiście anioły były odpowiedzialne za całe to zamieszanie?

O niektórych prawdach nie należy mówić.

O innych mówić nie trzeba.

A pewne trzeba koniecznie powiedzieć.

Wilhelm Busch

Wyłącznie dla pani Katcianodomskiej-Kuracjusz celem głęboko filozoficznej interpretacji: jako dziecko nie lubiłam Wilhelma Buscha z powodu Maxa, Moritza i sprawy z biedronkami. Natomiast dziś jestem zdania, że był to mądry, dowcipny człowiek. Gdyby był tak ze sto trzydzieści lat młodszy, byłby dokładnie w moim typie.

- Zupełnie cię nie rozumiem. - Leon przerwał wreszcie milczenie. —

Dlaczego ośmieszasz moje siostry na oczach wszystkich?

Siedzieliśmy w jego samochodzie zaparkowanym przed moim akademikiem. Podczas gdy mówił, wysuływałam szpilki z włosów upiętych z tyłu głowy. Jego głos i spojrzenia były (nawet w ciemności) tak lodowate, że aż się trzęsłam z zimna i miałam wrażenie, że zrobiłam coś złego.

Podczas gdy, dokładnie rzecz biorąc, zagrałam jedynie na fortepianie.

- Nigdy nie twierdziłam, że umiem grać wyłącznie na flecie. Mówiłam...

- Przestań wreszcie powtarzać w kółko wciąż tę samą śpiewkę. Doskonale pamiętam, co mówiłaś. Nie rozumiem tylko dlaczego.

Poważnie zastanowiłam się nad odpowiedzią.

- Sądzę, że chciałam powiedzieć coś, co się będzie podobać twojej matce. I nie rozumiem, dlaczego tak się na mnie wściekasz. - Podobnie jak nie wiedziałam, dlaczego tak gryzie mnie sumienie. - Przecież to Helen należała, żebym zagrała ten utwór.

- Tak, lecz ona...

- ...chciała, żebym to ja się skompromitowała. Wybacz, proszę, że nie dałam jej tej satysfakcji.

Leon potrząsnął głową.

- Dobry Boże, przecież ona ma dopiero siedemnaście lat. Ty natomiast masz okres dojrzewania już dawno za sobą. Celowo ją ośmieszyłaś. Nigdy by mi nawet nie przyszło na myśl, że możesz być aż do tego stopnia wredna. Naprawdę! I właśnie to zawsze w tobie tak bardzo cenilem, że byłaś zupełnie... niekłopotliwa.

Teraz to już naprawdę przesadził. Byłam bliska płaczu.

- Uważam, że twoje siostry zachowują się względem mnie całkowicie nie w porządku. Ty natomiast udajesz, że tego nie zauważasz. Poza rym zadaję sobie pytanie, dlaczego jesteś na mnie wściekły. Czy przypadkiem nie dlatego, że lepiej od nich gram na fortepianie?

- Ach, skończ wreszcie! Celowo przedstawiłaś sprawę w taki sposób, żebyśmy uwierzyli, że ledwie co grasz na flecie. Chyba tylko po to, żeby przy pierwszej lepszej nadarzającej się okazji móc je skompromitować.

-To nieprawda. Było dokładnie na odwrót. Nie chciałam się tym chwalić. Twoja matka piała z takim zachwytem o waszych zdolnościach, że doszłam do wniosku, iż wcale nie będzie wam w smak usłyszeć, że jestem w czymś lepsza od was wszystkich razem wziętych...

-Ach, tak. A teraz to moja matka jest winna temu, że skłamałaś.

- Wcale nie kłamałam!

— Przemilczenie jest równoznaczne z kłamstwem! — stwierdził.

— Jako przyszły prawnik powinieneś przecież wiedzieć, że to nieprawda.
- Lecz nie z moralnego punktu widzenia. Teraz zapewne powiesz mi, że w momencie przyjścia na świat miałeś dziesięć zębów.

Co proszę?

— I co wtedy? Zerwiesz ze mną?

- Chodzi o zasadę - oznajmił. - Jesteśmy ze sobą od pięciu miesięcy i jak widać, nie powiedziałaś mi prawdy.

Tak, tu miał rację. Ja zaś wcale nie byłam pewna, czy był to właściwy moment do jej ujawnienia. Z drugiej strony, jeśli nie teraz, to kiedy?

— Moi rodzice byli już ponad trzydzieści lat małżeństwem, a ojciec nadal nie wiedział, że matka ma częściową protezę - powiedziałam po chwili. - Z drugiej zaś strony matka nie ma pojęcia, że ojciec co srodę gra w totka. Uważam, że będąc w związku, nie wszystko mówi się od razu. Poza tym to przecież nie zbrodnia, że umiem grać na fortepianie. A propos, gram też zupełnie nieźle na mandolinie. - Gdy Leon nadal milczał, dodałam dzielnie: — I jest jeszcze cały szereg rzeczy, których o mnie nie wiesz.

- Ach tak?!

- Tak. - Przełknęłam ślinę, po czym podniosłam zdecydowanie podbródek. Jeśli teraz zapyta, co to za rzeczy, opowiem mu wszystko o Albercie Einstein. Nie pomnę nawet Olivera Henselmeiera. A jeśli zajdzie taka potrzeba, to i koreańskiego.

Jednakże Leon jedynie westchnął. Najwidoczniej błędził myślami gdzieś indziej.

Rozglądałam się za czymś, co bym mogła policzyć. Liczenie działało uspokajająco. Naliczyłam szesnaście

okien w akademiku. Osiemdziesiąt pereł na swojej szyi. A teraz zajęłam się szpilkami do włosów...

- Znowu coś liczysz? - zapytał po chwili.

- Czternaście, piętnaście, szesnaście - szeptałam.

- To dość osobliwy nawyk, Carolin. Rzuca się w oczy również innym.

- Wstydzisz się mnie?

- Co? Ależ nie! - westchnął. - Lecz musisz przyznać, że jesteś nieco... dziwna!

- W rzeczywistości jestem jeszcze dużo dziwniejsza. - W półmroku próbowałam spojrzeć ostro na Leona. - Jesteś... dziś jesteś bardzo podły. Przypominasz mi pewnego Leona z podstawówki... - Ponownie poczułam rosnącą w gardle kluchę. Musiałam przerwać, by nie wybuchnąć płaczem.

- Odnoszę wrażenie, że próbujesz wszystkich sztuczek, by odwrócić kota ogonem - stwierdził. - Nie znoszę ludzi, którzy nie potrafią przyznać się do błędu i prędzej odgryzą sobie język, niż powiedzą przepraszam.

- Jakiego znowu kota?

- Ach, skończ z tym wreszcie. Wiesz dobrze, jakiego nawarzyłaś piwa. W pewnym sensie miał rację.

- Przykro mi - wyszeptałam.

Przez chwilę panowało milczenie. Po czym Leon zaskoczył mnie, mówiąc:

- Też mi przykro. - A następnie, jękając się, kontynuował: - Jestem tylko... ale ty przecież też... - I nagle wybuchnął: - Wiesz, to wszystko przez ojca!

Gdy tylko się pojawia, jestem zawsze, sam nie wiem, jak by to powiedzieć, *podminowany*. Mam wówczas wrażenie, że powinienem chronić siostry. A najchętniej złapałbym go za kołnierz i solidnie nim potrząsnął... Pojawia się znikąd, wyskakując jak diabeł z pudełka, po czym przepada nie

wiadomo gdzie, pozostawiając po sobie okropne zamieszanie, co za każdym razem doprowadza mnie do... potwornej wściekłości.

- Rozumiem - przyznałam, mimo że była to nieprawda. Ale co to miało, do licha, wspólnego ze mną?

Leon mlasnął.

- A do tego wszystkiego zamiast zająć się córkami, flirtuje z *tobą*. To już przechodzi ludzkie pojęcie!

— Ale on wcale ze mną nie flirtował. — Jak to dobrze, że było ciemno. W przeciwnym razie Leon zauważyłby, że się zaczerwieniłam. Nie mogło być mowy o żadnym flircie. Po moim występie nie zamieniliśmy już z Karlem ani słowa. Obiegli go inni goście, córki i rodzice. Mnie zaś Leon pociągnął do garderoby, nie dając nawet możliwości stosownego pożegnania się z gospodarzami. — Zamiast tkwić w kącie, mogłeś przecież podejść do niego.

- By stać obok, wychodząc na głupka, podczas gdy on podrywał żonę deputowanego? - W głosie Leona słychać było wściekłość. - Nie, dziękuję, chętnie to sobie odpuściłem. Ale on już ma taki sposób bycia. Flirtuje bez umiaru z *każdą* kobietą. Naprawdę zastanawiam się, jak matka mogła to znosić przez tyle lat. Chciałbym, żeby poświęcał swoim dzieciom chociaż połowę tej uwagi, co pierwszej lepszej babie.

— Ale przecież sam koniecznie chciałeś wyjść tak wcześnie. Jakim cudem mógł się w tej sytuacji wami zająć? Nie dałeś mu po temu żadnej możliwości.

— Ach! To byłoby tak czy siak tylko na pokaz. Taki show pod publiczność. Jak można w tak krótkim czasie zbliżyć się do siebie? Przecież już jutro wieczorem odlatuje z powrotem do Madrytu.

Na tę wiadomość ogarnął mnie dziwny żal. Lecz szybko wzięłam się w garść. Wysupłałam już wszystkie dwadzieścia sześć szpilek i potrząsnęłam głową. Włosy

rozwiały się na wszystkie strony. Wówczas zadałam pytanie, które przez cały czas mnie nurtowało:

— Leonie, ile właściwie lat ma rwój ojciec?

— Czterdzieści osiem — odpowiedział. — Ale najwidoczniej przeoczył, ile mu już stuknęło na liczniku i jest przekonany, że w tych wymiętolonych koszulach nie wygląda na swoje lata.

Czterdzieści osiem. Ponad dwa razy tyle, co ja. Prawdziwy dinozaur. Prawie stojący nad grobem. To cud, że jeszcze żyje.

— Nie ma zielonego pojęcia, jak powinien traktować swoje dzieci i jak się z nimi obchodzić. Bez przerwy ma nam coś do zarzucenia i ciągle wybrzydza. Wiesz, co powiedział Helen, gdy mu się zwierzyła ze swoich planów zostania modelką? — Leon aż zapienił się z wściekłości. — „Żeby odkryć Amerykę, Kolumb musiał marzyć o Indiach”.

— *Żeby odkryć Amerykę, Kolumb musiał marzyć o Indiach.* — powtórzyłam. To zdanie nadzwyczajnie mi się spodobało. A zatem czterdzieści osiem. Ile lat miał Brad Pitt? A czy Johnny Depp przypadkiem nie zbliżał się do pięćdziesiątki? A przecież chyba nikomu na świecie nie przyszło do głowy nazywać ich starymi? Gdy uświadomiłam sobie, o czym myślę, sama najchętniej trzepnęłabym się porządnie w ucho. — To przecież bardzo... poetyckie i mądre.

— To nie jego - Leon prychnął pogardliwie. - Skądś to podkradł. Bez przerwy sypie cytatami w taki sposób, jakby sam je wymyślił. To zwyczajny hochsztapler.

Milczeliśmy przez chwilę.

— Wejdiesz ze mną na górę? - zapytałam.

— Nie. — Leon potrząsnął głową. — We wtorek piszę kolokwium z prawa publicznego i muszę jeszcze sporo powkuwać. Jutro chcę wcześniej wstać, by jeszcze móc coś zrobić. A potem zawożę dziewczyny do domu. - Helen i Corrine nocowały u dziadków w pokoju gościnnym. — Nie gniewaj się.

Nie, wcale się nie gniewałam. Byłam jedynie rozczarowana, gdyż Leon sprawiał wrażenie, jakby wcale nie interesowały go pozostałe sprawy, o których do tej pory nie powiedziałam mu ani słowa. A co gorsza, straciłam okazję kontynuowania rozmowy o jego ojcu.

W tym momencie zadzwoniła moja komórka. Usłyszałam głos mamy, która chciała mnie poinformować, że zostałam ciotką. Dziecko brata przyszło na świat przed niespełną godziną. Mama zamierzała złożyć mi szczegółowe sprawozdanie z przebiegu porodu:

- O szesnastej pękł pęcherz płodowy, lecz Zuzanna nie miała jeszcze bólów. Gdy zadzwonił Manuel, powiedziałam mu, że jak go rodziłam, to też przedwcześnie pękł mi pęcherz i że... - W tym momencie przerwałam jej pytaniem, jak tam pies.

- *Piesi* Jaki pies? — zdziwiła się.

Ha! Wiedziałam. Wystarczy, że się pojawiło niemowlę, a zwierzęta natychmiast szły w ką. Zawsze tak było, jest i będzie.

- Piła Tarczowa urodziła córkę - poinformowałam Leona. - Wygląda na to, że będę musiała pojechać na parę dni do Hanoweru. W przeciwnym razie nikt się nie będzie zajmować psem. Tak ich pokręciło, że z pewnością zostawią go na pastwę losu.

- Dlaczego właściwie nazywacie tę biedną kobietę Piłą Tarczową? Czy to z powodu okropnego głosu?

- Nie, wcale nie. To z powodu jej tyłka, płaskiego jak piła tarczowa.

- To podłe. Przecież to nie jej wina.

- Przecież nie mówimy jej tego prosto w twarz - broniłam się.

Lecz nie udało mi się go udobruchać. Ponownie potrząsnął głową.

- Dziś wieczorem po raz pierwszy zauważyłem, jaka potrafisz być niemożliwa. Najwidoczniej stworzyłem sobie w myślach twój idealny obraz, niemający niestety nic wspólnego z rzeczywistością.

Co proszę?

- Żartujesz sobie czy co? Nawet sobie nie potrafię wyobrazić, co twoje siostry mówią o mnie za plecami!

- Jesteś paranoiczką!

No nie, tego już było za wiele!

- Jesteś w stosunku do mnie wyjątkowo obrzydliwy! - Powiedziawszy to, otworzyłam drzwi samochodu i wysiadłam w nadziei, że Leon mnie zatrzyma. Jednak nie zrobił tego.

Stałam niezdecydowana koło auta, rzucając mu spojrzenia.

- No więc w takim razie... już sobie pójdę - powiedziałam w końcu.

- Możesz się odezwać, jak wrócisz — odpowiedział.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Leon westchnął.

- Sądzę, że obojgu nam wyjdzie na dobre, jeśli przez jakiś czas pozostaniemy na dystans i nie będziemy się spotykać.

Te słowa sprawiły, że poczułam się co najmniej zdezorientowana. Nie miałam wprawdzie żadnego praktycznego doświadczenia, ale czy przypadkiem „wyjdzie nam obojgu na dobre, jeśli przez jakiś czas pozostaniemy na dystans i nie będziemy się spotykać” nie oznaczało tego samego, co „to już koniec z nami”?

- Jak długo?

Źle, że znowu musiałam powstrzymać łzy, co nie uszło uwagi Leona.

- Może jeszcze kiedyś do ciebie zadzwonię. - Brzmiało to zupełnie niezobowiązująco.

Próbowałam odgadnąć wyraz jego twarzy, ledwie widocznej w półmroku.

- Ummm. Fajnie by było.

Nagle poczułam się tak, jakbym miała w żołądku ogromny kamień. Próbując łykać łyzy, poczułam straszny ból gardła.

- Leonie? A jeżeli faktycznie urodziłabym się z sześcioma zębami, to co wtedy? - W moim głosie słychać było potworną gorycz. Natychmiast pożałowałam zadanego pytania.

- Nie, teraz to już zaczyna być śmieszne. Porozmawiamy o tym kiedy indziej, zgoda? Daj mi trochę czasu na przemyślenie wszystkiego. - Zapalił silnik. - To nie zaszkodzi.

Nie pozostawało mi nic innego, jak zatrzaskać drzwi samochodu i patrzeć, jak odjeżdża.

W porządku. Zrobiłam głęboki wdech. W porządku. Wypuściłam powietrze, próbując równocześnie myśleć pozytywnie. *Pięć miesięcy. To wcale nie jest znowu tak mało. To absolutny rekord.*

W każdym razie wystarczająco długo, by do kogoś przywyknąć.

A niech to wszyscy diabli! Na dobrą sprawę sama byłam sobie winna.

*Niektórzy znajdują serce dopiero wówczas,
gdy tracą głowę.*
Friedrich Nietzsche

Biednemu Nietzsche zarzucano, że jest okropnym szowinistą, gdyż bez przerwy miał wypowiadać się dosadnie, aż szło w pięty, w stylu: „Jeśli idziesz do kobiety, nie zapomnij zabrać pejcza”. Gdy tymczasem w rzeczywistości raz tylko w książce *Tako rzecze Zaratustra* włożył w usta jednej z bohaterek — starej kobieciny — następujące słowa: „Idziesz do kobiety? Nie zapomnij pejcza”. Tak czy siak. Ach. Chciałam jedynie, żeby zostało to powiedziane.

Łzy płynęły mi ciurkiem, gdy tak patrzyłam na oddalające się tylne światła auta Leona, które zniknęły, gdy skręcił w następną przecznicę. Ponownie zadzwoniła komórka. Tym razem była to Mimi, która ku mojemu osłupieniu również płakała w najlepsze. Niemal nie mogłam zrozumieć, co do mnie mówi.

- ...co za podłość... już od lat... To moje imię... tylko moje...

- Co się stało? — zapytałam ze szlochem.

- Piła Tarczowa zamierza dać dziecku na imię Nina-Louise!

- Przecież nie może tego zrobić. - Natychmiast przestałam płakać. - O ile wiem, to głupie imię jest zarezerwowane dla twojego dziecka.

- To prawda — chlipnęła. — Ale ona twierdzi, że kto pierwszy, ten lepszy. I że mogłam się w takim razie pospieszyć, gdyż imion się nie rezerwuje.

Mama powtarza

w kółko, że to prz... prze... przecież nic takiego, bo na świecie jest jeszcze tyle innych pięknych imion. A tata mówi, że to nie powód, by się ciskać.

— A co mówi Manuel?

— Mówi, że nic nie może p... po... poradzić. Gdy zaczęły się bóle, Piła Tarczowa wydusiła z niego obietnicę, że będzie mogła wybrać imię dla dziecka. Na co on się zgodził pod warunkiem, że nie będzie to Erna. I czy mogłabym, proszęproszęproszę, odstąpić im imię Nina-Louise. Ale ja nie m-m-mogę. To jest przecież moje imię. Nie mogę po prostu tam pojechać i jej zamordować, bo muszę pracować. A Ronnie mówi, że to żaden znowu dramat. Najważniejsze, że imię pozostanie w rodzinie.

— Zrobię to dla ciebie — zaproponowałam. — Pojadę do Hanoweru i zabiję Piłę Tarczową. I zadbam o to, by dziecko nazwano inaczej. — No i zajmę się również biednym psem.

— Dzięki - chlipnęła. — Tylko ty mnie rozumiesz.

— Nie rozumiem - przyznałam. - Ale trzymam twoją stronę. Nie można pozwolić wleźć sobie na głowę.

Mimi łkała przez chwilę, po czym zapytała:

— A jak tam przyjęcie?

— Przypuszczam, że Leon ze mną zerwał — odpowiedziałam.

— Przypuszczasz? — Teraz na odmianę Mimi przestała płakać, a ja zaczęłam.

— Powiedział, że przerwa w spotkaniach obojgu nam wyjdzie na dobre.

— Och. — Mimi zamilkła na chwilę. — No tak, to naprawdę zerwał z tobą. Przykro mi. Co się stało? Czyżby odkrył, że jesteś dwa razy mądrzejsza od niego i jego męskie ego nie było w stanie tego znieść, gdyż należy do tych typów, którzy radzą sobie wyłącznie z kobietami wpatrującymi się w nich cielecym wzrokiem?

— Nie. Stwierdził, że zachowałam się podle wobec jego sióstr.
Tymczasem to one były podle w stosunku do mnie.

— Podobnie jak my w stosunku do Piły Tarczowej? O rany, zgadza się.
Rzeczywiście, dało się zauważyć
pewne podobieństwa.

— Dużo gorzej.

— I mimo to wziął stronę swoich sióstr? W takim razie ciesz się, Myszko,
że masz go z głowy.

— Ale już zdążyłam się do niego przyzwyczaić.

— To minie - powiedziawszy to, Mimi westchnęła.

— Ale splawienie w ten sposób boli.

— I to minie.

— A może wcale mnie nie splawił? Przecież nie powiedział, że
powinniśmy zostać przyjaciółmi.

— *Halo?*

— Był tak zajęty innymi sprawami, eeeh, nieuleczony, dręczący
kompleks Edypa. No i wiesz, trauma z dzieciństwa spowodowana
rozwozem, niewłaściwie pojmowany instynkt ochronny... W zasadzie to
nie miał na myśli mnie. Był wściekły na ojca i potrzebny mu był wentyl
bezpieczeństwa. - A może powinnam była studiować psychologię?
Naprawdę dobrze mi szło.

— Poważnie tak sądzisz?

— Hmm, czy naprawdę zerwał ze mną?

— Na to wygląda.

— To nie jest wcale przyjemne. Czuję się podle.

— Musisz się nauczyć uprzedzać bieg wypadków. -Ale...

— Wierz mi, wszystko jest kwestią odpowiedniego zgrania w czasie.
Chcesz przyjechać? Możemy zrobić sobie babską noc na sofie.

— Teraz?

— Możesz wziąć taksówkę.

- Nie wiem...
- Ja stawiam.
- W takim razie w porządku, przyjadę. - Rozłączyłam się, by zadzwonić po taksówkę.

To, co się wydarzyło potem, należy do tych historii, jakie z upodobaniem opowiadają ludzie twierdzący, że nie ma przypadków, a jedynie zrządzenia losu dziejące się za sprawą tajemnej wyższej mocy. Na końcu zaś zawsze mówią tryumfalnie: „Przecież nie może być aż tak wiele przypadków”. Ale moi drodzy: to nie rachunek prawdopodobieństwa! Być może to nieprawdopodobne, że jest aż tyle przypadków, ale też nie jest takie znowu niemożliwe, że jakaś wyższa moc macza w czymś swoje palce.

Proszę teraz uważać: podjechała zamówiona taksówka z kierowcą o nazwisku Gencalp Pinarbasi, który jak sam twierdził, nie spał przez ostatnich czterdzieści osiem godzin i w tym czasie pił jedynie kawę.

- To, co płynie w moich żyłach, to nie krew, tylko kofeina - powtarzał, wciskając gaz do dechy i rwąc do przodu.

- Ulica Europejskich Szerszeni osiemnaście. — Podałam adres, trzęsąc się ze strachu, zadowolona, że usiadłam z tyłu.

- Za dziesięć minut będziemy na miejscu. - Gencalp Pinarbasi był pełnym wiary w siebie optymistą. Jego nazwisko znajdowało się na plakietce umieszczonej koło taksometru. Chociaż, pomyślałam sobie, zaciskając instynktownie palce na oparciu siedzenia, że być może nie jest to wcale jego nazwisko. Równie dobrze słowa te mogły oznaczać po turecku:

Uprasza się nie palić. Albo: Bóg czuwa nad piratami drogowymi.

Było już po jedenastej i mimo że ruch był niewielki, na ulicach znajdowało się wystarczająco dużo samochodów, którym Gencalp Pinarbasi zajeżdżał drogę, wyprze-

dzał albo przeganiał na chodniki. Trzeba przyznać, że robił to bardzo sumiennie i dokładnie, przeklinając za każdym razem w nieznanym mi języku - kurdyjskim? tureckim? perskim? - co w końcu sprawiło, że zaczęłam wierzyć, iż dowiezie mnie do domu Mimi w niewyobrażalnie krótkim czasie, niespełna dziesięciu minut.

Wówczas z bocznej ulicy wyskoczył kolega taksówkarz, którego Gencalp Pinarbasi musiał ominąć, chcąc uniknąć kolizji, w wyniku czego nasz samochód zahaczył o krawężnik chodnika, obrócił się z piskiem opon i hamulców wokół własnej osi, po czym uderzył w ciemnogrnatowego golfa jadącego przeciwnym pasem. Wszystko stało się tak szybko, że nawet nie spostrzegłam, jak otworzyła się poduszka powietrzna po stronie kierowcy, chroniąc głowę Gencalpa Pinarbasiego przed walnięciem w przednią szybę. Sama, mimo zapiętych pasów, grzmotnęłam czołem w oparcie przedniego siedzenia. Pół sekundy później rozległ się ponowny huk, gdy srebrny ford mondeo uderzył w ciemnogrnatowego golfa. Taksówka, która wypadła z bocznej ulicy, powodując wypadek, zniknęła z wyciem silnika za najbliższym zakrętem.

Nagle zrobiło się bardzo cicho.

- Czy pan jeszcze żyje? - zapytałam drżącym głosem, próbując sobie przypomnieć zasady udzielania pierwszej pomocy, jakie mi wpojono na kursie prawa jazdy. Równocześnie sprawdziłam, czy nic mi się nie stało. Trudno powiedzieć: co prawda nie czułam bólu, ale mógł to być efekt działania adrenaliny. Znane są historie śmiertelnie rannych osób, które zdołały przebiec całe kilometry. Najlepszym przykładem może być kobieta, która z siekierą w głowie dojechała autostopem do najbliższego posterunku policji i zanim zmarła, złożyła zeznanie do protokołu, podając nazwisko i dokładny adres mordercy.

Gencalp Pinarbasi głośno przeklinał, co oznaczało, że żyje.

Poczułam na twarzy coś ciepłego i mokrego. W panice dotknęłam czoła. W tym samym momencie ktoś otworzył drzwi samochodu i zapytał mnie, czy jestem ranna.

Tylko jakiś wyjątkowy cymbał mógł zadać takie pytanie kobiecie zbryzganej krwią.

- Być może nie jest aż tak źle - zdołałam wyszeptać. Miałam uczucie, jakbym się kąpała we krwi.

- Poradzimy sobie - usłyszałam czyjś głos i poczułam, że ktoś ostrożnie mnie podnosi. Spod poduszki powietrznej wywleczono również Gencalpa Pinarbasiego.

Wcale się nie zdziwiłam, widząc go stojącego na własnych nogach.

Przecież kobiecie z siekierą w głowie też się to udało. Osobliwy dla mnie był jedynie fakt, że mężczyzna, który mnie wyciągnął z taksówki, bez najmniejszego wysiłku postawił mnie na nogi. Ejże, czy przypadkiem nie powinno się ułożyć mnie w pozycji bocznej ustalonej i pozostawić w niej do czasu, aż przyjedzie pogotowie? Zanim jeszcze wykrwawię się na śmierć. W świetle licznych reflektorów przyjrzałam się uważnie swoim wilgotnym dłoniom. Niczego nie zauważyłam.

Obmacałam czoło. Dotknęłam czegoś, co sprawiało wrażenie guza. Nie było jednak widać krwi. Och! A zatem wcale *nie byłam* kobietą z siekierą. Najwidoczniej wilgoć, którą poczułam, to był pot kapiący mi z czoła. Jakimś cudem udało mi się wyjść bez szwanku. Wcale nie byłam ranna! Tak mi ulżyło, że aż ugięły się podę mną kolana. Przed wylądowaniem na ziemi uchronił mnie mężczyzna, który uprzednio wyciągnął mnie z samochodu.

I dopiero wówczas spostrzegłam, kim był.

Miałam przed sobą Karła. Jechał wypożyczonym samochodem tuż za srebrnym mondeo i sam omal nie uległ wypadkowi.

- Czy coś panią boli?

Gapiałam się na niego, nie będąc w stanie wydusić słowa. Jak duże było prawdopodobieństwo, że wydarzy się dokładnie to, co się wydarzyło? Można by przypuszczać, że niemal zerowe. Do tego spotkania mogło dojść wyłącznie dzięki zadziwiającemu splotowi zdarzeń. Gdyby Piła Tarczowa nie chciała nazwać dziecka Nina-Louise, Mimi nie zadzwoniłaby do mnie, a ja nie wsiadłabym do taksówki. Gdyby Gencalp Pinarbasi był wyspany i nie-naćpany po same uszy kofeiną, prawdopodobnie nie jechałby tak szybko i z pewnością lepiej by zareagował na nagłe pojawienie się taksówkarza, który wyskoczył z bocznej ulicy. A ile przypadkowych zdarzeń doprowadziło do tego, że Karl dokładnie w tym samym czasie znalazł się dokładnie na tej ulicy i dokładnie w tym miejscu, by wyciągnąć mnie z taksówki?

- Dlaczego nie jest pan na przyjęciu? - zapytałam.

- Odwiozłem ciotkę Juttę do domu - wyjaśnił. - Staruszka boi się jeździć taksówkami. I jak widać, ma rację, zważywszy, co się pani przydarzyło. Gencalp Pinarbasi właśnie wymyślał kobiecie prowadzącej ciemnoniebieskiego golfa, z którym się zderzyliśmy. Jakimś cudem też wyszedł z tego cało, a przynajmniej na to wyglądało.

- Chyba nikt nie został ranny - stwierdził Karl, podążając wzrokiem za moim rozbieganym spojrzeniem. - Aż trudno w to uwierzyć! Jednak na wszelki wypadek chciałbym zawieźć panią do szpitala, gdyż może się okazać, że doznała pani traumy powypadkowej, a z tym nie ma żartów. Spojrzałam na niego, nie mogąc uwierzyć, że stoi obok mnie w swojej wymiętoszonej koszuli, z tym rzucającym na kolana uśmiechem i niebieskimi oczami, które zdawały się błyszczeć w nawet najpodlejszym świetle.

Tego, co się potem zdarzyło, naprawdę nie jestem w stanie wyjaśnić, mimo najlepszych chęci. Być może przyczyną była duża ilość adrenaliny wytworzonej w moim ciele w wyniku wypadku. A być może to, że w kolejnych minutach uświadomiłam sobie, ile miałam szczęścia, wychodząc z tego żywa. W każdym razie zrobiłam rzeczy, na które w normalnych warunkach nigdy bym się nie odważyła. Przede wszystkim rozgadałam się. Już czekając na policję, zalałam Karla potokiem słów, a raczej całym wodospadem. Przeskakując chaotycznie z tematu na temat, opowiedziałam mu po kolei o wszystkim. Że Leon zerwał ze mną, gdyż jestem złośliwa i podła. Że już jako dziecko *Wesołym wieśniakiem* Schumanna zdobyłam główną nagrodę na festiwalu młodych talentów *Muzykująca młodzież*. Że ciotka Elfryda zostawiła nam w spadku klawikord. I że Oliver Henselmeier oraz Corinne twierdzili, że mam zbyt płaskie piersi.

- To nie fair, że zostawia się psa samemu sobie dlatego tylko, że jakieś dziecko przyszło na świat. I jeśli rzeczywiście dadzą jej na imię Nina-Louise, nie zamienię z nimi więcej ani słowa. Pewnie, że to główniane imię, ale wymyśliła je moja siostra, więc należy do niej, o czym ta podła bestia, Piła Tarczowa, doskonale wie - kontynuowałam nieprzerwanie. - Mama piecze lepsze ciasto wiśniowe niż matka Leona. Powinnam była to zwyczajnie powiedzieć. A na końcu i tak wszystko obróci się przeciwko temu, kto nakłamał z czystej uprzejmości. Lecz kłamstwo to nie to samo, co przemilczenie i w tej kwestii może sobie mówić, co tylko chce. A czasami po prostu nie można powiedzieć komuś wszystkiego o sobie, gdyż nie ma się tak znowu wiele czasu. A na sprzyjającą okoliczność trzeba czasami naprawdę długo czekać. A może tak, całkiem na marginesie, potrafiłby pan wpleść informację, że umie pan grać na mandolinie, mówić po koreańsku i jest pan osobliwym dziwadłem?

W tym stylu paplałam w nieskończoność.

Karl zaś pozwolił mi się wygadać. Objął mnie ramieniem i przyjmował ten potok słów, nie przerywając i nie odpowiadając na moje (tak czy owak retoryczne) pytania.

Po złożeniu przeze mnie zeznań — niestety, nie zauważyłam numeru rejestracyjnego taksówki i niestety nie potrafiłam powiedzieć naprawdę nic, co nie byłoby obciążające dla sposobu, w jaki jechał Gencalp Pinarbasi — po tym, jak zadzwoniłam do Mimi, by odwołać naszą babską noc na sofie, Karl zawiózł mnie do szpitala. Podczas jazdy i oczekiwania w izbie przyjęć, a nawet wówczas, gdy wieziono mnie na rentgen, dalej wyrzucałam z siebie potoki słów, które w miarę upływu czasu miały coraz to więcej sensu i coraz większy związek ze sobą. Powód tego był prosty - zauważyłam, że Karl naprawdę mnie słuchał. A nawet zaczął zadawać od czasu do czasu pytania, które uznałam za bardzo mądre. Przez cały czas mi się przyglądał (ale nie kiedy prowadził samochód, gdyż wówczas na szczęście patrzył na drogę), a ja rzeczywiście odnosiłam wrażenie, że nikt jeszcze w całym moim życiu nie słuchał mnie tak uważnie jak on.

Najlepsze zaś było to, że nie tylko mnie słuchał, lecz jeszcze na dodatek dokładnie rozumiał, co mam na myśli.

Lekarz nie stwierdził traumy powypadkowej. Opuściłam zatem szpital bez żadnego kołnierza czy opatrunku i na dodatek tryskająca energią. I dziwnie szczęśliwa. Jeśli o mnie chodziło, to ta noc mogłaby trwać w nieskończoność. Lecz gdy dotarliśmy do stojącego na parkingu wynajętego samochodu, uświadomiłam sobie, że to już koniec. Teraz Karl odwiezie mnie do domu, po czym następnego dnia odleci do Madrytu i przypuszczalnie nigdy się już nie zobaczymy.

- Dziwnie się czuję, gdy nic nie mówisz - powiedział Karl.

Staliśmy niezdecydowani naprzeciw siebie. W skąym świetle rzucanym przez latarnie i oświetlone okna szpitala dostrzegłam uśmiech Krokodyla Dundee.

- Normalnie nie mówię tak dużo - przyznałam. -Z natury jestem raczej nieco małomówna.

-Wiem. Jesteś pod wpływem szoku spowodowanego wypadkiem. I do tego twój chłopak zerwał z tobą. Twój chłopak, który przypadkowo jest moim synem. Teraz odwiozę cię do domu.

- Nie, błagam, nie! Czy moglibyśmy jeszcze trochę tu postać?

- Jest zimno.

- Może mnie pan ogrzać - powiedziałam, robiąc krok w jego stronę. Wzdychając, objął mnie i przyciągnął do siebie. Przez moment wsłuchiwałam się w bicie jego serca, po czym zwróciłam twarz ku górze, oznajmiając:

- Może mnie pan też pocałować.

-W żadnym wypadku - powiedział, przytulając mnie jeszcze mocniej. Nie poruszyłam się z obawy, że może mnie puścić.

- Czy znasz film *Absolwent* z Dustinem Hofmannem? - zapytał po chwili.

- Gdzie Dustin Hofmann zaraz po skończonym college'u wraca do domu i wdaje się w romans z matką dziewczyny, w której jest zakochany?

-To złe porównanie. Gdzie będzie pan dziś spać, Mrs. Robinson?

- Mam pokój w hotelu.

- Czy mogę pójść z panem?

- W żadnym wypadku - odpowiedział stanowczo.

- Proszę!

- Po moim trupie — (co z późniejszej perspektywy było w pewnym sensie komiczne. Ale jakkolwiek by było

upłynęło jeszcze pięć lat do chwili, gdy dane mi było ujrzeć trupa Karla). Podczas jazdy do hotelu Karl deklinował na wszystkie możliwe sposoby czasownik „żałować”.

- Pożałujemy tego. Będziesz żałować! Będę żałować. Już tego żałuję. Niestety, musiałam się roześmiać.

- Ktoś powinien cię powstrzymać - powiedział. — Czyż nikt nie ostrzegł cię przede mną?

- Ależ tak. Nie potrzebujesz się więc martwić. Wiem, że jesteś egoistycznym, nieodpowiedzialnym dupkiem, jutro odlatującym do Madrytu, nieprzepuszczającym żadnej kobiecie znajdującej się w zasięgu twego wzroku.

- Mówiłem przecież, że będziesz tego żałować - powiedział ponownie i powtórzył to raz jeszcze, gdy w pokoju hotelowym pociągnął mnie na łóżko i pocałował.

Później, uszczęśliwiona i nieco zakłopotana, stwierdziłam:

- Cieszę się, że nie jestem kobietą z siekietą w głowie.

- Nie bardziej niż ja. - Karl pogłaskał mnie delikatnie po guzie.

Taki był nasz początek. Zdarzyło się to w nocy, w której przyszła na świat moja bratanica, Eliane. Piła Tarczowa zrezygnowała z nazwania córki *Nina-Louise*, lecz wcale nie ze względu na Mimi, ale dlatego, że *Eliane* bardziej jej się spodobało. Jak również dlatego, że imię to przypadkowo wybrała jej najlepsza przyjaciółka dla jeszcze nienarodzonej córki.

(Najlepsza przyjaciółka - wówczas dokładnie w siódmym miesiącu ciąży - nie tylko zerwała przyjaźń z Piłą Tarczową, ale jeszcze do tego przekleła ją i jej rodzinę aż do dziewiątego pokolenia).

Dzień urodzin Eliane obchodziliśmy z Karlem jako dzień naszego poznania się, nazywając go „przypadkowym dniem pamięci Gencalpa Pinarbasiego”. Karl wy-

najmował zawsze pokój w hotelu, w którym próbowaliśmy odegrać nasz pierwszy raz tak autentycznie, jak to tylko było możliwe. I za każdym kolejnym razem było równie cudownie, jak za pierwszym.

Nigdy tego nie żałowałam.

W każdym razie nie bardzo.

To prawda, że pieniądze nie dają szczęścia.

Cudze, rzecz jasna.

George Bernard Shaw

Czy to za sprawą tabletek, czy może faktu, że czas goi wszystkie rany, nawet moje, na drugi dzień po pierwszej wizycie u pani Karcianodomskiej-Kuracjusz obudziłam się, stwierdzając, że odziedziczony spadek nagle bardzo zaczął mnie interesować. W uszach dźwięczały mi wczorajsze słowa Nelly. To prawda: jeśli już straciło się ukochanego człowieka, to przynajmniej powinno się znaleźć pociechę w pozostawionych przez niego pieniądzech. Pieniądze to dobra rzecz. Pieniądze są ważne. Pieniądze dają szczęście. *Money makes the world go round.*

I wcale nie musiałam wydawać ich na siebie - w każdym razie nie wpadło mi do głowy nic, czego bym potrzebowała lub też, co koniecznie chciałabym posiadać. Mogłam jednak przeznaczyć je na coś dobrego, coś eeeeeh - przykładowo sfinansować ośrodek hodowlany dla osieroconych kociąt jaguara albo zakup zeszytów szkolnych dla dzieci w Indiach lub studnię w etiopskiej wiosce. Poza

tym nie mogłam przecież wiecznie mieszkać w pokoju gościnnym siostry i pozostawać na jej utrzymaniu. Potrzebowałam też pieniędzy na własne mieszkanie. Marzyło mi się takie z kominkiem z gzymsem, na którym mogłabym postawić urnę. (Początkowo zamietzałam pojechać nad morze i rozrzucić prochy na wietrze albo zakopać je u stóp jakiegoś drzewa. Jednak w którymś momencie w pewnym sensie się do nich przywiązałam. Uznałam wówczas, że gzyms kominka będzie dla urny właściwym miejscem).

Wyskoczyłam z łóżka z takim entuzjazmem, że aż się zdziwiłam. I choć przez pół nocy zapisywałam zeszyt wspomnieniami, wcale nie byłam zmęczona. Ani trochę. Zeszłam w piżamie na dół do kuchni, gdzie Mimi jadła śniadanie składające się ze świeżo wyciśniętego soku z pomarańczy, bułek z ziarnami i tabletek kwasu foliowego, równocześnie czytając gazetę. Ronnie pojechał już do pracy. Mój szwagier miał w zwyczaju biegać skoro świt i w drodze powrotnej do domu kupował bułki. Zanim wyszedł z domu, nakrywał stół do śniadania, robił sok z pomarańczy i zapalał świecę. Następnie składał starannie gazetę, także sprawiała wrażenie nieczytanej, po czym budził Mimi, serwując jej do łóżka kawę z mlekiem. (Wiem, że nikt w to nie uwierzy. Ale przysięgam, że to prawda).

Nie dziwi, że moja siostra miała takie pogodne usposobienie i była taka zrównoważona.

- Dzień dobry, kochanie. Napijesz się soku?

- Nie wstawaj, proszę. Sama sobie naleję. - Wypiłam łyk, stwierdzając, że ma cudowny smak. To też była nowość. Przez ostatnie tygodnie wszystko, co jadłam, miało dokładnie ten sam smak - mianowicie było zupełnie bez smaku.

Pochyliłam się.

- Mimi, gdzie są wszystkie dokumenty Karla i cała korespondencja wuja Thomasa? U adwokata?

Mimi z wrażenia wypadł z ust kęs bułki, który właśnie żuła.

- Eeeeeee?

- Pytam, bo chciałam je przejrzeć.

- Kancelaria ma jedynie kopie - wyjaśniła Mimi. - Natomiast cały ten kram leży na górze w gabinecie Ronniego. Ale przecież...

- Wiem. Powiedziałam, że nie chcę o tym słyszeć. Teraz jednak mnie to interesuje. Stopniowo muszę przecież zacząć myśleć, co dalej. Jak mam sobie ułożyć życie bez Karla.

- To cię bardzo zdenerwuje - zauważyła Mimi.

- Nie, wcale nie.

- Ależ tak. Ten cały wuj Thomas to wyjątkowo chciwa, pazerna na pieniądze wesz - i do tego potworny krętacz. Pan Janssen - twój adwokat - zdołał zdemaskować niektóre z jego kłamstw na podstawie istniejących dokumentów. Lecz papiety Karla nie są kompletne i niekoniecznie przejrzyste, co sptawia, że trudno będzie udowodnić mu wszystkie łgarstwa. Leon wraz z siostrami też wzięli sobie adwokata. Żądają zachowku i najlepiej, żeby był wypłacony przedwczoraj. - Mimi mlasnęła. - Na pogrzeb nie mogli przybyć, ale za to w te pędy pognali do adwokata.

- W międzyczasie Leon też został adwokatem - zauważyłam.

- Być może. Ale listy pisze niejaki dr Hebbinghaus. Dyplomowany skurwiel, jeśli chcesz wiedzieć. Zachowuje się tak, jakbyś była pozbawioną wszelkich skrupułów hieną spadkową, czytaj - lecącą na spadek oszustką. Jego sformułowania przekraczają momentami wszelkie granice.

- Typowy język prawniczy.

- Ale trudno nie traktować tego osobiście.

- Tak, wiem. Mimo wszystko chciałabym sobie wyrobić pogląd. Poza tym muszę pójść do banku. Nie mam bladego pojęcia, jak wyglądają moje finanse. Musiałś

przecież wydać na mnie ogromne pieniądze i za żadne skarby nie chcę dalej żyć na twój koszt. Czy dostanę jakąś rentę albo coś w tym guście?

- Otrzymasz wdowią rentę w wysokości dwudziestu pięciu procent przysługującej Karłowi emerytury, na razie przez trzy następne lata. - Mimi zmarszczyła czoło. - Przecież ci to... No tak, wiedziałam, że mnie nie słuchasz, ale to nie ma znaczenia. Klóciłam się zaciekle z urzędniczką prowadzącą sprawę, dlaczego tylko przez trzy lata. Ale ona stwierdziła, że po takim czasie większość kobiet i tak ponownie wychodzi za mąż. Natomiast gdybyście mieli dzieci, sprawa wyglądałaby oczywiście całkiem inaczej. Halo? Na jakiej planecie żyje ta kobieta. - Mimi westchnęła. - No tak, ale to przecież lepsze niż nic. Takie niewielkie dodatkowe zabezpieczenie dla ciebie. Jestem wściekła na Karła, że nie wykupił żadnego ubezpieczenia na wypadek śmierci. Stary skap... - przepraszam. Jak mówiłam, wszystkie dokumenty są na górze i zaraz możemy je wspólnie przejrzeć. Tata zrobił coś w rodzaju inwentaryzacji i sporządził ich listę. Parę rzeczy mieliście w londyńskim mieszkaniu, ale większość dzieł sztuki i wartościowych przedmiotów, których domaga się wuj Thomas, znajduje się zapewne w magazynie lub jeszcze w domu rodzinnym Karła.

- Może pójdziemy tam po prostu i się rozejrzemy? - zaproponowałam. — Mamy chyba klucze?

- A może ta cała pani Karcianodomska-Kuracjusz wcale nie jest taką znowu skończoną idiotką, jak sądziłam. - Mimi uśmiechnęła się.

- To *ja* tak sądziłam. Ty byłaś zdania, że jest znakomita.

- Na pokaz. Po to tylko, żebyś do niej poszła - przyznała Mimi. - Tak naprawdę to nie mam o niej najlepszego mniemania. Zawsze utwierdzała Ronniego w tym jego biadoleniu, zamiast mu powiedzieć, że ma się wziąć w garść. Poza tym miałam wrażenie, że z nim flirtuje. Lecz teraz muszę przyznać, że zna się na tym, co robi.

— A więc to tak!

— Masz się zdecydowanie lepiej. Już za samo to byłabym gotowa całować tę wywłokę po nogach. Te tabletki sprawiły prawdziwy cud. Najchętniej sama też bym je brała.

Faktycznie, czułam się tak, jakbym już w mniejszym stopniu stała obok siebie. Jeśli wziąć pod uwagę, że do tej pory niemal cały dzień powtarzałam w myślach „Karl nie żyje, Karl nie żyje, Karl nie żyje”, albo „Uff, wszyscy to tacy głupcy”, mój obecny stan oznaczał ogromny postęp.

— Co z wpływami z czynszów? — zapytałam Mimi, która ponownie wetknęła nos w gazetę. — Kamienica z sześcioma mieszkaniami powinna przecież przynosić co miesiąc jakieś dochody. Z pewnością trochę się tego nazbierało, co pozwoli mi zapłacić długi, jakie mam u ciebie.

— Nie jesteś mi nic winna! — Mimi zaprzeczyła kategorycznie. - I mówimy o *dwóch* kamienicach, które faktycznie przynoszą jakieś dochody. Ale też kosztują kupę pieniędzy. To tak na marginesie.

Wszystkie pieniądze wpływają jednak na konto rozliczeniowe Karla, które jest jakby zamrożone do czasu, aż dostaniesz decyzję o nabyciu spadku. Dlaczego nie miałaś pełnomocnictwa?

— A któż by mógł przypuszczać, że któreś z nas umrze? Karl też nie miał upoważnienia na moje konta. Mówiłam przecież, że nigdy nie rozmawialiśmy o pieniądzach. Albo było ich tyle, by móc je wydawać, albo w danej chwili ich brakowało i wówczas nie można ich było wydawać.

— Karl zawsze coś tam miał - zauważyła Mimi. - Tylko się z tym nie zdradzał. A tak na marginesie, to wynajął nawet magazyn w pewnej hali w Dusseldorfie, prawdopodobnie na meble i obrazy. Prawnicy chcą skatalogować wszystkie przedmioty tak szybko, jak to możliwe. Ale powiedziałam im, że jeszcze nie masz na to sił. Być może są

tam również osobiste rzeczy Karla, listy, dzienniki. W tej sytuacji jestem zdania, że jeśli ktoś ma to przeglądać, to w pierwszym rzędzie ty.

- A jaką właściwie rolę odgrywa w tym wszystkim wuj Thomas?

Mimi wzruszyła ramionami.

- W oparciu o istniejące dokumenty próbowaliśmy z tatą zrekonstruować całą tę sprawę na tyle, na ile się dało. Najwidoczniej chodzi mu przede wszystkim o spadek po ciotce Jutcie, który po jej śmierci przeszedł na jej brata, czyli na ojca Thomasa i Karla, który znowu przekazał go swojej żonie, ona zaś Karlowi. A Karl z kolei tobie. Natomiast Thomas jest zdania, że spadek po ciotce Jutcie od początku należał się jemu i obecnie chce wszystko zgarnąć aż do ostatniej tabakierki. Już trzy razy dzwonił, chcąc rozmawiać z tobą. Odrażający, śliski drań.

- Naprawdę?

- W każdym razie jest zdania, że osobista rozmowa z tobą pozwoli uniknąć sprawy sądowej. Powiedział mi, że gdybym była dobrą siostrą, to namówiłabym cię na rozmowę z nim. Poza tym bez przerwy się pytał, czy Karl nazywał cię jakimś pieszczotliwym imieniem albo zdrobnieniem. Głupi pomylenieć. Po czym twój adwokat napisał do jego adwokata, że prosi się jego klienta, by zaprzestał gnębić jego klientkę napastliwymi telefonami, co w efekcie pomogło.

Sącząc sok pomarańczowy, zbierałam myśli.

- To naprawdę nieco dziwne, że mam dostać wszystko, co kiedyś należało do rodziców Karla. Nawet gdybym to miała przeznaczyć na małe jaguary i zeszyty szkolne dla indyjskich dzieci.

- Ale nie dostaniesz wszystkiego - stwierdziła Mimi, wracając do gazety.

- Będziesz musiała podzielić się z dziećmi Karla. A to się może ciągnąć całymi latami.

- Hm. - Możliwość ponownego jasnego myślenia miała również negatywną stronę. Obleciał mnie strach. Przed spotkaniem z Leonem. Ostatni raz widzieliśmy się przed pięcioma laty. Myśląc o tym, dostałam gęsiej skórki.

Dokładnie w tej sekundzie Mimi wrzasnęła głośno. Z przerażenia poplułam się sokiem.

- Czyś ty zwariowała? - krzyknęłam, po czym zerwałam się z miejsca i złapałam rolkę papierowych kuchennych ręczników.

- Nie ja! - Mimi próbowała zaczerpnąć powietrza, wskazując równocześnie na gazetę. - Ale oni\

Gdy pokazała mi stronę z zawiadomieniami o narodzinach i nekrologami, byłam przekonana, że znowu ktoś nazwał dziecko Nina-Louise.

Mimi jednak wskazywała na jeden z nekrologów.

-Kto znowu umarł? - zapytałam, wycierając sok pomarańczowy ze stołu. Wówczas dosłownie tucziło mi się w oczy nazwisko, które odcyfrowałam ponad głową Mimi.

KARL SCHÜTZ.

- Och - jęknęłam skonsternowana. - Wygląda na to, że ludzie o nazwisku Karl Schütz mają wyjątkowy fart w tym roku. A na co umarł ten tutaj i ile miał lat?

- *Carolin!* - Oczy Mimi były ogromne niczym spodki, jak zwykle, gdy ją coś oburzyło do żywego lub rozeźliło. - Nie udawaj głupiej. To nie żaden jakiś tam Karl. Tu chodzi o twójego Karla!

- Ale przecież mój Karl nie żyje już od ponad pięciu tygodni - powiedziałam tępo, jak nigdy do tej pory.

Mimi wzięła gazetę i rozpostarła ją nad głową niczym transparent na demonstracji.

- Proszę bardzo! Sama się przekonaj.

Nekrolog Karla zajmował pół strony, co musiało kosztować majątek.

Niezbadane są wyroki boskie...

Zegnamy wspaniałego człowieka, który uszczęśliwiał nas swoją pełną radości życia naturą oraz obdarował swą przyjaźnią i miłością. Nagle i nieoczekiwanie zmarł w wieku 53 lat nasz ukochany ojciec, brat i małżonek

Dr Karl Schiitz, żyjący dla sztuki i rodziny

pograżeni w cichym żalu Leon Schiitz Corrine Schiitz Helen Schiitz Thomas Schiitz Monika Lange-Schutz oraz przyjaciele i krewni.

Przepełnieni wdzięcznością chcemy o nim przypomnieć. Wszystkich, którzy go znali, serdecznie zapraszamy we czwartek, **3** grudnia o godzinie **16.00**

do domu pogrzebowego Hellmanna na uroczystość poświęconą jego pamięci.

Zamiast kwiatów, świec i upominków prosimy o przekazanie datków na rzecz Fundacji Schiitza wspierającej niemiecką sztukę filmową na konto numer **118220056** w Kasie Oszczędnościowej w Dusseldorfie.

Wszystkich, którzy przez przeoczenie nie otrzymali osobistego powiadomienia, prosimy o potraktowanie niniejszego zawiadomienia jako równoznacznego z zaproszeniem.

Przez dobrą minutę wpatrywałam się tępym wzrokiem w nekrolog, do chwili aż Mimi opuściła gazetę.

- Przynajmniej nie kazali wydrukować żadnego krzyża ani złożonych do modlitwy rąk. Albo złamanej róży -zauważyłam przytłumionym głosem.

- Karl nienawidził takich rzeczy. Ale co mają oznaczać te niezbadane wyroki boskie? Karl był przecież ateistą!

- Ale najwidoczniej nie jego rodzina - uznała Mimi. - We czwartek mianowicie minie szósty tydzień od śmierci Karla. Będą odprawiać coś w rodzaju mszy z okazji szóstego tygodnia.

- A te niezbadane wyroki boskie?

-To oznacza po katolicku: ponieważ opuścił rodzinę i przygruchał sobie nową, dużo młodszą od siebie babę, został za to ukarany przedwczesną śmiercią i pójdzie na długo do czyśćca. Amen.

- Żyjący dla sztuki i *rodziny*. - Zupełnie zaschło mi w ustach. Natomiast mój puls wyraźnie przyspieszył i bił o wiele za szybko. - Przecież to *prawie* śmieszne.

- Jakkolwiek by na to popatrzeć. Mogli przecież też przestawić kolejność: najpierw dla rodziny, a dopiero potem dla sztuki. Ale nie! To nie jest ani trochę śmieszne. -Mimi walnęła pięścią w gazetę tak mocno, że aż podskoczyły naczynia. - Naprawdę nie pojmuję. To największa bezczelność, o jakiej kiedykolwiek słyszałam. Tak naprawdę organizują coś w rodzaju... kontrpogrzebu.

- Czy coś takiego w ogóle jest dozwolone?

- A kto ma im zabronić? Nasz prawnik? A może papież?

-Ale oni... przecież nie mogą...! - krzyknęłam. -To *ja* mam Karla! - Po czym cicho dodałam: - A co najmniej jego prochy.

- Jeśli o nich chodzi, to skłonna jestem uwierzyć, że wystawiliby na pokaz nawet pustą trumnę. - Mimi po-

nownie spojrzęła na nekrolog. - Zakładam, że Monika to jego była małżonka. Ukochany ojciec, brat i *małżonek* - też mi coś! To taki szczyt bezczelności, że trudno o większy.

- Nie wypada przecież napisać w nekrologu ukochany były małżonek. Wzięłam krzesło i przesunęłam je blisko Mimi. Monika Lange-Schütz. I choć podwójne nazwisko matki Leona było dla mnie nowością, wcale mnie nie zdziwiło. Przecież świetnie pasowało do Oer-Erkenschwick.

- A co to takiego ta Fundacja Schiitza? - zapytała Mimi. - Przecież nie mogą po prostu, ot tak sobie, założyć fundacji imienia Karla. Zaraz zadzwonię do adwokata.

- To prawdopodobnie pomysł wuja Thomasa. Karl nie miał nic wspólnego ze sztuką filmową, a już zupełnie nie miał do czynienia z filmem niemieckim. Natomiast wuj Thomas Zakazana Gęba utopił grube miliony w produkcjach filmowych. Można sobie wyobrazić, że chce za wszelką cenę położyć łapę nie tylko na majątku Karla, lecz jeszcze na pieniądzech, które ludzie mogliby wydać na wieńce.

- Gnida — warknęła Mimi.

- Przestępca - sprostowałam. - Wszyscy to złodzieje i zakłamani hipokryci.

-Chciałoby się naprawdę... kopnąć ich w dupę! Najchętniej poszłabym na tę *uroczystość* i powiedziałabym, co o tym myślę.

- Masz moje błogosławieństwo. A może zabrałabyś ze sobą kilka petard celem zapewnienia stosownej oprawy. I parę cuchnących bomb.

-Ale teraz poważnie. Nie możemy przecież tak przejść nad tym do porządku dziennego i pozwolić im na coś takiego. Karl miał już uroczystość pogrzebową! Pięć tygodni temu. Mieliśmy wspaniałego mówcę, poruszającą mowę pożegnalną, pachnące białe róże, ogromne świece. Puściliśmy na wodę małą łódeczkę ze świeczką wypełnioną płatkami kwiatów!

Naprawdę? Nic z tego wszystkiego do mnie nie dotarło. Patrzyłam

jedynie tępo w dal i liczyłam wszystko, co się dało. Czterdzieści sześć rąk, które musiałam uściskać. Sześćdziesiąt osiem nóg w czarnych spodniach. Czternastu brodatych mężczyzn. Osiemdziesiąt siedem razy słowo „okropne”.

-To była nastrojowa, kreatywna, wysublimowana uroczystość pożegnalna w najlepszym stylu. I nikt z nich nie uznał za konieczne wziąć w niej udziału - powiedziała Mimi. - Nawet słowa usprawiedliwienia. Nie mówiąc już o przeprosinach.

- Neeee. Pewnie, że tego nie zrobili. Przecież już wówczas zaplanowali kontruroczystość. Ptawdopodobnie przyjdzie też ksiądz i będzie głądził coś o niezbadanych wyrokach boskich... I o czyścicu, do którego się trafia, gdy się opuszcza żonę i dzieci. W Kościele katolickim nie ma rozwodów. A zatem ściśle rzecz biorąc eks-żona Karła nadal jest jego legalną żoną. Rozumiesz? Z ich punktu widzenia to *ona* jest wdową, nie ja.

-Powinniśmy koniecznie tam pójść - doszła do wniosku Mimi. - Choćby po to, żeby się zapadli ze wstydu pod ziemię.

Wyobrażając sobie nasz udział w tej parodii, poczułam dziwny ucisk w żołądku.

- Możemy nałożyć blond peruki i okulary słoneczne.

- Nonsens! Nie mamy przecież żadnego powodu, by się kryć. To oni muszą się wstydzić, nie my. Nie mają za grosz przyzwoitości. Pójdziemy tam i powiemy wszystkim gościom, że rodzina zbojkotowała prawdziwą uroczystość. - Mimi zaczęła składać gazetę, aż przybrała wymiary pocztówki. - I że to *ty* jesteś prawdziwą wdową. I że

chcą ci odebrać wszystko, co stanowiło własność Karla, aż do ostatniej tabakierki.

Próbowałam wyobrazić sobie tę scenę. W mojej wizji była żona Karla miała na głowie kapelusz z czarną woalką z tiulu i była podtrzymywana przez całą trójkę dzieci. No i przez księdza. A jej pełne pogardy spojrzenia przeszywały mnie na wylot.

Dziwne uczucie w moim żołądku przybrało na sile.

- Sądzę, że nie będę miała odwagi.

- Co proszę? - Mimi cisnęła złożoną gazetę na stół, gdzie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki ponownie się rozłożyła. - Do tego niepotrzebna jest odwaga, lecz złość. Ze swojej strony jestem taka wściekła, że aż się we mnie gotuje.

Wsluchiłam się w siebie.

- Sądzę, że tabletki wywołały we mnie strach, bo mam pewność, że jeśli się tam pojawimy, to powieszą nas na pierwszym z brzegu drzewie.

- Hmm - mruknęła Mimi. - Może masz rację. Zapewne sami nie zdają sobie sprawy, jakie odrażające jest to, co wyczyniają. *Żegnamy wspaniałego człowieka, którego nie widzieliśmy od pięciu lat...* Poczucie winy w klasyczny sposób schowali pod dywan. Już samo to, że stanowią większość, daje im automatycznie przekonanie, że prawo jest po ich stronie.

- No właśnie. Gdyby się wstydzili lub uważali za hipokrytów, zapewne nie zamieściliby takiego przesadnie dużego nekrologu.

- Wyniosła, bezkrytyczna hołota!! Zapewne chcieliby, żebyś się o tym dowiedziała. - Mimi skrzyżowała ręce na piersiach, gryząc dolną wargę. Po chwili dodała: - Tak, najlepiej będzie, jeśli ukarzymy ich naszą nieobecnością. Niech sobie odprawiają ten swój cyrk z pogrzebem. My zaś po prostu elegancko go zignorujemy.

-Właśnie. - Nagle poczułam dziwną ulgę. - Nie o niczym nie wiesz!

- Właśnie. To taka dziecinada. Jestem ponad to. Milczałyśmy przez moment.

Niepojęte! *Żyjący dla sztuki i rodziny*

Mój mąż świętował po raz drugi swój pogrzeb. Beze mnie.

- Mam przecież urnę! - podsumowałam.

- No właśnie - potwierdziła Mimi. -1 to jest w tym wszystkim najistotniejsze.

*Kłamstwo to żalosna namiastka prawdy,
ale też jedyna, którą do dziś odkryto.*

Elbert Hubbard

Przez chwilę gryzłam długopis, zastanawiając się, jak mam wyjaśnić pani Karcianodomskiej-Kuracjusz i brulionowi, w którym prowadziłam swoje zapiski, że dla mnie i dla Karła po pierwszej wspólnie spędzonej nocy było nad wyraz oczywiste, że od tego momentu będziemy już razem.

Właściwie nie da się tego wyjaśnić. Tak było i już.

Nawet nie potrzebowaliśmy za wiele o tym dyskutować. Zapytałam Karła, o której ma samolot, on zaś odpowiedział, że odwoła lot.

- A gdybym tak poleciała z tobą?

Najpierw się uśmiechnął, ale zaraz spoważniał i stwierdził, że powinnam dać sobie choć trochę czasu na zastanowienie się.

- Nie potrzebuję czasu - powiedziałam, przeglądając się w lustrze wiszącym w pokoju hotelowym. Wyjąwszy guza na czole, wyglądałam jak zwykle. A mimo to kompletnie się zmieniłam. Przez noc wszystko stało się inne.

- Polecę z tobą do Madrytu. Nauczę się hiszpańskiego. To pójdzie szybko, sam się przekonasz. A może nawet zapiszę się na filologię iberyjską? Prawo i tak jest nie dla mnie. Polecę z tobą.

-Ależ to kompletne wariactwo - powiedział. Podszedł do mnie i objął mnie od tyłu.

— Tak — przyznałam. — Kompletne wariactwo! — Nasze odbicie w lustrze było wspaniałe. — Nie masz odwagi?

Karl roześmiał się, ale jego oczy pozostały poważne.

— Tu nie chodzi o mnie. Jestem na tyle stary, że mogę sobie pozwolić na głupstwa. Lecz ty jesteś jeszcze bardzo młoda. A gdy jest się młodym, należy zastanowić się nad tym, co się robi.

Ale ja byłam całkowicie pewna, że wcale nie muszę się zastanawiać. Po raz pierwszy w życiu wiedziałam dokładnie, czego chcę. Karla! Chciałam być z nim. Wszystko jedno gdzie i jak. Pragnienie to było tak silne, że całą mnie wypełniało.

— Czy zawsze jest tak, gdy jest się *prawdziwie* zakochanym? — zapytałam.

Karl odpowiedział, że nie wie, bo jemu też się to przytrafiło po raz pierwszy.

— Normalnie w moim przypadku miłość przychodzi, skradając się powoli. Przeważnie też w połowie drogi robi w tył zwrot i się wycofuje.

— Wzruszył ramionami. — Tylko tym razem miłość rzuciła mi się prosto w ramiona. Rzadki przypadek. Cały czas mam pragnienie napisania wiersza albo skomponowania piosenki lub co najmniej namalowania obrazu z krzykliwie czerwonym sercem na środku.

— Ja też! — zawołałam zachwycona. — Mam nawet ochotę zagrać ci na mandolinie serenadę.

Karl ponownie zaczął mnie całować. -Teraz Leon ma co najmniej dobry powód, żeby mnie nienawidzić — powiedział później.

— Ale ty przecież nie masz nic do tego — stwierdziłam. - To wszystko moja wina.

Karl odgarnął mi włosy z czoła.

— To by było zbyt piękne.

— Co się stało, to się nie odstanie — zacytowałam starą prawdę, gdyż bałam się, że mógłby zmienić zdanie.

— Istotnie. Ale zdajesz sobie chyba sprawę, że inni niekoniecznie zareagują na to pozytywnie? Wyobrażam sobie, że twoja rodzina nie będzie szczególnie zachwycona. Też bym nie był, gdybyś była moją córką.

— Nie mówiąc już o *twojej* rodzinie.

— No właśnie - powiedział z westchnieniem.

Szybko pozbyłam się nie milego uczucia spowodowanego wyrzutami sumienia, próbującymi się wkraść do bezgranicznego szczęścia, jakie mnie przepęłniało.

— Być może lepiej będzie nikomu o tym nie mówić.

— Nie sądzę, żeby coś takiego udało się utrzymać w tajemnicy - uznał. - Prędzej czy później wszystko wyjdzie na jaw.

Możliwe. Ale mając wybór, wołałabym, żeby nastąpiło to później niż prędzej. Nawet mając na obronę fakt, iż byłam zdania, że Leon zerwał za mną. Trzeba jednak przyznać, że nie było to zgoła subtelne, wylądować raptem parę godzin później w łóżku jego ojca. Zdawałam sobie sprawę, że moje postępowanie w tym względzie spotka się z niewielkim zrozumieniem. Nawet ze strony ludzi wierzących w to albo wiedzących z własnego doświadczenia, że dwoje ludzi może się zakochać w sobie po uszy, dosłownie od pierwszego wejrzenia. A już najmniej zrozumienia mogłam oczekiwać od Leona. Jeśli o mnie chodzi, to najlepiej by było, żeby się nigdy o tym nie dowiedział.

Lecz, niestety, nie chodziło o mnie. Gdy chcieliśmy wyjść z pokoju i udać się na śniadanie, natknęliśmy się w korytarzu na wuja Thomasa, który na nasz widok sta-

nał jak wryty, wpatrując się w nas oczami wielkimi jak spodki.

- Co tu robisz, Tommi? - Przeżony Karl zadał niezbyt inteligentne pytanie, podczas gdy ja próbowałam wyglądać zupełnie inaczej niż wczoraj wieczorem, mając zarazem wielką nadzieję, że wuj Thomas ma fatalną pamięć wzrokową.

- Chciałem z *tobą* porozmawiać, zanim znowu przepadniesz gdzieś za granicą. - Wuj Thomas ponownie zwilżył wargi językiem, uśmiechając się przy tym szelmowsko.

- Ale cóż takiego robi mała przyjaciółeczka Leona w twoim pokoju hotelowym, wielki bracie?

W grę wchodził cały szereg najróżniejszych odpowiedzi i z pewnością mogliśmy spontanicznie wymyślić jakieś w miarę wiarygodne kłamstwo, gdybym nie miała na sobie sukienki, noszonej na przyjęciu urodzinowym, i wypisanego na twarzy poczucia winy.

- Nie jestem już przyjaciółką Leona - zdołałam wyjąkać.

- To nie twój interes - uciął krótko Karl. - O czym chcesz ze mną rozmawiać?

- A o czymże, jak nie o pieniądzach. - Wuj Thomas nie owijał w bawełnę.

- Chociaż szczerze mówiąc, nie liczę zbyt na twoje wsparcie. - Taksował mnie wzrokiem z takim uśmiechem, że aż dostałam gęsiej skórki.

- Choć wprawdzie *obecnie* sądzę, że być może mógłbym mieć więcej szczęścia.

Karl zmarszczył czoło.

- Thomas, nawet gdybym miał pieniądze, nie wsadziłbym ich w jeden z twoich projektów bankrutów. Nie jestem zainteresowany finansowaniem tego typu przedsięwzięć.

- Bardzo szkoda, bardzo szkoda. Ale może chociaż porozmawiałbyś z rodzicami na temat niewielkiego za-

strzyku finansowego, jako ukochany synalek tatusia i mamusi.

— Tommi, zawsze wyłudzałeś od nich obojga pieniądze, z których nigdy nie zobaczyli ani centa. Dom na Kaikenbrenner StraÙe przepisali na ciebie w ubiegłym roku, gdyż wmówiłeś im, że to na zawsze rozwiąże twoje problemy finansowe, po czym sprzedałeś go po kryjomu za ich plecami.

— To było działanie spowodowane pilną koniecznością — oburzył się wuj Thomas. — A poza tym jakie to ma znaczenie? Mają przecież wystarczająco dużo domów! Żaden powód, by się tak ciskać. - Poglądził się po brodzie. — Braciszku! Proszę. Ciebie posłuchają. Powiedz im, że to tylko ten jeden raz potrzebna mi jest ta forsa.

— Nie licz na mnie! — Karl się rozzłościł.

— W tej sytuacji nie pozostaje mi nic innego, jak zadzwonić do Leona i poinformować go, że przeleciałeś jego małą przyjaciółczkę — zagroził wuj Thomas, a jego głos był jakiś taki ugrzeczniejszy. - I uważam, że powinienem też zadzwonić do mamy i taty. Oni są zawsze tacy żądni nowinek o ich wspaniałym ulubieńcu.

— Rób, co uważasz za stosowne - powiedział Karl, biorąc mnie pod ramię. Gdy mijaliśmy wuja Thomasa, przewyciężyłam odruch wyrwania się i zaoferowania mu mojej książeczki oszczędnościowej, jeśli tylko, błagam, zrezygnuje z telefonowania do Leona. Ale po pierwsze -na książeczce miałam niecałe trzysta euro, a po drugie — wcale nie załatwiłoby to problemu, a jedynie odsunęło go w czasie.

Teraz mogłam tylko mieć nadzieję, że gdy Leon odbierze telefon, dawno już będę za górami, za lasami, a może nawet i w Madrycie. Albo muszę uprzedzić wuja Thomasa. Ostatnia opcja była nie tylko rozsądna, ale jeszcze do tego jedynie słuszna z moralnego punktu widzenia.

Lecz, przyznaję, że byłam zbyt wielkim tchórzem, by na serio się nad nią zastanowić.

Rozstaliśmy się z Karlem na parę godzin. W tym czasie miałam się spakować i poinformować rodzinę o moich nagłych planach podróży, on natomiast miał zarezerwować dla mnie lot. Punktualnie o szesnastej mieliśmy się spotkać na lotnisku Kolonia-Bonn.

Wkładając rzeczy do walizki, łągałam przez telefon o tym, co zamierzałam. Rodzicom powiedziałam, że Leon mnie rzucił i jestem tak załamana, że nie jestem w stanie pojawić się więcej na wydziale, nie wybuchając przy tym płaczem. Dlatego wybieram się na parę tygodni do koleżanki do Madrytu, do czasu aż jakoś się pozbieram.

Bez trudu udało mi się wyprowadzić matkę w pole. Zapewne dlatego, że w dalszym ciągu jej uwagę odwracały narodziny pierwszej wnuczki.

Wykazała zrozumienie mojej potrzeby nabrania dystansu, nazywając przy tym Leona „półgłówkiem bez serca”, gdyż „porzucił taką wspaniałą dziewczynę jak ty”. Chciała jednak wiedzieć, kim była „ta cała Karla”.

Tak, przyznaję, Karla nie była specjalnie oryginalnym imieniem, ale jedynym, jakie spontanicznie przyszło mi na myśl.

Karla Muller była wcieleniem wszelkich cnót i też przeżywała właśnie okropny zawód miłosny, co było powodem przerwania na pewien czas studiów. Nie nosiła żadnych kolczyków ani ćwieków, zasadniczo nie włączyła się po dyskotekach i nocnych klubach, no i mówiła biegle po hiszpańsku. A najlepsze z tego było, że jej ciotka miała mieszkanie w Madrycie, w którym mogliśmy mieszkać za darmo. Ciotka będzie też miała nas na oku i pokaże nam miasto. Matka uznała, że wszystko to brzmi całkiem rozsądnie. Usłyszałam w tle głos ojca, mówiący, że będzie mi przekazywał pieniądze na konto, że mam się nie zała-

mywać, bo z pewnością kiedyś spotkam tego właściwego i jeśli tylko chcę, to on już odpowiednio zmyje głowę temu całemu Leonowi.

— Nie trzeba — zapewniłam go. Swojego czasu ojciec „zmył głowę” Oliverowi Henselmeierowi. Spoglądając przyjaźnie przez okulary, powiedział: „Młody człowieku, to naprawdę nie było eleganckie z twojej strony”. Ufff. Prawdopodobnie Olivera do dziś prześladują koszmarne sny z tego powodu.

Zadzwoił dzwonek u drzwi.

— Mamo, muszę kończyć. To moja sąsiadka, której podlewam kwiatki. Zamelduję się, jak tylko wyląduję.

— Kochamy cię, mój skarbie — zapewniła mama. — I zawsze pamiętaj, że to przecież wcale nie koniec świata. Pojawią się następni mężczyźni.

— Wystarczy jeden. - Usłyszałam w tle głos ojca.

— To właśnie miałam na myśli — powiedziała matka. Otworzyłam drzwi. Na korytarzu zobaczyłam nie sąsiadkę, lecz Leona. Odruchowo powinnam była zatrzasać mu drzwi przed nosem. Zamiast tego przerażona gapiłam się na niego, stojąc jak wryta.

— Cześć - powiedział, wchodząc do pokoju i całując mnie w policzek. Do drugiego miałam przyklejony telefon, który bezwiednie przyciskałam do skroni.

— Do wieczora, Myszko! — Matka pożegnała się, po czym odłożyła słuchawkę.

Wyglądał na wyspanego. Jego błękitne oczy pod blond lokami czujnie błyszczały. Teraz nawet się do mnie uśmiechał.

— Wyglądasz wyjątkowo mizernie — stwierdził. — Przykro mi.

Otworzyłam usta, lecz nie wydobył się z nich ani jeden dźwięk. Jakimś cudem udało mi się w końcu umieścić drżącymi rękami telefon w stacyjce. Nie, przecież wuj

Thomas, ten skończony dupek, nie mógł zadzwonić do Leona. W przeciwnym razie nie byłby taki... opanowany. Żeby nie powiedzieć, w doskonałym nastroju. Wykluczone, żeby się tak szybko zebrał.

- Czasami potrafię być dość obcesowy — wyznał. Przełknęłam ślinę.

Leon pogłaskał mnie po policzku.

- Przykro mi z powodu wczorajszego wieczoru. A gdy cię teraz widzę w takim stanie, jest mi w dwójnasób przykro. Zapewne nie zmrużyłaś oka przez całą noc.

To się nawet zgadzało.

Spojrzenie Leona padło na leżącą na łóżku otwartą walizkę oraz poniewierające się wokół sterty ciuchów i książek.

- Wygląda na to, że zamierzasz dłużej zostać u rodziców. O Boże, Carolin, nie chciałem, żeby to tak wyszło.

Przyszła mi do głowy straszna myśl.

- Ale ptzecież wczoraj ze mną zerwałaś?

- Niezupełnie. - Leon potarł w zakłopotaniu nos. - Powiedziałem, że potrzebuję nabrać nieco dystansu. A to nie to samo.

- Ależ dokładnie to samo. Leon westchnął.

- To znowu takie typowe dla dziewczyn. Na wszystko macie swój kod. W każdym razie jestem tutaj, by ci powiedzieć, że jest mi przykro.

- Czy ma to oznaczać, że teraz dla odmiany nie chcesz... żadnego dystansu? - zapytałam, a serce biło mi tak głośno, że Leon z pewnością musiał je słyszeć.

- Ależ tak.

Odetchnęłam głośno.

- To znaczy, chciałem wczoraj wieczorem. Ale... ja... Rany, jest mi zwyczajnie przykro, że sprawiłem ci ból. Wiem przecież, jak musiałaś się czuć, gdyż jestem twoim

pierwszym i tak dalej... Zazwyczaj nie jestem taki... bez serca. Naprawdę nie.

- Już w porządku. Masz rację. Potrzebny nam jest... dystans i przerwa.

- No tak. Jeśli ci to naprawdę nie przeszkadza... Na Boga, cóż on takiego kombinuje?

- A więc, zgadza się, że zerwaliśmy ze sobą?

- No tak - przyznał ponownie. - Zakładam, że w waszym dziwnym dziewczęcym kodzie jakoś na to wychodzi. Chociaż nie do końca.

Dziwny dziewczęcy kod? Całkiem nie tak.

- To dlaczego jesteś tutaj i prowadzimy tę osobliwą rozmowę?

- Chciałem się jedynie upewnić, czy... czy nie zrobisz pochopnie czegoś nierozważnego.

- Co masz na myśli? Że mogłabym się rzucić z mostu? Leon wzruszył ramionami.

- Sądzę, że jesteś trochę niezrównowazona. Sama dobrze o tym wiesz. Ta sprawa z liczeniem, te notoryczne kłamstwa i tak dalej. Poza tym chcę, żebyś wiedziała, że naprawdę coś do ciebie czuję. - Zrobił krótką przerwę. -Również czuję się za ciebie odpowiedzialny.

W porządku. Gdybym przez przypadek nie spędziła tej nocy z jego ojcem, powiedziałabym mu teraz prosto w oczy, że jest skończonym dupkiem.

- Czy przypadkiem nie zamierzałaś się uczyć, a następnie odwiedzić siostry do domu?

-Tak i zaraz to zrobię. Ale przedtem chciałem się upewnić, że z tobą jest wszystko w porządku. - Uśmiechnął się do mnie krzywo. - Pobyt u rodziców niewątpliwie dobrze ci zrobi. I zawsze możesz do mnie zadzwonić, gdy coś się będzie działo. Dobrze?

- Nie wybieram się do rodziców - wypaliłam, za co w tym momencie powinnam była strzelić sobie w łeb.

-Nie?

Cała złałam się potem.

-Nie. Wyjeżdżam na parę tygodni do... na południe. Z przyjaciółką.

- Z jaką przyjaciółką? - Leon zmarszczył czoło. -Nie bierz mi tego za złe, ale ptzecież nie masz żadnych przyjaciółek. Szczerze mówiąc, to jedna z tych dziwnych rzeczy w tobie. Każda dziewczyna ma najbliższą przyjaciółkę. Każda. Ale nie ty. Pudło.

- Nie znasz jej - szepnęłam.

-Ach tak? Jak się zatem nazywa? Gdzie mieszka? Dlaczego nigdy mi jej nie przedstawiłaś?

-Dlatego, że... mieszka za granicą - wystękałam, jękając się. Więcej nie byłam w stanie wydusić z siebie. -Dziś do niej lecę.

- Aha. A dokąd dokładnie?

- Ma... jorka.

Leon uśmiechnął się z przekąsem.

-Wspaniale. A zatem życzę ci doskonałej zabawy i udanego wypoczynku.

— Ponownie pocałował mnie w policzek. Nie odważyłam się mieć tej nadziei, ale on rzeczywiście kierował się w stronę drzwi. Na korytarzu odwrócił się raz jeszcze w moją stronę. — Nie zapomnij zapakować bikini. I proszę, przyślij mi pocztówkę. Dobrze?

- Dobrze. — Gdy przyrzekłam napisać do niego, Leon mrugnął do mnie. Sądził, że wymyśliłam jedynie tę przyjaciółkę, by zachować twarz. Żeby nie wyglądać jak ktoś, kto przeżywszy zawód miłosny, zaszywa się u rodziców, lecz jak ktoś, kto zachowuje zimną krew i postanawia imprezować z przyjaciółką. Na Majorce.

Współczuł mi. Nie było to przyjemne, ale tysiąc razy lepsze niż wściekłość. Albo chęć mordy.

Wyrzuty sumienia omal mnie nie zabiły, ale ulga, jakiej doznałam na widok odchodzącego Leona, była silniejsza.

- Głowa do góry - powiedział, jeszcze zanim zaczął schodzić po schodach sprężystym krokiem. Wówczas zadzwoniła jego komórka i piętro niżej usłyszałam jego radosne: - Halo?

Zamknęłam drzwi i odwróciłam się w stronę walizki. Miałam to z głowy. Teraz musiałam tylko skończyć pakowanie i zadzwonić po taksówkę. Mam nadzieję, że tym razem nie przyślą mi jakiegoś totalnego porąbańca. Włożyłam do walizki dwa swetry i wszystkie jeansy. Poza tym dwa wystrzępione wydania Jane Austen *Duma i uprzedzenie*, które tak często czytałam, że całe obszerne fragmenty powieści znałam na pamięć. Gdy zastanawiałam się, czy brać, czy nie brać Schnuffa, statego pluszowego zajęczka, ponownie rozległ się dzwonek u drzwi. Tym razem aż trzykrotnie z rzędu.

Pokój nie był duży i można go było przemierzyć zaledwie paroma krokami. Trzymałam już rękę na klamce, gdy przyszło mi do głowy, że to wcale nie musi być moja sąsiadka.

- Carolin, otwórz! - Usłyszałam krzyk Leona.

W tym momencie poczułam ogarniający mnie lodowaty chłód. Frazes „krew zamarza w żyłach” był w tym przypadku nad wyraz adekwatny.

-Czego jeszcze chcesz? - zapytałam przez drzwi, mimo że doskonale wiedziałam, o co chodzi.

- Otwieraj! - wrzasnął. - Właśnie dzwonił do mnie wuj Thomas.

-1 co? - Dobry Boże. Czy należało się spodziewać, że Leon wyważy drzwi? Na wszelki wypadek zablokowałam je komodą. Bez wątpienia byłam trochę skołowana.

Leon usłyszał rumor.

- Co tam robisz w środku? Natychmiast otwieraj! Muszę z tobą porozmawiać! Co robiłaś z moim ojcem w hotelu? Skąd w ogóle wiedziałaś, gdzie mieszka?

Nie odpowiedziałam.

- Carolin! Czy rozmawiałaś z moim ojcem? Czy może o mnie? Co to ma znaczyć? Dlaczego mieszasz się w sprawy, które cię wcale nie dotyczą? I dlaczego wuj Thomas twierdzi, że dziś rano byłaś identycznie ubrana, jak wczoraj wieczorem? Otwieraj wreszcie te cholerne drzwi!

- Leonie...

- Otwieraj! Wuj Thomas próbował mi wmówić, że ty i mój ojciec... że wy... że mieliście coś ze sobą wspólnego. Myślę, ha, ha, ha. *Halo!* Czy to nie śmieszne? Znam cię i wiem, że nigdy byś... mam na myśli, akurat ty... jesteś przecież jak... Carolin! Otwórz wreszcie te drzwi. Chciałbym, żebyś mi to wyjaśniła.

- Nie potrafię ci tego wyjaśnić - powiedziałam. Wówczas Leon walnął pięścią w drzwi. W każdym razie przypuszczam, że była to pięść. Możliwe też, że była to jego głowa.

Cóż mogłam zrobić? Później często zadawałam sobie to pytanie.

Zapewne w grę wchodziły różne opcje. Mogłam otworzyć drzwi. Być może wówczas rzeczywiście doszłoby między nami do rozmowy. Albo mogłam też porozmawiać z Leonem przez drzwi. W każdym razie nie powinnam była uciekać po drabinie przeciwpożarowej z ciężką walizką, torebką i zajacem Schnuffim pod pachą. A właśnie to zrobiłam. Tak na marginesie, nie było to wcale takie proste, gdyż drabina kończyła się nad ziemią na wysokości głowy postawnego mężczyzny. Musiałam więc wpierw rzucić na ziemię walizkę, torebkę i zajaca, a następnie sama zeskoczyć. Potem taszczyłam ten cały kram, pędząc tak szybko, jak to tylko w tej sytuacji było możliwe, podczas gdy w mojej torebce komórka dzwoniła jak szalona.

*Jak szczęśliwie by się żyło niektórym,
gdyby zajmowali się cudzymi sprawami
w równie niewielkim stopniu, jak swoimi.*

Oscar Wilde

Interpretuję teraz powyższy cytat zupełnie swobodnie jako elegancki wariant stwierdzenia „Ciekawość nie wychodzi na zdrowie, a nawet zabija”, co z kolei może stanowić wariant powiedzenia „Kto pcha palce między drzwi, ten ryzykuje ich utratę”.

Innymi słowy: nie róbcie tego, co ja zrobiłam.

Nie słuchajcie podszeptów diabła. Wierzcie mi, niektórych spraw lepiej nie zgłębiać. A jeszcze lepiej nie mieć do czynienia z żadnym diabłem.

Można się wtedy uważać za prawdziwych szczęściarzy.

Pani Karcianodomska-Kuracjusz aż oniemiała z zachwytu, widząc moje postępy. Stwierdziła, że zmieniałam postawę, a także, że nie sprawiam już na niej wrażenia kogoś zdezorientowanego i bezradnego, lecz kogoś, kto patrzy w przyszłość.

- Zdaje się, że wszystko się stopniowo krystalizuje, potwierdzając tym samym, że zastosowana została właściwa terapia.

Stopniowo krystalizuje?

- Ale przecież byłam u pani po raz pierwszy zaledwie przedwczoraj.

- Czas nie gra tu żadnej roli. Procesy tego typu mogą rozegrać się w ciągu eeeee... — pani Karcianodomska-- Kuracjusz zaczęła machać rękoma niczym motyl skrzydłami - ..*sekund*. Potrzebny jest tylko odpowiedni impuls. Niech pani *przyjrzy* się sobie! Jak nowo narodzona.

Byłam nieco sceptyczna.

- I to efekt działania tylko samych tabletek?

- Naturalnie - potwierdziła radośnie pani Karcianodomska-Kuracjusz. - Ma się rozumieć, że jest to wyłącznie efekt działania tabletek! Ale to przecież nie ma żadnego znaczenia. Myślenie, że liczy się wyłącznie to, co osiąga się własnymi siłami, jest kompletnym nonsensem. Im lepiej się pani czuje po tabletkach, w tym większym stopniu będzie pani dążyć do osiągnięcia celu, tym bardziej będzie się pani o siebie troszczyć i tym lepiej będzie się pani czuć. Aż pewnego dnia dojdzie do tego, że będzie pani mogła odstawić lekarstwo.

-Aha!

Moja świruska była w ekstremalnie dobrym nastroju. Zastanawiałam się, czy sama czegoś nie zażyła. Wychwalała mnie pod niebiosa za zapisane zeszyty, ale ku mojemu rozczarowaniu odłożyła je na wielką stertę różnych papie-rzysk piętrzącą się w rogu biurka.

- Czy w ogóle będzie to pani czytać? Czy też może te zapiski mają służyć mojej własnej orientacji?

- Naturalnie, że je przeczytam - zapewniła mnie pani

Karcianodomska-Kuracjusz, nieznacznie się przy tym uśmiechając. - Jak tylko skończę nową Karin Slaughter. Po thrillerze tragiczna historia miłosna będzie dla mnie dobrą odmianą.

Z pewnością *coś* zażyła.

- A więc zdecydowała pani zająć się swoimi sprawami spadkowymi - stwierdziła. - To dobrze. To bardzo dobrze. Co prawda mówi się, że pieniądze nie dają szczęścia, lecz uważam, że to brednie. Forsy brak, wszystko nie tak - zawsze to powtarzam.

- To znaczy, że *same* pieniądze jako takie nie czynią szczęśliwym - zauważyłam.

- Ale *same* pieniądze jako takie nie czynią też nieszczęśliwym! - Pani

Karcianodomska-Kuracjusz roześmiała się głośno. — Jakkolwiek by było. Wspaniale, że wyszła pani z tego odrętwienia i że bierze pani sprawy w swoje ręce. Co zrobi pani z pieniędzmi?

— Eehhmm. To, co zazwyczaj robią ludzie. Poszukam mieszkania, zacznę żyć... Może założę ośrodek ratowania osieroconych małych jaguarów.

-Wspaniale. Cudownie. Kocham małe jaguarząt-ka. I mam dla pani wspaniałego agenta nieruchomości. Chwileczkę, zaraz znajdę jego wizytówkę. Ach, nowe mieszkanie! — Popatrzyła rozmarzonym wzrokiem na sufit. - Prawda, że to można przyrównać do nowego życia? I chyba nie musi to być od razu mieszkanie własnościowe? Małe, jasne mieszkanko, w którym będzie pani w spokoju dochodzić do siebie. Koniecznie z oknem w łazience. Nie do wiary, jak często obecnie oferuje się mieszkania z łazienką bez okna. Woli pani parkiet czy kafelki?

— Hmm. Eeehh, sądzę, że jest mi w gruncie rzeczy wszystko jedno.

— Nie, nie, nie, niechże pani przestanie! To wcale nie wszystko jedno.

Proszę wyobrazić sobie, jak powinno wyglądać pani wymarzone mieszkanie. Od początku: parkiet czy kafelki? Wykładzina dywanowa też może być bardzo fajna. Przede wszystkim gdy nie ma się psa, który wszystko zaświni brudnymi łapskami. - Westchnęła. - No więc?

— Parkiet.

— Nowe budownictwo czy może jakaś stara kamienica?

— Ale to wszystko jest jakieś takie... Czy to stanowi część terapii?

— Tak — potwierdziła pani Karcianodomska-Kuracjusz. — Niechże się pani tak nie certoli i opisz mi swoje wymarzone mieszkanie.

— Koniecznie musi mieć kominek. No i dość miejsca na klawikord oraz mnóstwo książek. — Nie powiedziałam,

że potrzebny mi jest również gzyms nad kominkiem, żebym miała gdzie postawić urnę. Dokładnie rzecz biorąc, trzymanie w domu urny było trochę nielegalne. Udało mi się ją zatrzymać jedynie dlatego, że spopielenie miało miejsce w Anglii, zaś prochy Karła przyjechały wraz ze mną w moim podręcznym bagażu. -I?

- I musi być bardzo jasne - dodałam.

- A zatem coś już mamy! Ach, dalej proszę, to przecież daje tyle radości. Francuskie okna aż do podłogi, ogrzewanie podłogowe i rzecz jasna balkon. - Pani Kar-cianodomska-Kuracjusz spojrzała na mnie wyczekująco. Jednak po chwili rozczarowana machnęła ręką. - No, dobrze. Zostawmy na razie ten temat i skupmy się na tym, z czego będzie pani żyła. Dobrze, że chce pani znowu wziąć sprawy w swoje ręce, jeśli chodzi o utrzymanie. Czy zastanawiała się już pani nad jakąś ptacą? Mieszkanie z kominkiem nie jest tanie.

- Mogłabym ponownie zająć się tłumaczeniami — powiedziałam z westchnieniem.

Pani Karcianodomska-Kuracjusz odgarnęła włosy.

- Naturalnie, że mogłaby pani do tego wrócić. Ale czy nie uważa pani, że to byłoby marnowanie się? Mam na myśli pani wykształcenie i pani zdolności, dzięki którym mogłaby pani pracować praktycznie wszędzie, zarabiając przy tym znacznie więcej.

- Hmm — mruknęłam, co mogło oznaczać wszystko i nic.

- Ale jeszcze za wcześnie na konkretne plany. - Obdarzyła mnie promiennym uśmiechem. - Chciałabym jedynie, żeby pani już powoli zaczęła rozważać w sercu różne wchodzące w grę możliwości. A tych jest w pani przypadku całe mnóstwo. Chyba że spadek będzie na tyle duży, że nie będzie pani wcale musiała pracować. — Mimo

że ostatnie zdanie powiedziała neutralnym tonem, zauważyłam, że zasadniczo było to zawołane pytanie.

-Wszystko zależy od tego, ile będę mogła zatrzymać. I szczerze mówiąc, nie jestem też jeszcze dokładnie zorientowana, ile tego jest. Na chwilę obecną zamierzam wyrwać z tego tyle, ile tylko się da. - Mówiąc te słowa, wyciągnęłam z torebki gazetę z zawiadomieniem o kontr-pogrzebie Karla i położyłam ją otwartą na odpowiedniej stronie na biurku przed panią Karcianodomską-Kuracjusz. — *Z tego właśnie powodu!*

Początkowo pani Karcianodomska-Kuracjusz była zdezorientowana, ale gdy po dobrej chwili dotarło wreszcie do niej, że rodzina Karla to ta sama rodzina, która od lat prowadziła z nim zaciętą wojnę, i która teraz zamierzała zorganizować własną uroczystość ku pamięci zmarłego, była szczerze oburzona. Może nawet bardziej niż wypadało. Jej dobry nastrój nagle się ulotnił.

- Jak sobie pomyślę, że była żona mojego męża wykreca mi taki numer...
- wrzasnęła. - Można się po niej wszystkiego spodziewać. Ale zapewniam panią, że z całą pewnością nie doczekałaby w tym dniu wieczora. Już moja w tym głowa. - Chrząknęła. - Chcę przez to powiedzieć, eeehhh, że w pełni rozumiem pani żądę mordy. W tej sytuacji to całkowicie notmalne.

- Ale ja nie odczuwam żadnej żądzy mordy - wyjaśniłam. O rany, ta baba jest zdecydowanie najgorszą psychoterapeutką na świecie. To było do przewidzenia, że trafię właśnie na nią.

- Wcale nie musi pani tłumić złości. Czasami takie uczucia są całkowicie na miejscu i w pełni uzasadnione. A do tego mogą być też bardzo pomocne.

- Ale we mnie wcale nie ma złości.

Pani Karcianodomska-Kuracjusz wyglądała na rozczarowaną.

— Naturalnie, że jestem *nieco oburzona* — przyznałam. — I uważam całą tę sprawę za potwornie nietaktowną i w wyjątkowo złym guście. Ale jeśli już muszą i jeśli ma im to poprawić samopoczucie, to niech sobie wyprawiają ten wysoce niestosowny kontrpogrzeb...

— I całemu światu dać do zrozumienia, że nie grała pani w jego życiu *żadnej* roli i *nic* dla niego nie znaczyła? -Błyski w oczach pani Karcianodomskiej-Kuracjusz wskazywały gotowość odwetu i chęć stoczenia zażartego boju.

Hejże! Co to ma właściwie znaczyć? Czyżby miał to być jakiś test, czy też może moja psychoterapeutka naprawdę próbowała mnie na nich napuścić?

— Ach — prychnęłam lekceważąco, starając się zachować obojętny wyraz twarzy.

Pani Karcianodomska-Kuracjusz ponownie zaczęła studiować nekrolog.

— Żyjący dla rodziny! Ukochany małżonek... Podziwiam panią, że nie odczuwa pani konieczności sprostowania tych bzdur!

Tak, jasne jak słońce, próbowała mnie na nich napuścić.

— Ludzie tak czy siak zawsze wierzą tylko w to, w co chcą wierzyć. — Wzruszyłam ramionami.

— Zgadza się. Mimo to nie mogłabym optzeć się pokusie rzucenia okiem na tę tak zwaną uroczystość żałobną. - Pani Karcianodomska-Kuracjusz odgarnęła włosy z czoła. — Zwłaszcza że zakład pogrzebowy Hellmanna znajduje się tuż za rogiem.

— Naprawdę?

-Tak, na Hegemannstraße. Jeśli pójdzie pani dalej Hauptstraße w kierunku statego miasta, to jest to druga przecznica na lewo.

-Ach.

— Tak! Prawda, że zadziwiający zbieg okoliczności?

- Tak pani sądzi?

Pani Karcianodomska-Kuracjusz odchyliła się na oparcie fotela.

- A więc raz jeszcze całkiem otwarcie. Gdyby mnie pani zapytała, to odpowiedziałabym, że nie wierzę w zbiegi okoliczności. Jestem - eeehh - naukowcem.

- To znaczy, że istnieje jakieś naukowe - w pani przypadku psychologiczne - wyjaśnienie, że była rodzina mojego zmarłego męża poszukała na odprowadzany przez nią konttopgrzeb miejsca znajdującego się w pobliżu gabinetu mojej psychoterapeutki?

Oczy pani Karcianodomskiej-Kuracjusz zabłysły, po czym powiedziała nieco przekornie:

- Tak, tak właśnie myślę.

W potządku. Czy pisałam już, że ta baba jest kompletną idiotką?

Powinam chyba zwiększyć dawkę połykanych tabletek, żeby jakoś przetrwać ten cały cyrk.

- Nasz czas minął - poinformowałam ją, patrząc na zegar wiszący na ścianie.

-Och, tak, rzeczywiście. - Pani Karcianodomska--Kuracjusz wstała i wyciągnęła do mnie rękę. - A zatem do następnego poniedziałku. Proszę nadal robić równie wspaniałe postępy. I jak wspomniałam: Hauptstraße w lewo i druga przecznica w prawo.

- To, niestety, nie w moją stronę - stwierdziłam. Naprawdę!

Jak tylko opuściłam gabinet, zadzwoniła Mimi. Zwyczajowy telefon kontrolny.

- Przyjdiesz do sklepu?

- Zamierzałam się trochę przejść - odpowiedziałam.

- Ale przecież leje jak z cebra!

- To mi nie przeszkadza. Lubię deszcz.

- Bzdura - skwitowała moja siostra. - Nie cierpisz deszczu. Przychodź zaraz. W sklepie jest teraz bardzo przy-

tulnie. Poza tym właśnie dostaliśmy nową kolekcję malowanych parasoli Gittiego, pasujących do naszych kaloszy. I do tego Constanze upiekła świetny tort malinowy ze śmietaną.

— Zobaczę. Może wpadnę na chwilę.

W międzyczasie dotarłam do Hauptstraße. W prawo szło się do domu, a w lewo w kierunku starego miasta. Skreśliłam w prawo i przeszłam parę kroków, po czym odwróciłam się na pięcie. Przecież mogłabym wpaść na moment do tego zakładu pogrzebowego. Ot, tak po prostu. Zresztą uroczystość pogrzebowa miała się odbyć dopiero jutro. Będąc na wysokości pierwszej przecznicy, ponownie zrobiłam w tył zwrot. O Boże, nie, to było zbyt duże szaleństwo. Poza tym głupie i zgoła niepotrzebne. A moje pojawienie się tam i tak by nic nie dało.

Z drugiej strony ciekawość zżerałaby mnie zapewne do końca życia.

Ponownie obróciłam się o sto osiemdziesiąt stopni. Tym razem dobrnęłam do rogu Hegemannstraße. Wówczas ponownie się zatrzymałam. Czułam się niczym postać z filmu rysunkowego, z aniołkiem na prawym ramieniu, a z diabełkiem na lewym.

— Tylko popatrz, to przecież wcale nie jest zabronione - szeptał diabełek, podczas gdy aniołek pytał: - Ale po co ci to?

Wewnętrzne rozdarcie sprawiło, że westchnęłam żałośnie i zatęskniłam za moimi tabletkami. Pomimo że zarówno z prawej, jak i z lewej strony było wystarczająco dużo miejsca, pewien starszy pan przeszedł tuż obok mnie, niemalże mnie tratując.

— Co za bezczelność tak stać na środku ulicy i bezsensownie marnować czas - fuknął rozeźlony.

Co prawda, to prawda.

Gdy ruszyłam z miejsca, diabełek uśmiechnął się zachwycony, zwracając się do nadąsanego aniołka: - Widzisz, zawsze stawiam na swoim.

Z zewnątrz zakład pogrzebowy wyglądał bardzo niepozornie, aczkolwiek gustownie. Nie było tam żadnego okna wystawowego z trumnami i odzieżą żałobną, a jedyną ozdobę stanowiły przycięte w kształcie kuli bukszpany w cynowych donicach. Na elewacji znajdował się prosty szyld z nazwą firmy, a przy drzwiach dzwonek. Całość uzupełniała ładna, srebrna gałka, sprawiająca w dotyku bardzo przyjemne wrażenie miękkości. Drzwi otwierały się automatycznie. No, nie *całkiem*, gdyż musiałam lekko je nacisnąć, co nasuwało przypuszczenie, że były otwarte jak normalne drzwi prowadzące do sklepu.

Gdy przekroczyłam próg, miękko się za mną zamknęły, powodując uruchomienie harmonijnie brzmiącego dzwonka. Powolne, melodyjne ding-dang-dong-dong w tonacji mollowej.

W porządku. W każdej chwili mogłam przecież zwać. Albo powiedzieć, że chcę kupić trumnę. Można sobie chyba kupować trumny! A może żeby ją kupić, trzeba być martwym?

Zrobiłam parę kroków do przodu i spojrzałam do pierwszego mijanego pomieszczenia. Całkiem normalne biuro, niezbyt duże, z licznymi roślinami. W środku ani śladu ludzi. Drugi pokój również okazał się biurem, tyle że dużo większym i znacznie bardziej okazałym, wyposażonym w meble z ciemnej skóry, z obrazami w złotych ramach i perskimi dywanami. Z pewnością było to pomieszczenie szefa, a pokój obok mógł co najwyżej służyć jako sekretariat. Ale gdzie oni wszyscy mogli się podzie-wać?

- Zapewne odstawiają w kłopoty szybki numer -podpowiedział diabełek.
- Normalka.
- Fuj, nie! - obruszył się aniołek. - Chyba skończyli już pracę. Już przecież po piątej.

- Umiera się również po zakończeniu pracy - zauważyłam. O Boże, jak tak dalej pójdzie, wkrótce będę potrzebować tabletek na schizofrenię. Następne drzwi były dwuskrzydłowe i prowadziły do dużej sali. Przepiękna, intarsjowana kamienna posadzka, wysoki sufit, eleganckie okna wychodzące na wewnętrzny dziedziniec pełen zieleni. Rzędy krzeseł, organy, mównica i liczne puste sztalugi. Lecz mój wzrok natychmiast przykuła ogromna, zwisająca z sufitu, umieszczona na tylnej ścianie wykonana z materiału flaga, na której wydrukowano zdjęcie przedstawiające trójkę ładnych dzieci o blond włosach, tulących się do przystojnego mężczyzny, również blondyna, stojącego przed wielkim, kwitnącym rododendronem. Mężczyzną tym był Karl nadnaturalnej wielkości, patrzący prosto na mnie z szerokim uśmiechem.

- O cholera jasna - zakląłam.

Na dole, przez pierś Karla oraz częściowo trawnik biegły wielkie czarne litery tworzące coś w rodzaju sloganu o treści: „*Tokio - Nowy Jork - Madryt - Zurych - Londyn — na całym świecie jak w domu, a mimo to jego serce zawsze biło dla rodziny*”.

Zaczęłam się histerycznie śmiać. *Na całym świecie jak w domu, a mimo to jego serce zawsze biło dla rodziny* — ha, ha, ha, koń by się uśmieł. Co za kołtuńska obłuda. Przekrzywiwszy głowę, wpatrywałam się w ogromny obraz. Nie, tego przecież nie można tak zostawić. Czegoś tu jawnie brakowało. Pobiełam z powrotem do jednego z pomieszczeń biurowych i rozejrzałam się po biurku. Ha, bardzo dobrze, znalazłam dokładnie to, czego potrzebowałam: gruby, czarny mazak. Wróciwszy do dużej sali, przysunęłam jedno z krzeseł do ściany, wdrapałam się na nie i uzupełniłam napis na plakacie najpiękniejszym charakterem kaligrafowanego pisma, na jaki mnie było stać.

Następnie zeskoczyłam z krzesła, na powrót wstawiłam je do rzędu i z zadowoleniem popatrzyłam na swoje dzieło. Tak. Teraz wyglądało to znacznie lepiej.

.. *Madryt - Zurych - Londyn - Oer-Erkenschwick*. Znakomicie! Tylko z tego powodu opłacało się troszeczkę nadłożyć drogi, by wpaść tutaj. Diabełek na moim ramieniu aż zaczął podskakiwać z radości. Natomiast siedzący na drugim ramieniu aniołek załamał z przerażenia ręce, po czym

zakrył nimi twarz. Ale zanim sama wybuchnęłam śmiechem, usłyszałam za plecami głosy.

- Kompozycje kwiatowe będą dostarczone jutro w południe. Później rodzina przyniesie jeszcze parę zdjęć, które rzuci się na ekrany. Muzyka będzie odtwarzana z taśmy - powiedział jeden głos, a drugi dodał:

-Mówię po raz setny: Jakubie, możesz spokojnie wyjechać. Nad wszystkim panujemy. A poza tym nie z taśmy, tylko z CD.

Odwróciłam się i zobaczyłam dwóch mężczyzn w garniturach - młodszego i starszego. Szybko wetknęłam mazak do kieszeni płaszcza.

- Ale ptiecież w piątek jest pogrzeb Grundermanna i ze względu na bukiety lilii raz jeszcze musimy...

- I z tym damy sobie radę bez ciebie - przerwał młodszy z mężczyzn. W tym momencie spostrzegli mnie.

- Przepraszam - odezwał się starszy. - Nie słyszeliśmy, jak pani weszła.

- Ale dzwonek zrobił przecież ding-dang-dong-dong - powiedziałam, zupełnie nie wiedząc, co dalej. Diabełek szeptał mi do ucha cały szereg możliwych i zarazem wiarygodnych kłamstewek, poczynając od:

„Chciałam tylko zapytać o drogę" aż po „Mój dziadek umiera i w związku z tym rozglądam się za stosownym zakładem pogrzebowym". Natomiast aniołek zamilkł z przerażenia. (Nie-

chętnie stwierdzam, ale dotychczas był mi bardzo mało pomocny).

- Pani Roser? - zapytał młodszy, wyciągając rękę. Nie odpowiedziałam, ograniczając się jedynie do serdecznego odwzajemnienia uścisku dłoni.

- Miała pani być o szesnastej.

Ale nie mogłam, bo miałam spotkanie ze świruską. Gdzie teraz znowu powinnam pognać w te pędy. I to im prędzej, tym lepiej.

- Punktualność w tym zawodzie to rzecz jasna nadrzędna zasada - uświadomił mnie starszy mężczyzna. - Proszę sobie wyobrazić, że siedzi tu pięćdziesięciu żałobników, czekających aż rozlegnie się muzyka organowa, a pani po prostu się nie zjawia.

- Zasadniczo jestem punktualna - powiedziałam. - Niemal notorycznie.

- Załatwię to, Jakubie - zaoferował się młodszy. - To nie potrwa długo. -

Gdy starszy z mężczyzn opuścił pomieszczenie, a aniołek na moim ramieniu jakoś zdołał otrząsnąć się z przerażenia i wrzasnął: „Zaraz potem w nogi!", drugi ujął mnie pod ramię i poprowadził do organów.

- Tak między nami: coraz mniej ludzi chce mieć organy. Większość woli muzykę z konserwy, co też jest dużo tańsze. Mimo to, jeśli klient żąda organisty, wówczas nie chcemy żadnego amatora, który mógłby nas ośmieszyć. Koniec końców nasz zakład słynie ze swojej klasy i ekskluzywności daleko poza granicami miasta. Za co dobrze płacimy. Bardzo dobrze. Czyż pani Karcianodomska-Kuracjusz całkiem niedawno nie wspomniała przypadkiem, że powinnam się zastanowić nad podjęciem pracy? Dlaczego więc nie miałabym zarabiać pieniędzy jako organistka w zakładzie pogrzebowym? Byłoby to co najmniej orygi-

nalne. I w tej pracy z całą pewnością nie będzie się miało do czynienia ze zbyt dużą ilością ludzi w doskonałych nastrojach, którzy będą działać na nerwy opowiadaniem radosnych historyjek oraz głupich dowcipów.

— Pani dokumenty dołączone do listu motywacyjnego o pracę robią doprawdy wrażenie: cztery semestry konserwatorium w klasie muzyki kościelnej w Dusseldorfie oraz jedenaście lat praktyki w rodzinnej gminie... -W tym momencie przedsiębiorca pogrzebowy zmarszczył czoło. — W takim razie musiała pani bardzo młodo zacząć. Zgadza się? Przytaknęłam.

— Byłam czymś w rodzaju cudownego dziecka.

— W takim razie proszę zagrać. — Zapraszającym gestem wskazał na ławę stojącą przy organach.

Usiadłam. Karl uśmiechał się do mnie z góry z przeogromnego portretu. Organy miały dwurzędowy manual oraz całe mnóstwo pedałów. Od tych będę musiała trzymać się z daleka, gdyż pedały również wytwarzają tony w odróżnieniu od klawikordu i fortepianu.

Zagram coś z Bacha, gdyż jego muzyka doskonale pasuje do organów i w pewnym sensie również do tematu.

Udetyłam w pierwszy klawisz, by wydobyć akord. Nic się jednak nie wydarzyło.

— Wcześniej musi pani, ma się rozumieć, włączyć organy — powiedział przedsiębiorca pogrzebowy przyciskając boczny guzik.

— Ach tak, co za idiotka ze mnie.

Urządzenie było rzecz jasna elektroniczne. W przeciwnym razie miałyby cały szereg wielkich piszczałek. Bądź co bądź brzmiało znajomo, jak klawikord. Zagrałam kilka pierwszych taktów preludium i od razu poczułam się jak w domu. Lecz nagle — diabli wiedzą, czemu — klawikord zaczął brzmieć jak orkiestra smyczkowa. Och,

tych elektronicznych instrumentów nigdy nie można brać poważnie. To coś wyłącznie dla artystów estradowych występujących solo.

- Bardzo ładnie - pochwalił mnie. - Ale może ma pani też w swoim repertuarze coś bardziej nośnego, bardziej umiarkowanego?

-Naturalnie - przyznałam, przyciskając dla próby kilka guzików.

Teraz grałam lewą ręką na dolnym manuale klawi-kordu, zaś tony, które wygrywałam prawą ręką na manuale górnym, brzmiały jak skrzypce.

Totalnie porąbane. Nie znosiłam elektronicznych instrumentów. Udawały coś, czym naprawdę nie były. Pierwsza część *Koncertu włoskiego* Bacha była totalnie wykoślawiona. Ale przedsiębiorca pogrzebowy sprawiał wrażenie zadowolonego, a co najmniej uśmiechał się z uznaniem.

- Czy to Bach? Nienawidzimy Bacha! - usłyszawszy kobiecy głos, o mało nie opuściłam stóp na pedały, co by spowodowało włączenie dysharmonijnego klastera akordów do mojego *Koncertu włoskiego*.

- Ups - powiedział diabełek, na co aniołek zemdłał.

W życiu zawsze spotkania zdarzają się dwukrotnie.

Wiem, że to już raz było. Ale co tam! - To tylko dowodzi raz jeszcze, jak często trafne są głupie powiedzenia.

Znad organów ujrzałam starego przedsiębiorcę pogrzebowego, któremu towarzyszyli młoda kobieta z młodym mężczyzną oraz liczne wielkie płótna oprawione w drewniane ramy. I choć widziałam jedynie ich półprofile, od razu rozpoznałam obie nowo przybyte osoby. Leona i jego siostrę Helen.

— Przepraszam na moment, pani Roser - szepnął młodszy z przedsiębiorców pogrzebowych, stojący obok mnie. — Proszę po prostu grać dalej. Pięknie i cicho, ale może już nie Bacha.

Tymczasem zamieniłam się w słup soli, nie będąc w stanie nawet udzielić odpowiedzi. Choć Leon z Helen w tym momencie stali odwrócenie do mnie plecami, czułam się, jakby już mnie przyłapano, gdzieś tam koło sztalug. A poza tym absolutnie nie przychodziło mi do głowy nic, co bym mogła zagrać. Poza melodyjką do popularnej piosenki *Kto obróci się, tego czarny lud zje*.

- O Bożebożebożeboże - biadolił ponownie przytomny aniołek, który jakimś niepojętym cudem zdołał się ocknąć z omdlenia.

- Uciekaj! - syczał mi do ucha diabełek. - Spływaj. Zniknij. Bierz nogi za pas.

Przełknęłam ślinę. Zaszło mi w gardle. Niczego bardziej nie pragnęłam. Lecz nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Zupełnie jakby nie należały do mnie. Ogromne czarno-białe fotografie, które Leon z Helen ustawiali na sztalugach, pokazywały Karla we wszystkich odsłonach. Karl śmiejący się. Karl spoglądający poważnie. Karl razem z puciołowatym, może pięcioletnim Leonem, trzymającym bukiet stokrotek w tłściutkiej piąstce.

- Jakie piękne zdjęcia - zachwycił się starszy przedsiębiorca pogrzebowy.

- Rzeczywiście oddaliście państwo na tych fotografiach całą duszę państwa cudownego ojca.

-To moja matka - wyjaśniła Helen. - Wspaniale fotografuje. Zrobiła również mnie wspaniałe zdjęcia. Czy wie pan, że jestem modelką?

Dlatego moja twarz wydała się panu znajoma. Prawdopodobnie widział mnie pan w magazynie albo na plakacie. Albo w telewizji. Obecnie moją twarz można zobaczyć wszędzie w tramwajach -w ramach kampanii nawołującej, żeby nie jeździć na gapę.

- Ulotnij się. Daj drapak. Zniknij - szeptał diabełek, podczas gdy aniołek z trudem chwycił powietrze.

Leon odłożył zdjęcia, wetknął ręce w kieszenie spodni i rozejrzał się wokół. Miał tak krótko przycięte loki, że nie widać było, że w ogóle były to jakiegokolwiek loki. Nie mogłam ocenić tego z całą pewnością, ale jego garnitur sprawiał wrażenie bardzo drogiego i leżał na nim podejrzenie dobrze. Do tego stopnia, że nie przypuszczałam, że mógł zostać kupiony w C&A. Wzrok Leona zatrzymał się na ogromnej fladze i byłam pewna, że zauważy dopisane litery. Nic jednak nie powiedział.

— Dekoracje z kwiatów i świece zostaną ustawione jutro przed południem — poinformował starszy z przedsiębiorców pogrzebowych.

— A państwa wuj właśnie przysłał nam muzykę.

— Mam nadzieję, że nie ma nic Bacha. Nienawidzimy Bacha i powtarzałam co najmniej dziesięć razy, że go nie chcemy — powiedziała Helen.

— Nie, zgodnie z moim stanem wiedzy Bach nie jest przewidziany - pośpieszył z wyjaśnieniem młodszy przedsiębiorca pogrzebowy. —

Przeważa nowoczesna muzyka. Eagles, Pink Floyd i...

Helen roześmiała się, odrzucając głowę w tył.

— Nieprawdopodobne. To ludzie w pana wieku coś takiego nazywają nowoczesną muzyką? Niemożliwe!

— Czy jest wystarczająca ilość krzeseł? — Leon najwidoczniej zamierzał dalej się wiercić. Wreszcie ponownie wstąpiło we mnie życie.

Przesunęłam się na koniec ławy, po czym wstałam. Ufl! Za późno. Teraz to już naprawdę musiał mnie zauważyć. Lecz wzrok Leona prześlizgnął się po mnie obojętnie. Sprawiał wrażenie, jakby mnie nie poznał.

Możliwe, że uznał mnie za statuetkę, gdyż ponownie zamarłam, zmieniając się w słupek soli. — Ponad sto osób potwierdziło swoje przybycie.

— W takim razie dostawimy jeszcze dwa rzędy — zapewnił starszy pan. - Ale krzesła będą nam potrzebne do innej uroczystości odbywającej się jutro rano, dlatego dostawienie ich będzie możliwe dopiero jutro w południe. Mam nadzieję, że wykażecie państwo zrozumienie.

— Naturalnie — potwierdził Leon.

O mój Boże! Ta jego twarz. W moich wspomnieniach wyglądał zupełnie inaczej. Przystojny, młody blondyn, najprzystojniejszy mężczyzna, jak świat długi i szeroki. Więcej wówczas nie zauważyłam. Lecz teraz spostrzegłam ogromne podobieństwo do Karla. Kształt głowy, wysokie

czoło, nos lekko zakrzywiony ku dołowi, mocny, energiczny podbródek, kształt ust... - to wszystko było mi takie bliskie, tak bardzo znajome. I nagle uświadomiłam sobie, że w innych okolicznościach bardzo bym się ucieszyła, spotykając go ponownie. Jak mówiłam, w innych okolicznościach. Ale z pewnością nie tu i nie teraz.

- Spadaj wreszcie — huknął siedzący na moim ramieniu diabełek.

Otrząsnęłam się z odrętwienia i zrobiłam kilka kroków w stronę drzwi.

- Odwróć się, ty przygłupie - syknął diabełek. Miał świętą rację. Leon zobaczy tylko moje plecy znikające w drzwiach, jeśli w ogóle cokolwiek spostrzeże. A z tyłu z pewnością mnie nie rozpozna.

- Pani Roser! Dokąd to się pani wybiera?

Nie odpowiedziałam. Ostatecznie wcale nie byłam panią Roser.

Uczyniłam tylko znak ręką, który - miałam nadzieję - przedsiębiorca pogrzebowy zinterpretuje jako „Muszę szybko pójść do toalety”. Będąc już prawie w drzwiach, usłyszałam głos Leona.

- Carolin? - zapytał z niedowierzaniem.

- Rusz się! - syknął diabełek, gdy mimowolnie się zatrzymałam.

-Ależ nie, to jest pani Beate Roser - usłyszałam przedsiębiorcę pogrzebowego. Byłam już w foyer, gdzie przyspieszyłam kroku i zaczęłam biec. Błyskawicznie otworzyłam drzwi wejściowe i jednym skokiem pokonałam schody.

- Carolin! - Za plecami usłyszałam wołanie Leona. Najwidoczniej nie uwierzył, że nazywam się Beate Roser.

Biegłam jak szalona, nie rozglądając się. Ponownie znalazłam się na Hauptstraße, gdzie pognałam dalej chodnikiem, przeskakując przez jakiegoś jamnika i niemal tratując pewną starszą damę. Nie zatrzymałam się ani razu, by

spojrzeć za siebie. Pędziłam niczym Franka Potente w *Biegnij, Lola, biegnij*. Niemalże bez tchu dobiegłam wreszcie do kamienicy, w której mieścił się gabinet pani Karciano-domskiej-Kuracjusz i wpadłam do klatki schodowej.

Pani Karcianodomska-Kuracjusz akurat wkładała płaszcz, owijając przy tym szal wokół szyi, tak by wyglądał jak najbardziej ozdobnie.

— Pani Schütz, czyżby pani czegoś zapomniała?

— Eeeehmmm, tak — wydyszałam. *Potrzebuję pilnie specjalnej sesji terapeutycznej. Ale jeśli to możliwe, u dobrego psychoterapeuty, a nie takiego, który mnie napuścił na wizytę w zakładzie pogrzebowym, gdzie się kompletnie ośmieszyłam i nieźle skompromitowałam.* — Czy znalazła pani może mój szal?

— W jakim kolorze?

— Zielonym — odpowiedziałam, wyglądając równocześnie przez okno w drzwiach. Nikogo nie zauważyłam.

Tymczasem skora do pomocy pani Karcianodomska--Kuracjusz przegrzebywała swoją garderobę.

— Nie. Niestety, proszę pani. Nie znalazłam żadnego zielonego szala. Przykro mi. A może zgubiła go pani gdzie indziej?

— Tak — przyznałam. — To możliwe. Przepraszam za kłopot.

Teraz wyszłam na kompletnie porypaną. Co najmniej we własnych oczach. Jeśli ktoś miał co do tego wątpliwości, czy rzeczywiście potrzebna mi jest psychoterapia, widząc, co wyprawiam, całkowicie by się ich pozbył. Do aniołkowato-diabełkowatej schizofrenii doszła jeszcze mania prześladowcza. I ponadto kleptomania, gdyż zwędziłam mazak.

Stojąc przed drzwiami wejściowymi do kamienicy, dokładnie rozejrzałam się na wszystkie strony. Ani śladu Leona jak okiem sięgnąć. Pewnie, że nie. Przecież nie go-

niłby za mną przez pół miasta. To zresztą zupełnie byłoby do niego niepodobne. Był zbyt rozsądny. Zapewne zdołał uwierzyć, że miał do czynienia z fatamorganą. Zapewne przedsiębiorca pogrzebowy wyjaśnił mu, z kim naprawdę miał do czynienia: z Beate Roset, organistką kościelną. Niestety, niepunktualną. Poza tym nie można powiedzieć o niej nic złego. Może z wyjątkiem tego, że starając się o pracę, zwała w samym środku rozmowy kwalifikacyjnej. No tak, to sprawi, że pani Roser nie zostanie zatrudniona, gdyż zakład pogrzebowy Hellmanna słynie ze swojej klasy i ekskluzywności daleko poza granicami miasta.

Jakkolwiek by było: udało mi się ozdobić plakat decydującą wskazówką, z czego byłam piekielnie zadowolona. Szkoda tylko, że nie zobaczę ich reakcji, gdy odkryją mój dopisek: *Oer-Erkenschwick* w jednym rzędzie z najszlachetniejszymi i najszacowniejszymi metropoliami tego świata.

Człapiąc w deszczu, ponownie dobrnęłam do Hauptstraße, gdzie wykonałam zwrot i skręciłam w równoległą ulicę. Lepiej nie ryzykować. Jadący samochodem Leon mógł mnie zauważyć, czego oboje chcieliśmy uniknąć. Krążąc dziwnie rozbawiona najróżniejszymi, dość ryzykownymi opłótkami, dotarłam wreszcie do osiedla insektów, gdzie odkryłam dwie nowe nazwy ulic, ostatecznie utwierdzając się w przekonaniu, że urbaniści tworzący plan przestrzenny miasta przy nazywaniu ulic musieli być pijani w sztok. Zastanawiałam się, któż chciałby mieszkać na ulicy *Mrzy-ka Wędrownego Dziewannowca* albo - jeszcze lepiej! - *Za-jadka Domowego!* Zachichotałam, po czym zrobiłam komórką zdjęcia tabliczek z tymi porąbanymi nazwami. Ale zaraz je usunęłam, uświadamiając sobie, że już nie będę mogła pokazać ich Karłowi. Gdyż Karl nie żył.

I jutro zostanie pochowany po raz drugi. Jutro upłynie sześć tygodni od jego śmierci. Jutro minie niewyobrażalnych sześć tygodni mojego życia bez niego.

Natychmiast zaczęłam płakać. Po twarzy spływały mi łzy pomieszane z kroplami deszczu, co sprawiło, że mój wzrok zamglił się na tyle, że nie byłam już w stanie odczytywać dalszych szyldów z nazwami ulic, że nie wspomnę o śmianiu się z nich. Ponadto dawno już zapadł zmrok i zrobiło się piekielnie ciemno - typowy wilgotny, ponury, zimny listopadowy wieczór. W miejscu, w którym się znajdowałam, z dala od sklepów, ciemności rozpraszały jedynie oświetlone okna domów mieszkalnych, udekorowanych już świątecznie gwiazdkami, świecznikami i aniołami. Za każdą szybą można było znaleźć szczęśliwą parę bądź szczęśliwą rodzinę, a co najmniej szczęśliwą kobietę z kotem. Tylko ja byłam zupełnie samotna na tym świecie.

I dokładnie w chwili, gdy myśl ta przyszła mi do głowy i gdy byłam bliska załamania nerwowego, potknęłam się, omal się nie przewracając, po czym wdepnęłam prosto w psią kupę.

Natychmiast przestałam płakać i zaczęłam przeklinać. Wówczas w swoim nieszczęściu uświadomiłam sobie nagle, że to wcale nie ja byłam obłąkana, lecz życie, któremu pilnie potrzebna była stosowna terapia. Wytarłam buty w trawę na tyle, na ile było to możliwe. Ale zdaje się, że kupsko uwalił pies wielkości wielbłąda, gdyż pobrudziłam nim całe buty, które teraz potwornie śmierdziały. Wreszcie dałam za wygraną i wściekła poszłam dalej. No dobra! W takim razie kupię sobie zaraz parę nowych butów. Santiniego. Najdroższą, jaką mają.

W drodze celowo włąziłam we wszystkie kałuże, zupełnie jak mały krnąbrny bachor. *Tak, przez ciebie, życie, na dodatek mam mokre stopy.*

Zaś nogawki spodni są już kompletnie przemoczone, zupełnie jakbym wpadła do stawu. Czy nabawię się w związku z tym zapalenia płuc?

W porównaniu z innymi uliczkami na Kruszycy Zło-tawki było jasno jak w dzień. Okna wystawowe prześci-

gały się w jasności oświetlenia, a nad ulicą były rozpięte sznury żarówek z wielkimi gwiazdami pośrodku, kołyszącymi się na wietrze. Na wystawie Bucików&Klepcików stało ogromne świąteczne drzewko, udekorowane czółenkami w kolorze ostrej czerwieni oraz świecącymi na biało lampkami choinkowymi. Wyglądało to super, nawet z drugiej strony ulicy. W środku będzie zapewne ciepło i przytulnie. Będę mogła ściągnąć przemoczone buty, rozsiąść się wygodnie na sofie i napić cappuccino. Zaś Mimi wraz z przyjaciółkami pocieszą mnie i wesprą moralnie. I z pewnością uśmieją się, jak im opowiem historię spapranego plakatu. Zamierzałam właśnie przejść na drugą stronę ulicy, gdy drzwi się otworzyły i ukazał się w nich Leon.

Nie wierzyłam własnym oczom!

Kusiło mnie, by zacisnąć dłonie w pięści, dramatycznym gestem podnieść ręce ku niebu i zacząć mu wygrażać, krzycząc przy tym: „Dlaczego właśnie ja? Dlaczego tutaj? Dlaczego?“. Lecz w tym momencie Leon mnie zauważył. Zapewne przyszedł tu z mojego powodu i zapewne dopiero teraz. Akurat, mania prześladowcza! Przeróżające było jedynie to, że najwidoczniej doskonale wiedział, gdzie mnie szukać. Ale równie prawdopodobne było, że wiedział, iż Mimi otworzyła sklep z butami, gdyż gazety sporo o nim pisały. I całkiem słusznie doszedł do wniosku, że znajdzie mnie gdzieś w pobliżu siostry. Zresztą gdzie miałam się podziąć? Łaska boska, że po drodze zatrzymało mnie psie kupsko. W przeciwnym razie wpadłabym wprost w jego ramiona.

Samochód zaparkowany na pasach dla pieszych na zakazie postoju najwidoczniej należał do Leona, gdyż skierował kluczyk ze zdalnym otwieraniem wprost na niego. Niestety, podniósł przy tym głowę i zobaczył mnie dokładnie naprzeciw siebie. Przez sekundę patrzyliśmy sobie prosto w oczy przez dzielącą nas ulicę, którą sunęły samochody. Mój instynkt ucieczki ponownie się uaktywnił. Odwróciłam się na pięcie i uciekłam. Prosto do apteki.

- Bardzo proszę, potrzebuję pomocy! - wydyszałam, ocierając wodę z twarzy.

Gapiły się na mnie cztery pary oczu, należące do trójki klientów, wszystkich w wieku emerytalnym, oraz młodej kobiety o ciemnych lokach, stojącej po drugiej stronie lady. Mojego chętnego do pomocy aptekarza nigdzie nie było widać. Psiakrew!

- Proszę stanąć na końcu kolejki, młoda damo -zwrócił się do mnie starszy pan. - Wszyscy byliśmy tu przed panią.

-Ale ja potrzebuję, pilnie jest mi potrzebne... tylne wyjście - zwróciłam się błagalnym tonem do kobiety w białym kitlu. - Czy macie tu wyjście awaryjne?

- Hmm. Przykro mi, ale nie wolno mi wpuszczać nikogo za ladę. Takie są przepisy. - Z pewnością wzięła mnie za narkomankę, która chciała dobrać się na zapleczu do morfiny. - Justus, czy mógłbyś tu przyjść? - zawołała przez ramię.

- Teraz to już skończona bezczelność - obruszył się starszy pan, przy czym nie było wiadomo, co dokładnie ma na myśli.

- Z pewnością to jakiś nagły przypadek - powiedziała współczująco stojąca obok niego kobieta. - Mogę poczekać. Nie sprawi mi to specjalnej różnicy. Proszę spojrzeć, ta dziewczyna jest kompletnie przemoczona. Również druga klientka o imponującej postawie z włosami w kolorze bzu wzięła moją stronę.

- Z powodu takich jak pan my, renciści, mamy złą opinię - zwróciła się do gderliwego mężczyzny. Mnie zaś zapytała: - Przed kim musi się pani skryć, moje dziecko?

- Przed... przed moim byłym chłopakiem. - Gdy to mówiłam, za moimi plecami otworzyły się drzwi i rzeczony były chłopak wszedł do apteki.

*Bogactwo świata zależy zawsze od bogactwa umysłu,
który go obserwuje. Dobry odnajduje w nim swój raj,
zły zaś swoje piekło.*

Heinrich Heine

Witaj w moim piekle.

Od czasu do czasu, w momentach przyływu masochizmu, wyobrażałam sobie ponowne spotkanie z Leonem. Zdawałam sobie doskonale sprawę, że rachunek między nami ciągle jeszcze nie został wyrównany. Jego w stosunku do mnie, gdyż tej samej nocy, kiedy zarządził przerwę w naszym związku, poszłam do łóżka z jego ojcem. Natomiast mój względem niego, ponieważ... - no cóż, generalnie rzecz biorąc, nie był zbyt miły w stosunku do mnie. Czyż nie? Mam na myśli, że dał mi odczuć, iż nie jestem dostatecznie dobra dla niego. Ponadto nazwał mnie „dziwną” i „chwiejną”, a do tego jeszcze notoryczną kłamczuchą. I całkiem oczywiste było to, że jego siostry oraz matka znaczyły dla niego dużo więcej niż ja. A do tego wszystkiego miał jeszcze... W porządku, przyznaję, w porównaniu z tym, co sama zrobiłam, wszystko inne było nic nieznaczącym drobiazgiem. Nie tylko przespałam się z jego ojcem, ale na dodatek jeszcze poślubiłam

go, a następnie zostałam jego jedyną spadkobierczynią. Sądzę, że tylko nieliczni mężczyźni wspaniałomyślnie przeszliby nad tym do porządku. Przez ostatnich pięć lat myślałam o przeproszeniu Leona za to, co się stało. Wielokrotnie zaczynałam pisać do niego list. Ale są takie rzeczy, na które tak naprawdę nie ma usprawiedliwienia i za które nie da się przeprosić. I wszystko, co mogłabym napisać, prawdopodobnie zostałyby przyjęte przez Leona jako kolejne szyderstwo. *Przykro mi, że ni stad, ni zowąd zakochałam się w twoim ojcu. Przykro mi, że teraz już mogę uczestniczyć w rozmowie na temat wielkiej miłości i mam w tej sprawie coś do powiedzenia. Przykro mi, że jestem szczęśliwa. Przykro mi, że wreszcie znalazłam kogoś, kto kocha mnie taką, jaka jestem.*

W mojej idealizującej wyobraźni nasze ponowne spotkanie przebiegało mniej więcej zgodnie z następującym scenariuszem: Wariant 1 - Leon popadł w kłopoty (w wyniku sporu sądowego znalazł się na celowniku rosyjskiej mafii i zmuszony był uciekać) i gdy wszyscy ze strachu odsunęli się od niego, wspólnie z Karlem przyszliśmy mu bezinteresownie z pomocą (dzięki kontaktom Karla i mojemu geniuszowi) i wyciągnęliśmy go z opresji. Po czym Leon z wdzięcznością rzucił nam się w ramiona, mówiąc, że teraz wszystko już zostało wybaczone i zapomniane. Wariant 2 — Leon jest śmiertelnie chory i potrzebuje nerki. Karl chce mu natychmiast oddać swoją, ale niestety nie może być dawcą ze względu na niezgodne genotypy. W związku z tym oddaję mu swoją nerkę, ratując mu tym samym życie. W sali pooperacyjnej oboje leżymy obok siebie i Leon, patrząc na mnie, mówi: „Wybacz mi, proszę, że uważałem cię za niemoralną zdzirę”.

Wymyśliłam jeszcze kilka innych wariantów, ale w żadnym z nich mokre włosy nie kleiły mi się aż tak niekorzystnie do głowy. W żadnym wariacie nie byłam

totalnie zapłakana. I ma się rozumieć, nigdy nie miałam butów dokumentnie oblepionych psim gównem. Taak, życie to nie koncert życzeń, jak nieustannie powtarzał mój ojciec.

Natomiast Leon nie mógł wyglądać lepiej. Na doskonale leżący garnitur założył wytworny, czarny zimowy płaszcz. Deszcz też jakoś nie zaszkodził jego fryzurze. Wyglądał tak dobitnie, że stojąca obok mnie rencistka szepnęła mi do ucha:

- Ależ, moja droga, przecież nie ucieka się przed takim mężczyzną. Zresztą na ucieczkę było i tak za późno.

- A zatem to naprawdę ty - stwierdził Leon, lustrując mnie badawczo od stóp do głowy. Następnie obrócił się w stronę gapiącej się rencistki, ładnej młodej dziewczyny w białym kitlu za ladą i pozdrowił je uprzejmie: - Dobry wieczór.

To wcale nie żart: wszyscy odpowiedzieli na jego powitanie. Naturalnie z wyjątkiem mnie.

- Siedemnaście pięćdziesiąt. - Kobieta w białym kitlu zwróciła się do gderliwego emeryta, na co mężczyzna sięgnął do portmonetki, z której wysupłał odpowiednią ilość monet, kładąc je na ladzie.

Leon zrobił krok w moim kierunku. Musiałam bardzo nad sobą zapanować, by automatycznie nie cofnąć się o krok.

- Rozpoznałem cię w zakładzie pogrzebowym po zimowym płaszczu.

Ciągle jeszcze nosisz ten sam stary łach. Dlaczego uciekłaś?

Właśnie. Właściwie dlaczego? Chrząknęłam nerwowo.

- Bo sądziłam, że nie jest to odpowiednie miejsce na spotkanie.

Leon skinął głową.

- A jakie byłoby właściwe? Myślałem, że być może znajdę cię u siostry i że miałabyś czas na cappuccino albo coś w tym rodzaju. Lecz gdy mnie zobaczyłaś, od razu dałaś drapak.

- Właściwie to wcale cię nie zauważyłam. Po prostu pilnie musiałam coś załatwić w aptece.

Leon uniósł brwi.

- Zawsze ta sama notoryczna kłamczucha, Carolin. To jakiś rodzaj choroby. Nawet próbowałem się dowiedzieć jakiej i z czystej ciekawości trochę w tym pogrzebałem. Lecz teraz jakoś jej nazwa wyleciała mi z głowy.

- Pseudologia - przypomniałam mu.

- Tak, kto jak kto, ale ty z pewnością wiesz najlepiej — zauważył.

- Komu z państwa mogę służyć pomocą? - Obok kobiety w białym kitlu pojawił się mój aptekarz. Gdzież on się wcześniej podziewał, jak był mi potrzebny?

-Ach, nie — powiedział emeryt, chowając na powrót pieniądze do portmonetki. - Teraz tak mnie pan skołował, że muszę zacząć od początku. Dwa, trzy, szy piedadziesiąt, szy sieddziesiąt, cztery sieddziesiąt...

-To , proszę. — Kobieta o fioletowych włosach podała aptekarzowi receptę. - Ale nie potrzebuje się pan spieszyć. Właśnie zaczyna się robić interesująco.

Aptekarz uśmiechnął się do mnie.

- Serwus mała, przekorna dziewczynko! - Następnie zmarszczył czoło. - Na miłość boską, jak ty wyglądasz? Czy to, co masz na butach, to błoto?

- To by było zbyt piękne - odpowiedziałam.

-Musiała uciekać przed byłym chłopakiem - pośpieszyła usłudźnie z wyjaśnieniem pani o fioletowych włosach. - Chciała się stąd wydostać tylnym wyjściem, ale pana pracownica jej na to nie pozwoliła. A teraz siedzi w pułapce.

- Ale jak do tej pory ten pan zachowuje się nienagannie - stwierdziła druga starsza kobieta. - Powiedział tylko, że jest psychopatką.

- Nie psychopatką, lecz *kleptomanką* — sprostował emeryt. - Od razu tak sobie pomyślałem, gdy tylko weszła. Jeśli chcecie wiedzieć, wygląda na bezdomną. Och, cholera, znowu żeście mnie skołowali. A więc raz jeszcze od początku. Raz, trzy, cztery, pięsiąt cztery...

Leon uśmiechnął się wyniośle, krzyżując ręce na piersi.

- Czy jest pan byłym chłopakiem Carolin? - zapytał aptekarz.

Zaraz, skąd znał moje imię?

Wydawało się, że Leonowi przyszło na myśl to samo pytanie.

- Znacie się?

- Istotnie - potwiedział aptekacz. *Istotnie sprzedałem jej leki psychotropowe i zaprowadziłem do domu, gdy pijana w sztok leżała na ulicy.* — A ponieważ widziałem, do czego pan doprowadził, proponowałbym, żeby pan teraz sobie poszedł i zostawił ją w spokoju. Och. To było naprawdę *urocze*. Sądził, że Leon złamał mi serce i że z jego powodu muszę łykać antydepre-santy.

- Co proszę? - Leon zmarszczył czoło. - Chętnie bym się dowiedział, co ona panu o mnie naopowiadała. Albo nie. Lepiej nie. Carolin, napijesz się ze mną cappuccino czy nie?

- Nie, nie napije się - powiedział zdecydowanie aptekarz. - Ona nie ma najmniejszego zamiaru odgrzewać starych związków. Nie ma też ochoty wysłuchiwać hymnów pochwalnych na cześć pańskiej narzeczonej. I choć przez pana od dłuższego czasu nie może dojść do siebie, nie powinien pan sobie niczego wyobrażać.

Hę? Że co?

- Skąd pan wie, że jestem zaręczony? - zdziwił się Leon.

- Pierścionek - wyjaśnił aptekarz, wskazując na rękę Leona. - Platyna.

Minimum czterdzieści gramów. Rzadko widuje się takie pierścionki, które krzyczałyby równie głośno, jak ten: *Halo, popatrzcie, jestem bogaty i za-rę-czo-ny*

Również spojrzałam na dłoń Leona. Gruby, srebrny pierścień błyszczał na serdecznym palcu.

- Trochę za bardzo nowobogacki - zauważyła kobieta o fioletowych włosach.

- Co za dziwny zapach — odezwała się druga kobieta. Emeryt ponownie przeliczał pieniądze.

- Przy czym naturalnie pojawia się pytanie, o ile jeszcze bardziej rzucającą się w oczy chce się mieć obrączkę

- powiedział aptekarz.

-To naprawdę zbyt duża błazenada jak dla mnie.

- Leon potrząsnął głową. Po czym sięgnął do kieszeni płaszcza, skąd wyciągnął wizytówkę i położył ją na ladzie.

- Carolin, jeśli byłabyś zainteresowana rozmową w stosownym tonie, zadzwoń do mnie. Sądzę, że jest parę kwestii, które możemy sobie wyjaśnić, po to tylko, by zaoszczędzić pracy adwokatom i uniknąć procesu sądowego.

- Miałabym czas jutro o czwartej - oznajmiłam. -Lecz ty nie możesz, gdyż będziesz zajęty chowaniem swojego ukochanego nad wszystko, wspaniałego ojca, który wskutek niezbadanych wyroków boskich za wcześniej został wyrwany spośród was.

- Tak, istotnie, jutro popołudniu jestem zajęty — potwierdził. - Choć ta uroczystość nie była moim pomysłem. Jeśli o mnie chodzi, to w duchu pożegnałem się z ojcem już bardzo dawno temu.

- To nie ma żadnego znaczenia - odparłam, czując napływające mi do oczu łzy.

- A zatem, jeśli nie ma pan zamiaru niczego kupować, proszę pana o udanie się w swoją stronę - powiedział aptekarz.

Leon spojrział na niego z konsternacją.

- Ach, *nie*\ Czyżby był pan zainteresowany Carolin? Boże przenajświętszy, przecież ona od zaledwie sześciu tygodni jest wdową. Aptekarz sprawiał wrażenie przerażonego.

- No tak, ale to nie musi nic oznaczać — dodał Leon. — Carolin zawsze należała do kobiet szybko podejmujących decyzję. Po naszej pierwszej małej sprzeczce potrzebowała zaledwie trzech godzin na znalezienie sobie nowego faceta. A zatem życzę panu wszystkiego najlepszego. - Znowu ten złośliwy uśmiech. — Mam nadzieję, że gustuje pan w notorycznych kłamstwach i autystycznych zaburzeniach osobowości. Skończony dupek. I takiej kreaturze byłam gotowa dać nerkę!

— Tak - przyznał aptekarz zupełnie nieporuszony -bardzo mi to odpowiada.

— W takim razie wszystko jest w najlepszym porządku - zauważył Leon, otwierając drzwi apteki. - I jeszcze mała rada, od mężczyzny dla mężczyzny: niech pan nigdy nie przedstawia jej ojcu. Ma słabość do szpakowatych skroni. Aha, no i do widzenia.

— Do widzenia! — wymamrotali wszyscy renciści zgodnym chórem.

Drzwi apteki zamknęły się i zjawa zniknęła. Złapałam się za głowę. Chętnie osunęłabym się na krzesło, ale niestety nie było ani jednego.

- Siedemnaście pięćsiąt! - wrzasnął tryumfalnie emeryt.

— Naprawdę nic państwo nie czujecie? — ponownie zapytała starsza pani.

Ależ tak. Czulo się, i to jak. Psie kupsko przyklejone do moich butów śmierdziało niemiłosiernie. Z drugiej strony ostry fetor sprawił, że nie zemdlalam.

Aptekarz wyszedł z za kontuaru i podsunął mi krzesło.

— Wyglądasz, jakbyś zaraz miała stracić przytomność — zauważył.

— Mam psią kupę na butach - powiedziałam. - Przykro mi.

-To przecież nic takiego - odparł aptekarz.

— Jestem zupełnie innego zdania - powiedziała jedna z kobiet.

Ostrożnie osunęłam się na krzesło i zamknęłam oczy.

— Skąd pan wie, jak się nazywam?

— Carolin Schütz, lat dwadzieścia sześć, zamieszkała na ulicy Szerszeni.

- Usłyszałam śmiech aptekarza. (Tak! Tego dało się słuchać!) - Było na recepcie. Przykro mi, że wzięłam cię za siedemnastolatkę. Ale właściwie to komplement.

— No jasne!

— Jednego tylko nie rozumiem — zabrała głos pani o fioletowych włosach. - Jeśli jest pani od sześciu tygodni wdową, to jak to możliwe, że ten tu jest pani byłym chłopakiem?

— Och, ależ z pani gaska! Przecież to było jeszcze przed jej ślubem - wyjaśniła druga kobieta. - Ale nie zrozumiałam tego o ojcu i szpakowatych skroniach.

— Janino? Czy mogłaby pani mnie zastąpić i obsłużyć panią Kaminsky? Bardzo panią proszę. - Aptekarz zwrócił się do młodej kobiety. - Tu jest recepta.

Po czym zwrócił się do mnie:

— Czy mam zadzwonić, żeby ktoś po ciebie przyszedł?

— Nie, dziękuję. Moja siostra jest naprzeciwno w sklepie z butami. Dotrę tam sama bez problemu.

- Lepiej będzie, jeśli cię odprowadzę. Możesz wstać?

- Naturalnie.

Poczęłam w gównianych butach w stronę drzwi, mając wrażenie, jakbym miała co najmniej tyle lat, co starsza pani o fioletowych włosach. Aptekarz wziął mnie pod ramię.

— Zaraz wracam, Janino — rzucił na odchodnym. Na zewnątrz deszcz kapał nam na twarze.

- Nie jestem ani notoryczną kłamczuchą, ani nie mam żadnych autystycznych zaburzeń osobowości. — Starłam się sprostować informacje Leona. — Przyznaję, że czasami liczę różne rzeczy. I potrafię znakomicie wykonywać w pamięci różne działania matematyczne. I mówić po polsku, pomimo że ani teraz nie byłam w Polsce. Ale to nie ma wcale nic wspólnego z autyzmem. - Szliśmy po pasach w stronę sklepu Mimi. — I nie jestem nawet tak naprawdę obłąkana. Prawdą jest, że mam obecnie zły okres. Ale dużo ludzi popada w depresję po śmierci ukochanej osoby. Znam też sporo takich, co i bez takiego nieszczęścia chodzą na terapię. Co wcale nie oznacza, że wszyscy są obłąkani.

— Bez obaw, wcale nie uważam cię za wariatkę.

— Naprawdę?

- Nie. Nie jesteś bardziej obłąkana niż inni.

— Właśnie. Zgadza się. A jeśli chodzi o kłamstwa, to kłamię znacznie rzadziej niż inni. Szczerze powiedziawszy, wszyscy ludzie kłamią od czasu do czasu. Większość codziennie. Tak naprawdę kłamię się bardzo dużo. O wiele więcej, niżby się mogło sądzić.

— Tak — przyznał. — To niestety prawda. Jesteśmy na miejscu. Mam wejść z tobą do środka?

- Nie - zaprzeczyłam, wyskakując z butów. — Stąd dam już radę sama. — Spojrzałam na niego. - Dziękuję. Ponownie. Pan jest naprawdę zawsze taki uczynny.

- Wiem - odpowiedział z uśmiechem. - To taki paskudny kompleks wolontariusza będący przypadłością w naszej rodzinie.
 - Znam dobrą psychoterapeutkę. Choć prawdę mówiąc, właściwie jest koszmarna.
 - Hejże, masz dołeczki - zauważył.
 - O, tak. Tylko tak rzadko ich używam.
 - Jaka szkoda. - Aptekarz podał mi wizytówkę Leona. - Masz. Tak na wszelki wypadek, gdybyś naprawdę chciała z nim porozmawiać.
 - A o czym mielibyśmy ze sobą rozmawiać? Był moim pierwszym mężczyzną, ale wyszłam za jego ojca. Uważał to za jedno wielkie gówno. I w pewnym sensie mogę go nawet zrozumieć.
 - Taaak - powiedział. - Tak też to rozumiałem.
 - O czym chciałby pan ze mną rozmawiać, będąc na jego miejscu? Aptekarz spojrzał na mnie, po czym skierował wzrok na drugą stronę ulicy, na swoją aptekę.
 - Potrzebny ci porządny płaszcz. I to jak najszybciej - zauważył. - Z kapturem.
 - Pytam poważnie. O czym chce ze mną rozmawiać? I czy naprawdę jest zaręczony? Chcę powiedzieć, że cieszę się z tego powodu. Szczetne. Ale równie dobrze może to być jakikolwiek pierścionek. Prawda?
 - Nie - zaprzeczył. - Zawsze poznaję pierścionki zaręczynowe niemal na pierwszy rzut oka. Poza tym nosił go na lewej ręce, na serdecznym palcu. Tak. A teraz będąc na twoim miejscu, jak najszybciej zdjąłbym te mokre ciuchy! W przeciwnym razie możesz śmiertelnie zachorować.
 - Dziękuję — powiedziałam raz jeszcze.
- Aptekarz był już w połowie przejścia dla pieszych. Odwrócił się i pomachał do mnie.
- Do zobaczenia, mała krnąbrna dziewczynko.

Inteligencja to zdolność akceptowania własnego otoczenia.

William Faulkner

Choć kupiłam sobie nowe buty i choć punktualnie zażyłam tabletki, następnego dnia na powrót wpadłam w okropną czarną dziurę. W koszmarną dziurę *Karlnie-żyje*. Nie byłam w stanie podnieść się z łóżka. Nie byłam w stanie nic jeść. Nie chciałam mieć nic do czynienia z tym gównianym spadkiem. Nawet małe jaguarzątka (jakie jaguarzątka?) przestały mieć dla mnie jakiegokolwiek znaczenie. W obecnym stanie były mi obojętne. Nie chciało mi się dalej żyć.

Pani Karcianodomska-Kuracjusz, do której zadzwoniła spanikowana Mimi, by ją spytać, co ma w tej sytuacji ze mną zrobić, powiedziała, że powinnam przyjść na dodatkową ekstrakurcję terapeutyczną. Nie chciałam nawet o tym słyszeć. Jednakże Mimi zmusiła mnie do pójścia groźbą, że zadzwoni do mamy. A mama ze zmartwienia zapewne straciłaby głowę, po czym wsiadła w pierwszy pociąg. Niewykluczone też, że w tej sytuacji postawiła-

by na swoim i zabrała mnie do Hanoweru, a tam dzień w dzień Piła Tarczowa nieproszona wbijałaby mi do głowy swoje głupie życiowe mądrości (Czy wiesz, dlaczego jesteś smutna? Bo nie masz dzieci! Jedynie dzieci nadają sens życiu. Popatrz tylko na śmiejące się oczka Eliane. Nie tobi ci się pod wpływem tego spojrzenia ciepło na sercu?). W tej sytuacji poddałam się i powlokłam na nadspodziewaną nagłą sesję terapeutyczną. Pani Karcianodomska-Kuracjusz sprawiała wrażenie, jakby zupełnie nie zdawała sobie sprawy z powagi sytuacji. Najpierw zwróciła uwagę na moje nowe buty i zapytała, skąd je mam. Musiałam podać jej nazwę sklepu, a następnie zapisać na kartce adres Bucików&Klepcików. Była bardzo podekscytowana i koniecznie chciała wiedzieć, czy prowadzą również markę Manolo Blahnik.

- A co to takiego? - zapytałam

Pani Karcianodomska-Kuracjusz spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

- Jak to, nie zna pani wyrobów Manolo Blahnika? — Potrząsając głową, zrobiła parę notatek.

Skończywszy zapiski, oznajmiła, że liczyła się z tym, że będę się czuła źle, i że to całkiem normalne. Nie wierzyłam w ani jedno jej słowo.

Patrzyłam ponuro, nieruchomym wzrokiem w dal do momentu, aż pani Karcianodomska-Kuracjusz zaproponowała, żebym wyraziła swoje uczucia w formie obrazu.

Odpowiedziałam, że nie mam na to najmniejszej ochoty, na co pani Karcianodomska-Kuracjusz westchnęła.

- A zatem na co miałaby pani ochotę? - zapytała, pochylając się gorliwie do przodu, jakby była gotowa spełnić każde moje życzenie.

Długo się zastanawiałam, zanim zdecydowałam się na odpowiedź.

- Na nic — oznajmiłam.

- Bardzo dobrze - ucieszyła się najgorsza psychoterapeutka na świecie i skinęła głową. - Właśnie tego się spodziewałam. Dokładnie!

Nagle ogarnęła mnie chęć obdarcia jej ze skóry. (Czego naturalnie nie zrobiłam).

Przeważnie panowało między nami milczenie przerywane od czasu do czasu przez panią Karcianodomską-Kuracjusz stwierdzeniami:

- Czasami dobrze jest pomilczeć. Albo:
- Mowa jest srebrem, a milczenie złotem. To stare porzekadło jest niezwykle aktualne.

Albo:

- Wcale nie powinna pani sądzić, że jest pani głupia. Milczenie może być bardzo uzdrawiające.

Boże, co za idiotka z tej baby! Gdy nasze spotkanie miało się ku końcowi, uśmiechnęła się radośnie od ucha do ucha, mówiąc:

- Dam pani zadanie domowe, które proszę koniecznie odrobić przed naszym następnym spotkaniem.

Chciałam powiedzieć, że nie mam najmniejszej ochoty robić czegokolwiek, ale ona ciągnęła dalej:

- Musi pani pójść do fryzjera, obciąć włosy i zafundować sobie naprawdę szykowną fryzurę.

Bardziej niż kiedykolwiek dotychczas byłam przekonana, że pani Karcianodomska-Kuracjusz nie jest prawdziwą psychoterapeutką, lecz jedynie absolwentką weekendowego seminarium na temat doradztwa w zakresie stylu. Być może był to nawet przyspieszony kurs prowadzony metodą korespondencyjną.

- Razem z pakietem regenerującym. Koniecznie pakiet regenerujący. Gdy pojawi się tu pani następnym razem, chcę zobaczyć pani lśniące włosy. I proszę nie zapomnieć zażywać tabletek.

Nie zapomniałam. Brałam tabletki. Chodziłam regularnie na terapię dla idiotów. Poszłam nawet do fryzjera. A mimo to nadal tkwiłam w czarnej dziurze. Dni mijały szare i monotonne. Przez wiele z nich moim największym osiągnięciem było zwleczenie się z łóżka i umycie zębów. Gdzieś' mniej więcej tydzień po moim pamiętnym spotkaniu z Leonem w aptece, zachorowałam. Zaczęło się całkiem niewinnie od kataru i bólu gardła. Następnie dołączyły do tego wstrętne, uporczywy kaszel i gorączka. Na tydzień przed Bożym Narodzeniem lekarz domowy Ron-niego i Mimi stwierdził przechodzone zapalenie oskrzeli i zapisał mi antybiotyk. (W ten sposób przynajmniej poznał mnie osobiście). Przez kilka dni czułam się lepiej, po czym zapalenie oskrzeli wróciło nagle ze zdwojoną siłą. Poczulałam się znacznie gorzej i miałam wyraźnie silniejsze bóle niż uprzednio. A jeśli chodzi o flegmę, którą wypluwałam podczas każdego ataku kaszlu, to miała ona tak niezdrowy, zielony kolor, że postanowiłam nikomu nic nie mówić. Wigilię spędziłam w łóżku z 39,5-stopniową gorączką. A gdy w drugi dzień świąt mój stan w dalszym ciągu pozostawał zły, zaalarmowany przez Ronniego lekarz skierował mnie do szpitala. Początkowo nieco się przed tym wzbraniałam, gdyż obawiałam się, że w momencie załamania nastroju przeniosą mnie na zamknięty oddział psychiatryczny, zanim się spostrzeżę. Lecz Mimi zapewniła mnie, że z pewnością nigdy tego nie zrobią. Gorączka naprawdę bardzo mnie wycieńczyła, do tego stopnia, że godzinę później leżałam w trzyosobowym pokoju z umywalką o ścianach w kolorze siuszków. Numer 311.

I choć było to Boże Narodzenie, oba łóżka, z prawej i z lewej, były zajęte przez mniej więcej stuletnie, rzeźące damy. Jedna miała zapalenie płuc i cewnik. Drugiej natomiast nie postawiono żadnej konkretnej diagnozy.

Podej-

rzewałam, że rodzina chciała mieć ją na święta z głowy, gdyż posiadała parę cech sprawiających, że współżycie z nią pod jednym dachem z pewnością nie było łatwe. Między innymi w środku nocy wydawała przerażające wrzaski, zaś w dzień powtarzała ze sto razy w ciągu godziny: „Ach, ach, ach, tak”.

Pierwszego dnia i pierwszej nocy byłam zbyt chora, by uznać szpitalne życie za okropne. Ale potem podawane w kroplówkach antybiotyki odniosły skutek i zaczęłam gorzko żałować, że nie mam prywatnego ubezpieczenia zdrowotnego.

Kobieta z zapaleniem płuc niemal bez przerwy miała gości. Przychodziła rodzina, a syn i córka przyprowadzili mniej więcej pięcioletnią prawnuczkę o imieniu Scholiene. Na końcu języka miałam pytanie, jak się literuje to dziwaczne imię, ale przypomniałam sobie, że zupełnie niedawno natknęłam się w rubryce narodzin na „Moniek Eilien” i w efekcie dałam sobie spokój. Scholiene należała do tych dzieci, których obecności niemal się nie zauważa. Przez cały czas ssła lizaki, popijając lemoniadą z butelki. A od dziadków, to znaczy dzieci mojej stuletniej sąsiadki, uczyła się najbardziej wyszukanej niemczyzny.

-Scholiene, zrób bidnej babci aj, aj. Taka przecież choreńka.

- Scholiene, pokaż no babci swojego nowego Game Boya. Popatrz no, babciu, potrafi nawet internetować. Mój absolutny faworyt to:

-Chodź no, Scholiene, teraz nafutrujemy bidną babcię papu. Nije, nije widylcem, toż to zupa.

-Ach, ach, ach, tak - zareagowała kobieta spod okna.

Chciałam czym prędzej do domu. Ale nie puszczono mnie, gdyż do zapalenia oskrzeli dołączyło zapalenie płuc i miałam co najmniej przez dziesięć (dziesięć!!!) dni do-

stawać dożylnie antybiotyki oraz przebywać w łóżku. Siostra bardzo mi współczuła. Przychodziła codziennie razem z Ronniem, przynosząc mi owoce, zaopatrując w książki, a mojego iPod'a w audiobooki oraz podnoszącą na duchu muzykę. Karmili także owocami panią ach-ach-ach-tak, która zawsze przy takiej okazji płakała ze wzruszenia, zaś prababcia Schollene dostawała winogrona i mandarynki, co stanowiło miłą odmianę w stosunku do melisany produkcji Klosterfrau, którą córka zawsze łądowała w nią za pomocą łyżki do zupy. „Cobyś to babcia wnet stała na nogach”.

Z Hanoweru przyjechali rodzice również obładowani książkami, stertami piżam i nocnych koszul, sokiem wieloowocowym słodzonym naturalnym miodem z dodatkiem żelaza oraz moją mandoliną, na którą patrzyłam ze sporą konsternacją.

- Sądziliśmy, że to cię trochę rozerwie - wyjaśniła matka, na co ojciec zauważył: - Wiesz przecież, że muzyka dobrze wpływa na duchową higienę.

- Z książkami wcale nie było tak łatwo - westchnęła mama. - W co drugiej, którą widziałam w księgarni, chodziło o młodą wdowę rozpaczającą po śmierci męża i potem znajdującą nowego towarzysza życia. To zakrawało według mnie na czystą kpinę. Ale nawet jeśli nie chodziło o żadną wdowę, to każda, dosłownie każda książka, opowiadała o miłości!

- Chciałem ci przywieźć sporo krwawych thrillerów, ale twoja matka była zdania, że w tej sytuacji tego rodzaju książki nasuną ci jedynie głupie myśli. - Ojciec pogłaskał mnie po dłoni. - Dlatego też poprosiliśmy sprzedawczynię o radę. I poleciła nam te pozycje.

-Jestemjedynekotem?

- Tak. Tu chodzi o kota, a nie o żadną miłosną historię.

- Aha, bardzo rozważnie. *Podano do stołu.*

- Książka kucharska. Nie ma mowy o żadnej miłosnej historii.

- *Bezzasadne szczęście!* Mama przytaknęła.

- To co prawda coś raczej ezoterycznego. Chodzi o to, że można być szczęśliwym nawet wówczas, gdy tkwi się w dołku i przeżywa ciężki okres. Rozumiesz?

- Tak, w sposób *bezzasadnie szczęśliwy* - Powiedziawszy to, zaczęłam czytać tekst na obwołucie. A może powinnam przestawić się na pisanie książek? Zobaczmy. Istniała przecież możliwość, że jeszcze nikt nie napisał książki o *bezzasadnym małżeństwie* albo o *bezzasadnym zdrowiu*. Z pewnością byłyby to superbestsellery.

Czwartego dnia mojego pobytu w szpitalu wszystko sobie gruntownie uporządkowałam w głowie. W ciągu nocy przemyślałam parę fundamentalnych prawd. Po pierwsze: jeśli człowiek czuje się jak zbity pies, powinien wmówić sobie, że może być jeszcze gorzej. Po drugie: Karl nie żyje i z pewnością nie zmartwychwstanie. Po trzecie: w szpitalu nikt w nocy nie śpi. Z wyjątkiem tych, którzy porwornie głośno chrapią, nie pozwalając spać innym.

Następnego ranka sięgnęłam po mandolinę. Moje sąsiadki były zachwycone (jedna zasnęła, druga zaś rozplakała się ze wzruszenia). W drzwiach naszego pokoju zgromadzili się pacjenci z kilku sąsiednich sal. Odtąd co parę godzin proszono mnie, bym coś zagrała, a na moje koncerty przybywała spora publiczność. Nawet pielęgniarki i lekarze chętnie zaglądali do pokoju 311. Szczególnie zachwyciły moich słuchaczy melancholijne rosyjskie dumki, w który dzikie konie galopowały po rozległych stepach, a Pietuszka spotykał się po kryjomu pod brzozą ze swoją ukochaną Katinką. (Bez obawy, wcale nie śpiewałam. Ograniczyłam się do solówek na mandolinie, która sama wyśpiewywała ukryte w melodii teksty).

Nie mogłam zbyt długo grać, gdyż igła wenflonu sprawiała, że ręka najpierw robiła się gorąca, po czym puchła, a następnie zaczynała boleć. Lecz głęboki sen mojej sąsiadki, w który natychmiast zapadała już przy pierwszych akordach moich muzycznych występów, w pełni wynagradzał mi wszystkie skutki uboczne. W takich momentach jej rodzina jedynie stawała w drzwiach i szeptała:

- Widzisz no, Scholiene, babcia śpi snem sprawiedliwego. W takim razie lepiej będzie, jak przyjdziemy jutro.

Siódmego dnia odwiedził mnie aptekarz. Poinformował, że jego przyjaciel leży na chirurgii i skoro już tu jest, to może przecież zajrzeć również do mnie.

Widząc go, szczerze się ucieszyłam. Co prawda przez moment żałowałam, że nie umyłam włosów, ale zaraz przypomniałam sobie, że podczas naszego ostatniego spotkania wyglądałam jeszcze gorzej. Że nie wspomnę o psim gównie przylepionym do butów.

- Skąd pan wiedział, że leżę w szpitalu?

- Zapytałem twoją siostrę - powiedział, rozkładając na kołdrze upominek i uśmiechając się przy tym od ucha do ucha. - Pomyślałem sobie, że zrobimy coś dla twojego wyglądu. To powietrze szpitalne fatalnie działa na cerę. Mam tu delikatny peeling, wspaniałą piankę oczyszczającą skórę - wyłącznie ze składników naturalnych - tonik do twarzy, maseczkę nawilżającą La Mer, krem pod oczy Louisa Widmera, krem na dzień i krem odżywczy na noc, wyjątkowo delikatny.

Zaniemówiłam.

- Tak wiem, to kosztuje majątek - przyznał aptekarz. - Ale możesz to spokojnie przyjąć, gdyż siedzę dokładnie na źródle. - Poklepał się z zadowoleniem po policzkach. - Co zresztą po mnie widać, jak sądzę. A może myślałaś, że mam już trzydzieści jeden lat?

- Stosujesz *krem nawilżający!*

- Naturalnie! Przy moich piegach potrzebny mi jest również w zimie krem z silnym filtrem przeciwsłonecznym. Nigdy też nie zapominam o kremie pod oczy. - Starannie ustawił maleńkie pudełeczka i tygielki w równym rządku. - Ta maseczka nawilżająca to prawdziwe чудо. Bez niej nie mógłbym żyć.

W tym momencie opadły mi łuski z oczu. Mój aptekarz był gejem! To wyjaśniało, dlaczego nie tylko spostrzegł pietścioneż zaręczynowy Leona, ale natychmiast też pottał go ocenić. *Platyna, co najmniej czterdzieści gramów.*

- Ach, ach, ach, tak - odezwała się leżąca obok mnie kobieta. Gotowa byłam powiedzieć dokładnie to samo, gdyż moje odkrycie troszenieczkę mnie rozczarowało. Przez cały czas roilał sobie, że aptekarz wykazuje pewne zainteresowanie mną, jak mężczyzna kobietą. Rzecz jasna nie było to nic poważnego, ale mimo to wyobrażenie, że jest taki ktoś, kto uważa mnie za atrakcyjną, pomimo że właśnie zarówno wewnątrz, jak i zewnątrz byłam istnym obrazem rozpacz, wpływało dobrze na moje samopoczucie.

No cóż.

- Czy możemy zaczynać? - zapytał. Sięgnął po inną przyniesioną torbę ze śnieżnobiałymi ręcznikami do rąk, które wyciągnął, a następnie rozpostarł. Po czym podał mi frotową opaskę do włosów. - Potrzebujemy jedynie unieść grzywkę, tak by nie spadała na twarz. A propos -czy byłaś może u fryzjera?

- Ach, ach, ach, tak - przyznałam po raz pierwszy, dokładnie przyglądając się aptekarzowi. Tak, gdybym była mężczyzną, mógłby być całkiem w moim typie. Miał oczy w odcieniu jasnego brązu, a rzesy długie i wywiniete, jak u sarny. Krótko przystrzyżone włosy mieniły się niezwyczajną kasztanowo-rudawą poświatą. Niewykluczone, że

mył je szamponem koloryzującym. Chociaż jeśli dobrze się przyjrzeć, można było spostrzec, że jego jednodniowy zarost również miał rudawy odcień - a nawet bardzo rudy. To mądrze z jego strony, że się golił.

- Najpierw peeling. Połóż się i zamknij oczy. - Wziął dwa ręczniki i podszedł do umywalki. - Czy mogę skorzystać? - To pytanie było skierowane do prababci Scholiene.

-To przecież wariactwo - stwierdziłam. Mimo to dzielnie zamknęłam oczy, gdyż pokusa była zbyt silna. Nigdy nie byłam na żadnym zabiegu kosmetycznym. Prawdę powiedziawszy, zawsze było mi szkoda pieniędzy na coś takiego. Poza tym nie potrafiłam leżeć spokojnie. Lecz teraz nic innego mi nie pozostawało. Najpierw położono mi na twarz gorące, wilgotne kompresy. Następnie aptekarz zrobił mi masaż, delikatnie rozprowadzając przy tym opuszkami palców krem o bardzo drobnej granulacji. Potem znowu przyszła kolej na kompresy i wreszcie na chłodną maseczkę starannie nałożoną na skórę. Gdybym była kotem, z pewnością mruczałabym z zadowolenia. Niestety, w tym momencie przyszła z rytualną wizytą rodzina Scholiene (Scholiene, wujek robi ciocię na pięknie. Czy też coś takiego zrobimy babci? Babciu, to ci fajnie zrobi. Scholiene bydzie terazki twoją kosmetyczką, co mama? Scholiene, pięknie ci idzie. Scholiene, nie do oczu z tą niveą. To nie jest dobre dla zaćmy babci). Ich pojawienie się zaburzyło nieco relaksującą atmosferę salonu piękności.

Nie byłam w stanie stwierdzić, czy zabiegi wpłynęły również na optykę mojej twarzy. Jednak gdy aptekarz usunął ostatni ręcznik z mojego oblicza i wreszcie mogłam usiąść, poczułam, że moja skóra jest cudownie miękka, gładka oraz delikatna. Natomiast biedna babcia koło mnie sprawiała wrażenie upiora, gdyż Scholiene wysmarowała jej całą twarz grubą warstwą kremu Nivea, omijając jedynie oczy, które teraz rzucały wokół pełne przerażenia spojrzenia. Córka wlała w nią na uspokojenie

melisanę Klosterfrau, co spowodowało, że pod wpływem znajdującego się w miksturze alkoholu biedaczka ponownie się odprężyła.

Aptekarz uśmiechnął się do mnie, z powrotem wkładając do plastikowej torby mokre ręczniki. W tym czasie patrzyłam z podziwem na jego wypielęgnowane dłonie z perfekcyjnym manikiurem.

- No, i jak się teraz czujesz?

- Bezzasadnie szczęśliwa? - odpowiedziałam z uśmiechem.

- W każdym razie wyglądasz dużo lepiej. Znowu jak siedemnastka. - Spojrzał na zegarek. - Niestety, muszę już uciekać. Ale mogę znowu przyjść pojutrze.

- Znakomicie, gdyż również pilnie by mi się przydał zabieg pielęgnacyjny stóp — zażartowałam.

- Żaden problem - odpowiedział. - Mamy w ofercie wspaniałe środki pielęgnacyjne do stóp. Mogę ci nawet pomalować paznokcie. Mówię całkiem poważnie!

- Wierzę bez zastrzeżeń. - Potrząsnęłam głową. - Nie mam pojęcia, dlaczego jest pan tak nieprawdopodobnie uroczy w stosunku do mnie. Mam na myśli, że uważam to za cudowne, ale w pełni niezasłużone. Wie pan przecież, że zawsze nazywałam pana idiotą i tym podobnie. Poza tym wcale się w gruncie rzeczy nie znamy.

- Uważam, że tak. - Nagle całkowicie spoważniał i ponownie usiadł na skraju mojego łóżka. Ostrożnie pogłaskał moją rękę z wenflonem. - Gdy zobaczyłem cię po raz pierwszy, od razu poczułem się za ciebie odpowiedzialny. Pomyślałem sobie, tej dziewczynie potrzebny jest przyjaciel, i to od zaraz.

Gdy to powiedział, do oczu napłynęły mi łzy. Niestety. Jednak aptekarz zachowywał się tak, jakby niczego nie zauważył.

- A więc jak się sprawy mają? Czy jesteśmy przyjaciółmi?
Skinęłam głową, gdyż na więcej nie było mnie stać. Aptekarz nawet nie zauważył, jak bardzo byłam poruszona. Uśmiechnął się jedynie zadowolony i skierował w stronę drzwi z mokrymi ręcznikami w siatce. Patrzyłam za nim, a jego obraz rozmywał mi się w oczach pełnych łez. Przyjaźń była dla mnie wyjątkowo drażliwym tematem. Przez całe życie tęskniłam za najlepszą przyjaciółką, lecz nigdy żadnej nie miałam. Mimi ciągle powtarzała, że jest moją najlepszą przyjaciółką. Z mamą sprawa miała się podobnie. Pomimo że obie mogły mówić, co chciały, i tak nie były w stanie zastąpić mi najlepszej przyjaciółki. Gdy aptekarz poszedł, uświadomiłam sobie, że teraz moje marzenie wreszcie się spełniło: przyjaciel gej był równie dobry, o ile nawet nie lepszy niż (no właśnie? niż kto??? Mów mi Heidi) najlepsza przyjaciółka. Głupio tylko, że nawet nie wiedziałam, jak się nazywa.

*To dopiero szczęście, czuć się szczęśliwym,
nie mając po temu żadnego powodu.*

Marie von Ebner-Eschenbach

Proszę przeczytać powyższe zdanie dwukrotnie. A teraz rozstrojeni nerwowo potrząśnijcie głową. Dokładnie tak. Pozwolę sobie powiedzieć, że uczucie szczęścia przy braku szczęścia możliwe jest wyłącznie w wyniku naćpania się kokainą. Ale ta metoda jest, niestety, szkodliwa dla zdrowia. Poza tym zbyt droga. Eeeeh, i oczywiście nielegalna. A zatem wolę dalej być nieszczęśliwa i czekać na powód do szczęścia. (Zadowolę się również czymś niewielkim). (Ale nie takim znowu całkiem małym).

Po dziesięciodniowym pobycie w sali 311 pokój gościnny Ronniego i Mimi wydał mi się szczytem luksusu. Byłam naprawdę wdzięczna losowi, że znowu mogę spać sama i że mam do dyspozycji własną łazienkę. Co prawda atmosfera panująca w domu była jakaś dziwna. Mimi nie tracąc czasu, wyjawiała mi powód takiego stanu rzeczy.

-Jestem w ciąży - przyznała szorstkim tonem. Po tych słowach uniosła ręce w geście obronnym. - Nie! Nie obejmuj mnie, nie becz i nie mów, że się cieszysz. Tym razem będziemy się cieszyć dopiero, gdy dziecko przyjdzie na świat. Jeśli coś takiego w ogóle będzie miało miejsce.

— Ale na...

- Nie! Nie mów nic! - Mimi przerwała mi w pół słowa. - Żadnych haseł w stylu wszystko-będzie-dobrze. Jasne! Będziemy podchodzić do tego tak rzeczowo, jak to tylko możliwe. I jeśli się nie uda, to zwyczajnie się nie uda. A jeśli wszystko pójdzie dobrze, tym lepiej.

- Ale tak...

- Nie! - Mimi rzuciła mi groźne spojrzenie. - Nie, nie mam żadnych zaburzeń emocjonalnych. I nie pójdę do tej stukniętej psychoterapeutki. Dam sobie radę na swój własny sposób. Miałam już jedno poronienie, więc zdaję sobie sprawę, że i tym razem może mi się to przytrafić. I przeżyję to po raz drugi jedynie wówczas, gdy będę przestrzegać wszystkich swoich zasad i brać pod uwagę najgorsze.

- W porządku. Akurat w tym jestem dobra. - Mimo to wzięłam Mimi w ramiona. - A co na to mama i tata?

- Nic - odpowiedziała Mimi. - Gdyż o niczym nie wiedzą. I nie powinni się dowiedzieć, bo nie potrafią utrzymać języka za zębami i wypapłają wszystko Pile Tarczowej. A ta znowu będzie dzwonić do mnie, by zadrećcać mnie swoimi głupimi radami. A potem - gdyby znowu się nie udało — powie zapewne: „Ciekawa jestem, co znowu robiłaś nie tak, jak należy”. I wówczas będę musiała ją zamordować, co pograży Manuela w czarnej rozpacz a z Eliane uczyni półsierotę.

- Ale po jakimś czasie będzie widać.

- Tak. Być może. Wtedy zawsze będę mogła twierdzić, że przytyłam. I ani mi się waży pisać komukolwiek choćby słówko. Wiecie o tym tylko ty i Ronnie. I tak też powinno pozostać.

- I nie wolno mi się cieszyć? Jak wiesz, obecnie mam niewiele powodów do radości. A to byłby naprawdę...

- Nie! Przykro mi, ale to niemożliwe. Nie należy się cieszyć tak długo, jak długo grozi niebezpieczeństwo, że może to być przedwczesna radość.

- W porządku. Ale to jest totalnie porąbane, że życie nie daje żadnej gwarancji, nie sądzisz?

- Wszystko mi jedno.

- Jeśli chcesz mieć gwarancję, kup sobie lokówkę.

- Sama ją sobie kup, niesforna Zuziu. — Przynajmniej udało mi się rozśmieszyć Mimi.

- Ale chcę się z czegoś cieszyć!
- Są przecież inne powody do radości - zauważyła Mimi. - Wiesz przecież, że jest mnóstwo drobiazgów, które sprawiają radość, blablablaba. Na przykład równie dobrze możesz cieszyć się z pogody. Albo z tego, że Ronnie robi dziś wieczorem lasagne. A jeśli chcesz ujawnić swój paskudny charakter, to możesz też cieszyć się z tego, że wczoraj pan Pączkogłowy wynosząc na ulicę choinkę, poślizgnął się na psiej kupie.
- Nie!
- No dobrze. Ta psia kupa to mój wymysł. Ale naprawdę się poślizgnął i dziś pani Pączkogłowa opisała mi nadzwyczaj plastycznie, jakimi kolorami świeci teraz jego tyłek.
- W takim razie wolę się cieszyć na lasagne.
- W porządku. Ale nie zapomnij, że przy stole absolutnie zabronione są rozmowy o dziecku i podobnych tematach.
- Z Ronniem też?
- Zwłaszcza z Ronniem!
- Plecie bzdury - powiedział Ronnie, gdy później znaleźliśmy się na moment sami w kuchni, gotując kolację. (Zawsze zgłaszałam się na ochotnika do krojenia cebuli, gdyż wówczas można było bezkarnie sobie popłakać). - Ale nie można nic zrobić. Pani Karcianodomska-Kuracjusz twierdzi, że to się samo rozwiąże, w późniejszej fazie ciąży. Wówczas organizm produkuje więcej hormonów, twierdzi.
- Nie mów, że znów do niej łazisz? Ronnie zaczerwienił się jak burak.
- Byłem też u księdza - przyznał. - W takich sytuacjach nigdy nie dość duchowego wsparcia. - Zakłopotana-

ny podrapał się po podbródku. - Ale pomówmy o tobie. Wyglądasz dużo lepiej. Trochę za chudo, ale poza tym dużo lepiej.

- To efekt kuracji nawilżającej - powiedziałam. Opowiedziałam mu też, że spełniło się wreszcie moje marzenie o najlepszej przyjaciółce.

Dokładnie rzecz biorąc o najlepszym przyjacielu, który jest gejem, co stanowi jeszcze lepsze rozwiązanie. Zwłaszcza że najlepszy przyjaciel gej jest aptekarzem i ma dostęp do kosmetyków La Mer po nieprawdopodobnie korzystnych cenach.

Mimi weszła do kuchni, mówiąc:

- I to mówi kobieta, która wcześniej nie miała bladego pojęcia o istnieniu La Mer.

- Ale aptekarz wcale nie jest gejem - zaprzeczył Ronnie.

- A właśnie, że jest - powiedziałam. - Nakłada sobie maseczki nawilżające i stosuje krem pod oczy.

- I nazywa się Justus Detlefsen - Mimi zachichotała. - No co?

Aptekarz rzeczywiście tak się nazywał. Zapytałam go o to. Ostatecznie powinnam znać nazwisko mojego nowego najlepszego przyjaciela. Gdy uznałam je za zabawne, trochę się obraził. Pozwolił mi jednak, bym w dalszym ciągu nazywała go „Aptekarzem”. I zwracała się do niego per ty.

- Nie, nie - zaprzeczył Ronnie. - Chyba nie mówicie o tym aptekarzu z ulicy Różanej? On wcale nie jest gejem. Wręcz przeciwnie, ma romans ze swoją pracownicą. Zjawiskowy obiekt o ciemnych lokach.

- Nie, nie o nim - potwierdziła Mimi. - Przypadkowo wiem, że żeni się na wiosnę. To sprawdzona informacja, gdyż wspólnie z narzeczoną kupowali u nas buty. Do ślubu.

- Poza tym pomalował mi paznokcie u nóg - oznajmiłam. - W tym celu kupił nawet superlakier w kolorze lila.

Ronniego zatkało.

- Jeśli sądzicie... Ale super, że masz przyjaciela. I gdy pomyślę sobie o wszystkich artykułach dziecięcych, które może nam... Aua!

Mimi cisnęła w niego mandarynką.

- Zamknij się! I trzymaj się zasad!

- W porządku - powiedział Ronnie, puszczając do mnie oko.

W ciągu kolejnych dni opracowaliśmy coś w rodzaju kodu, który umożliwił nam rozmowę na temat ciąży Mimi, bez konieczności obawy, że ponownie wyląduje nam na głowach jakiś produkt spożywczy.

Dziecko nazwaliśmy „śliwką” (termin porodu został wyznaczony na sierpień, dokładnie w czasie zbioru śliwek), panią ginekolog „sprzedawczynią owoców”, hormony przechrzciliśmy na „mrówki” i tak dalej.

Mimi nie mogła nam wymyślać, gdy przypadkowo słyszała naszą rozmowę o dodatkach, jakie się stosuje do śliwek albo o ich transporcie. Oczywiście czasami zdarzało się, że sami nie rozumieliśmy właściwego przekazu stosowanego przez nas kodu. Sprawa szczególnie się komplikowała, gdy w grę wchodziły prawdziwe śliwki. Pewnego razu Ronnie o mało nie przewrócił czajniczka z herbatą, gdy zamyślona Mimi przyznała, że ma ochotę na mus śliwkowy.

I choć nie wolno mi było okazywać radości, to i tak trzeba było podejmować konkretne działania, gdyż pokój gościnny, który obecnie zajmowałam, miał być przerobiony na pokój dziecienny, jak tylko śliwka przyjdzie na świat. Dlatego udałam się w styczniu do biura nieruchomości, które tak mi zachwalała pani Karcianodomska-Kuracjusz. Agentka, młoda, sympatyczna kobieta, nie robiła mi jednak zbyt dużych nadziei, słysząc o mieszkaniu z kominkiem.

- Dwa pokoje, kuchnia, przedpokój, łazienka i kominek trafiają się rzadziej niż główna wygrana w lotto.

-Ale to musi być koniecznie mieszkanie z kominkiem - uparłam się mimo niebezpieczeństwa, że weźmie mnie za osobę niezrównoważoną umysłowo. - Za to jestem gotowa zgodzić się na łazienkę bez okna.

- Zobaczą, co da się zrobić - obiecała. Byłam pełna wiary, że znajdzie dla mnie odpowiednie mieszkanie, gdyż sprawiała wrażenie bardzo obrotnej i wyjątkowo sptytnej. Gdy wyłuszczyłam jej moją obecną zawodowo--finansowo--prywatną sytuację, zaproponowała bez namysłu: - Proszę w takim razie napisać po prostu „zamożna dyplomowana meteorolog” - to brzmi fantastycznie i do tego całkowicie odpowiada prawdzie.

Możliwe, że takie potraktowanie spraw stanowiło tajemnicę rozwiązującą wszystkie problemy: żadnych kłamstw, ale też i nie za wiele prawdy.

Wówczas świat znajdowałby się w idealnej równowadze.

A że byłam porządnie nakręcona (pani Karcianodomska-Kuracjusz nazwałaby to „stabilnym nastrojem”) mogliśmy wreszcie odhaczyć dawno planowaną wizytę w hali w Diisseldoffie, w której Karl przechowywał większą część zgromadzonych dzieł sztuki oraz mebli.

Pojechałam tam tylko dlatego, że „strona przeciwna”, to znaczy Leon i jego siostry, zrezygnowała z obecności przy porządkowaniu i katalogowaniu przedmiotów znajdujących się w magazynie, w związku z czym mogłam mieć pewność, że nie spotkam na miejscu nikogo z uroczej rodzinki.

- Zaufanie to dobra rzecz, ale kontrola jeszcze lepsza - stwierdził mój prawnik, sympatyczny człowiek o spojrzeniu jamnika, z przedziałkiem na środku głowy. - W przeciwnym wypadku nalegałbym na pani obecność, gdyż prawda jest taka, że kolia może bardzo szybko zniknąć w kieszeni, a wyniesienie chyłkiem biedermeierowskiego sekretarzyka też nie stanowi wielkiego problemu. Prawda? Zresztą i tak spodziewam się najgorszego, jeśli chodzi o wyposażenie wnętrza willi, do której z pewnością miał dostęp również brat. A co do niego, to moim zdaniem zdążył już wynieść wszystko, co stanowiło jakąkolwiek wartość. Powinna pani zaraz na początku pójść tam i wszystko sfotografować.

Próbowałam mu wyjaśnić, że to wszystko jest mi w znacznej mierze obojętne. Chciałam jedynie mieć już ten cały cyrk za sobą, żeby wreszcie móc zakończyć ten rozdział mojego życia. Na co adwokat odpowiedział, że może mi być wszystko jedno, gdyż on już zadba o to, żeby sprawiedliwości stało się zadość i żebym dostała to, co mi się prawnie należy. A gdyby rzeczywiście willa była już ogołocona ze wszystkiego, wówczas wuj Thomas nie otrzyma nawet tabaki z tabakierki, o którą bez przerwy natrętnie się dopomina. Zdaniem adwokata jego roszczenia były całkowicie bezzasadne. Poza tym do tej pory nie przedłożył żadnych dowodów, na które się wielokrotnie powoływał. Z powodu kartki papieru, którą mój ojciec tyle razy nabożnie całował, na której wyraźnie było napisane, że dziedziczyć wszystko, w przypadku gdyby Karłowi coś się przydarzyło, cały majątek w obecnej wysokości powinien być podzielony pomiędzy mnie, spadkobierczynię, i dzieci Karła, w ramach przysługującego im prawnie zachowku.

- A potem stanie się pani majątną kobietą - podsumował adwokat. — Nawet po zapłaceniu mojego honorarium.

Chyba że wuj Thomas ma jakiegoś asa, którego wyciągnie z rękawa.

Leon wraz z siostrami zrobili zestawienie wartościowych rzeczy wchodzących w skład majątku, które ich zdaniem podlegają podziałowi. Zestawienie to w dużej mierze zgadzało się z tym, które ojciec wspólnie z Mimi

sporządzili jeszcze w Londynie na podstawie dokumentów Karla. Co do pakietów akcji, gotówki i nieruchomości nie było żadnych rozbieżności. Należało jedynie oszacować wartość tych ostatnich. Pewna niejasność panowała odnośnie do takich punktów, jak „rzeczy i przedmioty w willi dziadków w Rodenkirchen” oraz „różne obrazy, biżuteria, zegary i dzieła sztuki”. Lecz w tym przypadku kilometrowe listy sporządzone przez wuja Thomasa już na wstępie rzuciły nieco światła na stan rzeczy. Wuj Thomas wymienił dokładnie trzydzieści cztery przedmioty, które jego zdaniem należały się jemu, gdyż stanowiły część spadku po jego ukochanej ciotce Jutcie i od zawsze były przeznaczone dla niego, jak również dalsze dwadzieścia dwa przedmioty, które zgodnie z jego twierdzeniem bez wątpienia mu się należały z „tak prawnego, jak i moralnego” punktu widzenia (zdanie, które mojego adwokata serdecznie rozbawiło) i które Karl jedynie przechowywał dla niego. Istotnie w wynajmowanym przez Karla magazynie o powierzchni ponad pięćdziesięciu metrów kwadratowych, w którym liczne przedmioty piętrzyły się jedne na drugich częściowo aż pod sam sufit, znajdowała się większość rzeczy wymienionych przez wuja Thomasa. Między innymi tak często wspomniany przez niego obraz *Martwa natura z rybami na tle nadbrzeżnego krajobrazu*. Pomimo iż Karl często miał zwyczaj powtarzać, że sztuka to coś, co nie do wszystkich dociera, nawet tych obdarzonych inteligencją, byłam przekonana, że tak paskudnego malowidła jeszcze nie zdarzyło mi się oglądać i chciałam spontanicznie przekazać rzeczony dzieło całkowicie altruistycznie wujowi Thomasowi. Lecz mój adwokat był zdania, że zrobiłabym głupi błąd, gdyż obraz ten zgodnie z jego ustaleniami miał wartość stu tysięcy euro. Po tym oświadczeniu popatrzyłam na zdechłe ryby i węgorze zupełnie innymi oczami.

W gruncie rzeczy miałam nadzieję (i równocześnie stracha), że natrafię w tym magazynie na jakieś osobiste ślady nasuwające sentymentalne wspomnienia i że odkryję w nim na nowo cząstkę Karla z czasów, kiedy

nie było mnie jeszcze w jego życiu. Ale wszystko, co zostało zgromadzone, należało do jego rodziców oraz do ciotki Jutty. Były to rzeczy, które Karl prawdopodobnie zamierzał sprzedać. (Moim zdaniem to najlepsze, co można było ze wszystkimi tymi rzeczami zrobić). Przez cały dzień katalogowaliśmy z moim adwokatem oraz jego asystentem przedmioty zdeponowane w magazynie. Wszystko, niezależnie czy było to krzesło, obraz, lustro czy też rzeźba z brązu, zostało sfotografowane, opatrzone numerem, oznaczone i krótko opisane („nr 13: Rzeźba ze steatytu z pięcioma nogami, prawdopodobnie istota pozaziemska, wysokość około sześćdziesięciu centymetrów, szkaradna”). Wieczorem wszyscy byliśmy tak wykończeni, że niemal padaliśmy z nóg. Wśród skatalogowanych przedmiotów nie było jednak ani tylekroć wspomnianej tabakierki, ani zegarków, ani też biżuterii, co bardzo zdenerwowało mojego adwokata, gdyż zdaniem wuja Thomasa chodziło tu o przedmioty znacznej wartości. (Mojemu klientowi chodzi głównie o pamiątkową wartość tych rzeczy, gdyż są one związane z rodzinną tradycją i wspomnieniami...).

Natknęliśmy się również na kilka kartonów do przeprowadzek, które przejrzelśmy jedynie pobieżnie, przerzucając ich zawartość w nadziei, że zostały tam ukryte kosztowności. Jedenaście kartonów wypełnionych było książkami, trzy kartony odzieżą damską w rozmiarze czterdzieści dwa, a w jednym znajdowała się kolekcja porcelanowych psów. Najlepszym znaleziskiem był wypchany foksterier, patrzący na nas badawczo i zdumiewająco przyjaźnie szklanymi oczami.

— Czy to ma jakąś wartość? — zapytałam adwokata.

— Hmm, gdybym musiał wziąć coś takiego, kazałbym sobie jeszcze za to zapłacić - odpowiedział. Mimo to w swojej skrupulatności wciągnęliśmy psa do katalogu pod numerem 243, starannie go opisując. Foksterier miał ładną srebrną obrozę z breloczkiem w kształcie serca, na którym było wygrawerowane jego imię.

Za namową zabrałam numer dwieście czterdzieści trzy do domu, gdzie przeschmuglowałam go bez wiedzy Mimi i Ronniego do swojego pokoju. (Od czasu gdy Mimi była w ciąży, panował ostry reżim higieniczny i drobiazgowo przestrzegano wszystkich przepisów w tym względzie, stąd obawiałam się, że wypchane zwierzęta mogły mieć zakaz wstępu do domu).

W czasie mojej nieobecności Leon nagrał się na sekretarkę automatyczną Mimi i Ronniego. Jego wiadomość była krótka i zwięzła, jakby pochodziła od kogoś zupełnie obcego.

— Halo, tu Leon Schütz. Proszę Carolin o oddzwonienie do mnie w ciągu dnia na numer...

Nie oddzwoniłam, ma się rozumieć. Nasze ostatnie spotkanie spowodowało, że wylądowałam na dnie głębokiej, czarnej dziury i teraz, gdy znowu udało mi się z mozołem wdrapać na jej krawędź, nie chciałam ryzykować, że Leon ponownie przydepnie mi palce. Następnego dnia zadzwonił ponownie. Odebrałam telefon, gdyż Mimi była akurat zajęta wykonywaniem wieczornego testu ciążowego (była w siódmym tygodniu, ale jeszcze w dalszym ciągu nie dowierzała, że jest w ciąży).

— Leon Schütz. Halo, Carolin. Dzwoniłem już wczoraj.

— Tak, wiem, Leonie. Wiem również, jak masz na nazwisko. — Przez przypadek nazywam się identycznie.

— Niestety, nie odezwałaś się do mnie po naszym spotkaniu.

- To prawda. Przez pewien czas byłam w szpitalu. Westchnienie.

- Byłaś chora?

Nie. Poszłam sobie do szpitala dla zabawy. Potrzebowałam trochę rozrywki i byłam spragniona towarzystwa. Poza tym uważam, że tam cudownie pachnie.

- Ach, tak. Rozumiem - stwierdził Leon, choć nie powiedziałam ani słowa. - Ten rodzaj szpitala. Mam nadzieję, że teraz czujesz się lepiej. Chętnie bym się z tobą spotkał. Są pewne sprawy do omówienia. Dzisiaj przyszedł spis inwentarza sporządzony przez twojego adwokata. Jak widać jest mnóstwo rzeczy, których podział musimy między sobą uzgodnić.

- Co ma oznaczać ten rodzaj szpitala? - zapytałam. - Nie byłam na psychiatrii, jeśli to masz na myśli. Chociaż, jeśli teraz o tym myślę, to było tam całkiem sporo obłąkanych. Kto wie, może był to rzeczywiście oddział psychiatryczny, co zwyczajnie uszło mojej uwadze.

Leon nie podjął tematu.

- A więc jak to wygląda z twojej strony? Będziesz miała odwagę ze mną porozmawiać?

-Tak - potwierdziłam. - Biorę regularnie lekarstwa. A poza tym odebrano mi wszystkie noże i pistolety.

- W porządku. W takim razie może byśmy się spotkali jutro po południu w jakiejś kawiarni. To neutralne miejsce.

- W przeciwieństwie do?

Leon ponownie mnie zignorował.

- Czy znasz Holly's na Dankertstrafie? O siedemnastej?

- W porządku.

Gdy odkładałam słuchawkę, Mimi wyszła z łazienki. -I?

- Jeszcze w dalszym ciągu w ciąży - wydała zwięzłe oświadczenie.

- Co za niespodzianka. Byłabym za tym, żebyś powoli zastosowała odwyk od testów ciążowych. Co drugi dzień zupełnie wystarczy.
- Spróbuję - przyrzekła Mimi.
- Przysięgnij! Te testy są takie drogie! Jak tak dalej będziesz postępować, znajdziecie się w nędzy, zanim jeszcze dziecko przyjdzie na świat.
- Przysięgam - zapewniła Mimi. Jednak zauważyłam, że mówiąc to skrzyżowała palce za plecami.

Poddałam się.

- Znasz Hollys na Dankertstrafie?
- Nie wiem nawet, gdzie jest Dankertstraiśe - przyznała Mimi. - Uważasz, że wyglądam na ciężarną?
- Nie. Uważam, że wyglądasz na stukniętą.

*Gdy tylko uświadomimy sobie,
że wszyscy jesteśmy obłąkani,
od razu życie staje się zrozumiałe.*

Mark Twain

Tego wieczoru zadzwonił ktoś jeszcze - wuj Thomas.

- Tu twój kochany były szwagier Tommi - oznajmił. Gdy usłyszałam jego ugrzeczniiony głos w słuchawce,

najpierw się przeraziłam, a potem rozzłościłam.

-Ach, wuj Thomas. Podstępny szantażysta, który swojego czasu doniósł Leonowi o mnie i Karlu.

- Dokładnie, ten sam! - roześmiał się wuj Thomas. - Pomyślałem, że zadzwonię do ciebie osobiście, zanim sprawa z powodu uporu adwokatów zacznie eskalować i wyląduje w sądzie. Miałbym mianowicie pewną propozycję. Propozycję ugody.

-Wuju Tho... - Przerwałam w pół słowa. Tak naprawdę wcale nie świadczył o mnie dobrze fakt, że jak do tej pory nie wymyśliłam dla tego człowieka innego określenia niż „wuj Thomas”. Alternatywnie wuj Zakazana Gęba Thomas. Lecz na szybko nic mi nie wpadło do głowy.

- Spokojnie możesz mówić do mnie Thomas. A ja jak mam się do ciebie zwracać? Jak zawsze nazywał cię mój kochany brat?

- Carolin.

- Nie, mam na myśli zdrobnienie. Jakie dał ci pieśczośliwe imię?

- Czasami nazywał mnie swoją Ofelią - powiedziałam. - Ale to naturalnie nie powinno pana obchodzić. Co wcale nie oznacza, że nazywając mnie w ten sposób, miał na myśli, że postradałam rozum, jeśli taka myśl przyszła panu do głowy.

- Hmm - mruknął ponuro. - Ale teraz do rzeczy. Z pewnością zdajesz sobie sprawę, że nie wygląda to dla ciebie szczególnie dobrze. Jeśli wniosę roszczenie o należne mi prawo do zachowku, będzie już za późno na kompromis. Stąd z mojej strony pokojowa propozycja. Mam w tym momencie na myśli, że będzie to dla ciebie wyjątkowo korzystne rozwiązanie. Zrezygnuję z należnych mi beneficjów i wezmę jedynie parę przedmiotów mających dla mnie dużą wartość sentymentalną. Zgoda? Czy masz właściwie jakieś drugie imię?

Chętnie bym się roześmiała w głos (słowo „beneficja” było takie piękne), lecz dostałam ataku kaszlu. Moje płuca jeszcze nie były całkiem w porządku. Gdy ponownie mogłam mówić, zapytałam:

- Roszczenie o należne prawo do zachowku? Co to ma właściwie oznaczać? Jako bratu w ogóle nie przysługuje panu żadne prawo do zachowku.

- O, widzę, że ktoś tu jest nie do końca dobrze poinformowany. Radzę ci zmienić adwokata. Ten twój to prawdziwy dureń, dziewczyno. Na podstawie złożonych dokumentów musi zdawać sobie jasno sprawę, że przysługuje mi znaczna część spadku. Zwłaszcza że jestem w posiadaniu papierów, które to niezbicie potwierdzają.

- Jeśli rzeczywiście tak jest, to przecież wcale nie potrzebujemy zawierać żadnej małej, prywatnej ugody - zauważyłam. - Jestem naturalnie za tym, żeby dostał pan wszystko, co się panu prawnie należy.

Wuj Thomas zamierzał jeszcze coś powiedzieć, lecz ja szybko odłożyłam słuchawkę.

- Och, czy nie był to przypadkiem błąd - zmartwił się Ronnie. - Jeśli w końcu okaże się, że ma rację i przedłoży dowody...

- Nie wierzę w to - zapewniłam go. — Ten człowiek zaczyna kłamać, gdy tylko otwiera usta. To mitoman, i do tego w klinicznym, podręcznikowym wydaniu.

- Poza tym nie powinna się niczego obawiać! — Mimi poklepała mnie po ramieniu. — Powinna walczyć o swój spadek jak lwica. Przyjdzie czas, że te pieniądze bardzo jej się przydadzą. I wówczas żałowałyby, gdyby oddała je wujowi Thomasowi, Leonowi i jego wstrętnym, rozwydrzonym siostram. Co włożysz jutro? Mam ci coś pożyczyć? Ten gnojek nie powinien myśleć, że zawsze wyglądasz tak, jak podczas waszego ostatniego spotkania. Tym razem użyjesz korektora i zrobisz pełny makijaż. Już ja o to zadbam. Nawet gdyby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu.

Ronnie rzucił mi wiele mówiące spojrzenie.

- Sprzedawca owoców mówił o rosnącej agresji do śliw wywołanej przez mrówki.

- To by się zgadzało — odpowiedziałam.

- Hę? - zapytała Mimi, drapiąc się po brzuchu. Dankertstraße znajdowała się w tej samej dzielnicy,

co zakład pogrzebowy Hellmanna i była oddalona od niego raptem o parę ulic. W pobliżu była też kancelaria adwokacka reprezentująca Leona i jego siostry. Podejrzewałam, że Leon mieszkał gdzieś w pobliżu, bo wszystko było położone praktycznie obok siebie.

Za pomocą internetu ustaliłam drogę, posługując się programem wyszukiwania tras. Na miejsce pojechałam tramwajem, gdyż pogoda była bardzo nieprzyjemna. Padał śnieg z deszczem. Ja zaś nie miałam jeszcze wystarczająco dużo sił na długie piesze marszruty.

Naprzeciw mnie usiadł starszy pan. Był to pan Pącz-kogłowy. Byłam tak zatopiona w myślach, że poznałam go dopiero wówczas, gdy zagadnął do mnie.

- No co? Też jedzie pani tramwajem?

- Uhm. Tak. A pan?

- Jadę odwiedzić córkę i wnuka. Żona nie powinna się o tym dowiedzieć, gdyż niezbyt się ze sobą zgadzają. — Zakłopotany pan Pączkogłowy wyglądał przez okno. — Słyszałem o pani mężu. Bardzo mi przykro z tego powodu.

Dziwnym trafem poczułam kluchę w gardle.

- Dziękuję. To miło, że wycofał pan skargę.

Nie żeby miała ona szanse na korzystne dla niego zakończenie, ale mimo wszystko był to miły gest.

-No tak. Pomyślałem sobie, że obecnie prawdopodobnie ma pani wystarczająco dużo innych spraw na głowie.

- Tak, ma pan rację. Przykro mi, że nazwałam pana Pączkogłowym, panie Pą... Ale właściwie to jak ma pan na nazwisko?

- Hempel - powiedział pan Pączkogłowy. - Heinrich Hempel.

Wyciągnęłam rękę do pana Pączkogłowego.

- Jestem Carolin Schütz. I jak mówiłam, przykro mi. Naprawdę nie chciałam pana dotknąć.

- Przecież wiem - powiedział, po czym znowu zaczął spoglądać przez okno.

W Holly's Cafe zjawiłam się punktualnie. Leon siedział już przy stoliku blisko drzwi i machał do mnie. Znowu miał na sobie garnitur i krawat.

Przypuszczalnie

przyszedł tu prosto z pracy. Jego blond włosy połyskiwały w świetle lamp.

— Czy mieszkasz może gdzieś w pobliżu? - Tym samym uniknęłam powitania (Cześć? Dobry wieczór? Och, już jesteś? Pocałunek w policzek złożony przez byłą przyjaciółkę? Uścisk dłoni przeciwnika sporu sądowego? Macosze poklepanie po ramieniu? - Po prostu nie wiedziałam, co by w tym przypadku było na miejscu). Być może moje pytanie zabrzmiało nieco szorstko.

-Tak, zaraz na początku - powiedział, pokazując kciukiem w gdzieś w kierunku sąsiedniego stolika. - Ale nie zamierzamy zbyt długo trzymać tego mieszkania. Jest dla nas zwyczajnie za małe.

Mówiąc „my” miał z pewnością na myśli narzeczoną. Ładnie z jego strony, że wspomniał o niej na samym wstępie.

- Och — powiedziałam, ściągając płaszcz i kładąc go na oparciu krzesła. - Czy ktoś jest może zaśliwkowany?

— Co proszę? Usiadłam.

-Już dobrze. Sama mam dziś drobny problem z mrówkami.

- Zamówiłem dla ciebie cappuccino. A może chciałabyś coś zjeść?

— Nie, dziękuję.

- Jesteś bardzo chuda.

- Dziękuję. - Przynajmniej szczerze. Czy takim stwierdzeniem można naprawdę obrazić kobietę?

— Ale mimo to wyglądasz lepiej niż ostatnim razem. Byłem naprawdę przerażony, gdy cię zobaczyłem. Z tłustymi włosami i w niechlujnych ciuchach. I do tego jeszcze czarne sińce pod oczami.

Leon wziął kostkę cukru, położył ją na dłoni i toczył tam i z powrotem.

- Wilgotne - powiedziałam. -Co?

- Moje włosy. Były wilgotne, nie tłuste. Ubranie też było wilgotne, a nie niechlujne.

- Nie chciałem...

- Z wyjątkiem butów, które były całkowicie upačkane psim gównem. Ale dobrze, wyglądałam strasznie i obecnie zawsze czuję się wyjątkowo podle. Podczas gdy ty wyglądasz wyjątkowo dobrze, jeśli wolno mi to powiedzieć. Tak, z pewnością mogę to powiedzieć, gdyż odnoszę wrażenie, że chcesz mieć pewność, że dokładnie zauważam różnicę pomiędzy tobą i mną. Tak, wiedz, że to widzę. A więc, jeśli chodzi o mnie, to co my tu mamy? Dokładnie rzecz ujmując - wrak. A tam, po drugiej stronie stolika? Promieniujący, dumny z siebie typ zwycięzcy. Bardzo zadbany, piękne, czyste buty, perfekcyjnie obcięte włosy, z pewnością drogi garnitur i superwspaniałe pierścienie zaręczynowe. I -hejże - czy stosujesz coś takiego jak kuracja nawilżająca? Twoja cera sprawia wrażenie takiej świeżej!

Leon zacisnął usta. Następnie wziął głęboki oddech i powiedział:

- Dobrze, że wyjaśniliśmy to sobie. Czy możemy zatem przejść już do sedna sprawy?

- Tak. - Wyciągnęłam z torebki kopię listy zawierającej skatalogowane przedmioty. - Ponieważ zrezygnowaliście z wzięcia udziału w robieniu tego spisu, zakładam, że akceptujecie to zestawienie. Jest tam parę całkiem sympatycznych przedmiotów. Lichtarz, którym można zabić teściową. Obrazy tak piękne, że od samego patrzenia na nie można się zapłakać na śmierć. A do tego całe mnóstwo krzeseł. Nie udało nam się, niestety, znaleźć biżuterii ani zegarków. Ale jeśli wierzyć waszemu prawnikowi, to już dawno zdążyłam je spieniężyć. W każdym razie w magazynie nie było nic takiego.

Leon ponownie głęboko wciągnął powietrze, po czym je wypuścił. (Muszę zapytać Trudi, czy przypadkiem nie uczestniczył w jednym z jej seminariów terapii oddechowej).

-Jedną sprawę chciałbym od razu wyjaśnić. Jeśli o mnie chodzi, to nie wziąłbym z tego spadku ani centa. Lecz idzie tu o moje siostry. Chcemy jedynie należny nam zachówek.

- Nie pojmuję. Nie chcesz nawet wiedzieć, jak on umarł.

-Twoja siostra poinformowała mnie ze wszystkimi najdrobniejszymi szczegółami - wyjaśnił. - I jak zostało powiedziane...

- Leonie, przecież on ci naprawdę nic złego nie zrobił. Jedynie zakochał się w kobiecie, której i tak już nie chciałeś. A poza tym to była moja wina. Spokojnie możesz się wściekać na mnie.

- Czy nie moglibyśmy, proszę...

- Czy wiedziałeś, że Karl miał zawsze w portfelu zdjęcie twoje i twoich sióstr? Tak bardzo chciał mieć z wami dobre stosunki.

- W takim razie nie powinien był opuszczać mojej matki - stwierdził krótko, po czym kontynuował w rzeczowym, oficjalnym tonie: — Chodzi wyłącznie o ustalenie wartości spadku po odliczeniu wszystkich zobowiązań i należności. Innymi słowy, trzeba oszacować wartość zinventaryzowanych przedmiotów oraz nieruchomości. Wartość pakietów akcji, a także depozytów pieniężnych nie budzi wątpliwości. A zatem w przypadku tych pozycji można przeprowadzić podział już w najbliższym czasie. Zależy wyłącznie od ciebie, czy chcesz wypłacić zachówek w ramach będących do dyspozycji środków, w przypadku gdybyś nie chciała sprzedawać nieruchomości. - Zawahał się. — Co jednak będzie raczej nieuniknione, biorąc pod uwagę wysokość należnych nam kwot.

-Aha. - Nie rozumiałam z tego ani słowa. Być może powinnam była postudiować prawo jeszcze przez kilka semestrów.

— Właśnie, aha! Bardzo poszliśmy ci na rękę. Możemy więc dogadać się bez pójścia do sądu, w jaki sposób podzielimy między sobą majątek. W tej sytuacji nie będziesz miała na głowie problemu spieniężania wszystkiego.

— Co za bezinteresowność! — Skrzyżowałam ręce na piersi.

Kelner przyniósł zamówione napoje - cappuccino dla mnie i czarną kawę dla Leona.

Leon pociągnął łyk, po czym pochylił się w moją stronę. Czy zdawał sobie sprawę z tego, jak bardzo był podobny do Karla? Rzecz jasna wiele mu do niego brakowało. Na przykład wysokie czoło i wygięcie linii górnej wargi. I te rysy, które nadawały twarzy Karla charakter. Te drobne zmarszczki wokół ust, które sprawiały, że jego uśmiech był taki wyjątkowy. Ponownie napłynęły mi do oczu łzy. Miałam nadzieję, że Leon ich nie zauważył.

- Nie chcę ci niczego narzucać — powiedział. — Jednak nie ukrywam, że bardzo chciałbym załatwić tę sprawę polubownie. Bardzo by mi zależało, żeby dom moich dziadków pozostał w rodzinie. Dlatego chętnie bym go ptzejał, gdyż stanowi własność rodziny od wielu pokoleń i byłoby mi przykro, gdybyś musiała go sprzedać po to tylko, żeby móc nas spłacić.

- Tak, to niezwykle piękny dom - przyznałam. - Ma fantastyczne położenie. I do tego te urocze wieżyczki!

Leon zaśmiał się krótko.

— Właśnie. Larissa zakochała się w tym domu. Z powodu wieżyczek. Mamy zamiar się tam wprowadzić.

Gdy to powiedział, poczułam ukłucie.

- Och. A co w takim razie z Oer-Erkenschwick? Sądziłam, że czeka już tam na ciebie działka budowlana.

Larissa, co za małpie imię. Z pewnością była to jakaś zarozumiała koza, doskonale pasująca do Leona.

-Twoich żartów na temat Oer-Erkenschwick nie uważam bynajmniej za zabawne.

- Na całym świecie jak w domu - Tokio, Londyn, Oer-Erkenschwick.

- Tak też myślałem, że to twoje dzieło. Jak mówiłem, to wcale nie jest zabawne. Szczególnie w takim dniu.

— Taak, jeśli chodzi o poczucie humoru, to trzeba nadawać na tej samej fali - co nie zawsze się zdarza. A zatem chcesz wille twoich dziadków? Co jeszcze?

— Fortepian dla Helen.

- W porządku. - Będę miała wystarczający problem ze znalezieniem w mieszkaniu, do którego się wprowadzę, miejsca na klawikord.

- Wszystko pozostałe jest mi całkowicie obojętne. Jeśli o mnie chodzi, to możemy zaraz w przyszłym tygodniu sporządzić ugode. O ile wuj Thomas nie będzie mieszał. Twierdzi, że ma testament ciotecznej babki Jurty, z którego wynika, że mój ojciec nielegalnie wszedł w posiadanie spadku, zwyczajnie go sobie przywłaszczając. Poza tym ojciec przechowywał rzekomo całe mnóstwo jego rzeczy.

- Mój adwokat jest zdania, że gdyby miał ten testament, dawno by już poszedł z nim do sądu.

-Ale przecież wytoczył ta... Karłowi proces w tej sprawie i postępowanie sądowe jest jeszcze w toku.

— Nie, żaden proces nie ma miejsca. W rzeczywistości posłał Karłowi poprzez adwokata parę listów z pogrózkami.

— A zatem w porządku. Założmy, że wuj Thomas zostaje z tego wyłączony, my zaś zawrzemy ugode, co załatwi sprawę.

— To by mi było bardzo na rękę. Nie cierpię awanturować się o ten cały kram.

Uśmiech Leona wypadł nieco krzywo.

- Ale jeśli się nie mylę, nie masz nic przeciwko temu, że ojciec uczynił cię bogatą spadkobierczynią?

- Za jego życia nawet nie wiedziałam, że w ogóle ma coś, co mógłby zostawić w spadku.

- Przemilczenie przed tobą tej kwestii nie świadczy za dobrze o waszym związku.

Nie, ani Leonowi, ani Mimi nie uda się wmówienie mi czegoś takiego.

Może nasze małżeństwo nie było doskonałe, ale było to dobre małżeństwo. A to, że Karl ani nie rozwodził się nad kwestiami spadkowymi, ani nie rozmawiał ze mną o wpływach z czynszów czy też kutsach akcji, jedynie dobrze o nim świadczy. Ileż cennego czasu mogliśmy stracić na te sprawy? Cieszyła mnie każda minuta, którą spędziliśmy razem, bez potrzeby rozmawiania o pieniądzach albo o równie nudnych sprawach.

- I tak by mnie to nie obchodziło. Nie byłam tym zainteresowana - wyjaśniłam. - Gdyby to zależało ode mnie, dogadalibyśmy się na samym początku bez konieczności włączania w to prawników. Wówczas oszczędziłbyś sobie, powodowany zemstą, wyrzucania pieniędzy na dr. Hebbinghaus.

- Nie ma mowy o wyrzucaniu pieniędzy z powodu zemsty - wyjaśnił Leon. - Dr Hebbinghaus jest moim szefem. I moim wzorem do naśladowania. Od początku wspomagał mnie i popierał. Tak, można powiedzieć, że był i jest dla mnie ojcem, którego wprawdzie nigdy nie miałem. Za parę lat stanę się jego współnikiem w kancelarii. A tak na marginesie, to też mój przyszły teść.

- Rozumiem. Tym samym masz zapewnioną karierę. W tych okolicznościach ten dobry człowiek chciałby naturalnie, żebyś odziedziczył możliwie jak najwięcej. — Spojrzałam Leonowi w oczy. —

Wspaniale zadbałaś o siebie. Karl cieszyłby się z tego.

— Tak - przyznał, nie odwracając wzroku. — Jestem bardzo szczęśliwy.

- A ja bardzo nieszczęśliwa.

— A co w takim razie z aptekarzem? Odniosłem wrażenie, że aż się palił, żeby cię pocieszyć.

-Aptekarz jest ge... jedynie dobrym przyjacielem. Leonie, czy zamierzasz kiedykolwiek wybaczyć ojcu? Leon upił kolejny łyk kawy.

- Istnieje możliwość, że biżuteria oraz inne wartościowe przedmioty znajdują się w sejfie w willi dziadków.

— Co za marnotrawstwo czasu. Przez całe lata drze się ze sobą koty, a potem nagle jest już zbyt późno, by się pogodzić. Możesz być co najmniej pewien, że Karl nie miał do ciebie o nic żalu. W pełni rozumiał twoją urazę i wieczne pretensje. Całą winę za ten stan teczcy z ochotą wziął na siebie.

- Chodzi tu o bardzo wartościowe klejnoty rodzinne, pochodzące częściowo z osiemnastego wieku. A zegarki Cartiera to okazy kolekcjonerskie.

Poddałam się. Jedynie oczy Leona wyglądały jak oczy Karla. Za nimi jednak kryła się zupełnie inna dusza.

— Tak, coś takiego twierdzi również prawnik wuja Thomasa. Dlaczego zatem jeszcze nie zabrał tych wszystkich — *pardon* — rupieci z sejfu? Albo dlaczego ty tego nie zrobiłaś? Jakkolwiek by było, dom od dawna stoi pusty i dla włamywacza byłaby to nielicha okazja.

- Dlatego należałoby tak szybko, jak to tylko możliwe, skatalogować zawartość sejfu. - Leon odwinął kostkę cukru z papierka i wrzucił ją do pustej filiżanki. Z pewnością wcale nie był taki wyrachowany, za jakiego chciał uchodzić. - Chociaż to wcale nie takie proste: rozpruć cztery centymetry stali i rozebrać mechanizm zamka, którego dziś już nikt nie zna...

— No tak. Ponieważ zaufaliście mi w kwestii skatalogowania magazynu, w rewanżu powierzę ci skatalogowanie zawartości sejfu — powiedziałam. Bolała mnie głowa i chciałam wracać do domu.

— Dawno bym to już zrobił — przyznał Leon. — Lecz sejf zabezpieczony jest hasłem.

— Hasłem? Czy normalnie nie otwiera się tego typu zamków za pomocą kodu cyfrowego?

Leon westchnął.

— Nie w tym przypadku. Ten sejf jest przedpotopowy i można go otworzyć jedynie za pomocą czternastoliterowego hasła. Za życia moich dziadków hasłem był zawsze sok z pomarańczy. Wystarczająco głupie, by nikt na to nie wpadł. Lecz ojciec musiał je zmienić.

— No, no! - Coś mi zaświtało w głowie. Wyjaśniło się też, dlaczego wuj Thomas tak usilnie chciał się dowiedzieć, jakim to pieśczośliwym imieniem Karl zwracał się do mnie. Pieśczośliwe imię złożone z czternastu liter.

— A może wiesz przypadkowo, jak brzmi to hasło?

— Nadal musi mieć wspomniane czternaście liter. Równie dobrze może to być buziak laleczki, co syrop ananasowy. Mój Boże, jeśli się zastanowić, to istnieje niezliczona ilość czternastoliterowych słów lub ich kombinacji. Wszystkie możliwe z wyjątkiem Oer-Erkenschwick.

— Czy mogłabyś wreszcie przestać? - Leon rzucił mi wściekłe spojrzenie.

— Z czym?

— Z tą arogancją. Jakkolwiek by na to patrzeć, to był przecież mój ojciec.

— Ja, arogancka? — Spojrzenie, które rzuciłam Leonowi, było co najmniej równie wściekłe. - A kto tu patrzy na kogo z góry, dlatego tylko, że widzi sińce pod oczami, znoszony płaszcz zimowy i rzekomo tłuste włosy? A tak, tak. I któż to naopowiadał wszystkim ludziom wkoło, że

jestem mitomanką i że z pewnością najwidoczniej znalazłam sobie już kogoś nowego?

- Och, przepraszam, jeśli cię tym obraziłem. Jedyne przypomniałem sobie, jak szybko wdałaś się wówczas w nowy związek. Mieliliśmy drobną sprzeczkę, po której pojechałaś prosto do hotelu mojego ojca, by wskoczyć mu do łóżka.

- Tak wcale nie było. Tu wchodził w grę cały szereg zwykłych przypadków, a potem... - Przerwałam i potarłam skronie.

- A ja głupek sądziłem, że zламаłem ci serce i chciałem następnego dnia zatroszczyć się o ciebie.

-To oczywiście, że wolisz swoją wersję tej historii. Każdy ma swoją prawdę, Karl zawsze to powtarzał.

- Tsss - syknął Leon. - Z pewnością skądś ją ukradł.

- Spojrzał w okno. W pewnym sensie przypominał mi pana Pączkogłowego spotkanego uprzednio w tramwaju. (Prawdziwe nazwisko znowu wyleciało mi z pamięci).

Ostrożnie powiodłam rękami po blacie stołu do punktu, w którym spoczywały dłonie Leona. Leon drgnął, ale pozwolił, bym go dotknęła.

- Nigdy nie chciałam sprawić ci bólu - szepnęłam.

- Zachowałam się wówczas dziecinnie i tchórzliwie. Ale dużo gorsze jest to, że mój związek z Karlem spowodował, że wasze wzajemne relacje stały się jeszcze chłodniejsze.

Znowu te głupie, powstrzymywane z największym trudem lzy.

Leon milczał.

- Przykro mi. Tak bardzo mi przykro - powiedziałam.

Sądziłam, że był to dobry moment na powiedzenie, że jemu też jest przykro. Lecz Leon jedynie potrząsnął głową i stwierdził:

- Na to jest już teraz o wiele za późno.

Cofnęłam ręce i ułożyłam jedną dłoń na drugiej.

- Ale wcale nie jestem na ciebie zły czy cos' w tym stylu. Jest mi cię zwyczajnie żal.

Wpatrywałam się w spienione mleko mojego nietkniętego cappuccino do czasu, aż wreszcie ponownie udało mi się kontrolować napływające do oczu łzy. Wówczas wstałam i założyłam płaszcz.

- Powiem mojemu prawnikowi, żeby wspólnie z twoim teś... prawnikiem podzielili majątek w ten sposób, żebyście dostali wille w Rodenkirchen.

No i oczywiście fortepian.

Musiałam szybko wyjść, by poszukać miejsca, w którym mogłam się spokojnie wypłakać.

- Nie wypijaś kawy.

- Czy mimo to mogłabym cię prosić, byś za nią zapłacił? Z litości, jeśli o mnie chodzi.

To było ostatnie zdanie, które wymówiłam, zanim odwróciłam się na pięcie i uciekłam. Już w drzwiach zaczęłam płakać.

*Fortuna co prawda uśmiecha się,
lecz niechętnie w pełni uszczęśliwia.
Gdy już daruje nam letni dzień,
dołącza do niego komary.*

Wilhelm Busch

To prawda. Zawsze we wszystkim znajdzie się jakiś robak. Z perspektywy czasu kolejne miesiące można szybko streścić w zaledwie kilku zdaniach. Prawda jest taka, że w rzeczywistości każdy dzień ciągnął się w nieskończoność. Spotkanie z Leonem uświadomiło mi, że nie wszystko da się puścić w niepamięć oraz że pewnych spraw nie da się cofnąć. Również wówczas, gdy się przeprosiło i w duchu szczerze żałowało. Zrozumiałam też, że są zaprzepaszczone szanse, które nie trafiają się po raz drugi. Szczególnie jedno stało się dla mnie jasne: śmierć Karła definitywnie uniemożliwiła zbliżenie między nim i dziećmi. Przynajmniej w tym życiu. Nie dało się też zmienić faktu, że miałam w tym swój udział.

W tajemnicy przestałam brać tabletki. Początkowo jedynie na próbę. Odstawienie ich nie wpłynęło ani na popłatwę, ani też na pogorszenie mojego nastroju. Ale za to zmniejszyły się bóle głowy. Natomiast nie zaprzestałam wizyt u pani Karcianodomskiej-Kuracjusz. Głównie dla-

tęgo, że w międzyczasie zdążyłam się do nich przyzwycząić, a ponadto musiałam jakoś zagospodarować sobie czas w ciągu dnia.

W lutym najwidoczniej znowu uczestniczyła w jakimś weekendowym seminarium, gdyż całkowicie zmieniła taktykę sprowadzania mojej psyche na właściwe tory. Obecnie wykorzystywała mnie bezwstydnie, niczym królika doświadczalnego, do wypróbowania nowej rewolucyjnej terapii „codziennie-jakaś-drobna-radość”. W tym celu kładła między nami mnóstwo różowych karteluszek-ków, mówiąc wesoło:

- A teraz wypiszemy sobie wszystkie możliwe drobiazgi, które mogą panią rozweselić. Poczynając od tetaz, zawsze w tych momentach, kiedy poczuje się pani źle, będzie pani brać do ręki karteczkę i robić to, co jest na niej napisane. Zrozumiała pani?

— W zasadzie tak.

- A zatem zaczynamy. - Wzięła pierwszy karteluszek, sięgnęła po długopis i spojrzała na mnie wyczekująco. — Cappuccino z dużą ilością spienionego mleka, cynamonem i cukrem! Prawda? Picie takiej kawy daje uczucie szczęścia!

— Eeehm, tak - potwierdziłam.

Pani Karcianodomska-Kuracjusz napisała zamasyście z zawijasami „Cappuccino”. Po czym znowu spojrzała na mnie promiennie.

— Co jeszcze? Spacer! Brnąć w śniegu, opatulonym w ciepłe ubranie, aż policzki się zaczerwienią, a w krwiobiegu znajdzie się pod dostatkiem tlenu. Tak, to piękna sprawa.

Patrzyłam przez okno, za którym świat tonął w białym puchu. Ta zima zwyczajnie nie miała końca.

Tymczasem pani Karcianodomska-Kuracjusz złapała już kolejną karteczkę.

- *Głaskaćpsa* Prawda? Nic tak nie uspokaja.

W tym momencie pomyślałam o „numerze dwieście czterdziestym trzecim”, wypchanym foksterierze, z którym czasami prowadziłam długie rozmowy. Skinęłam potakująco głową, odnosząc wrażenie, że moja psychote-rapeutka całkowicie o mnie zapomniała.

- Gorąca kąpiel w wannie w lawendowym płynie do kąpeli - aż zachłysnęła się z radości. - Albo jeszcze lepiej w różanym!

Stopniowo zaczęła się całkiem niezłe rozkręcać. Zapisując z pasją kolejne karteluski, wysunęła język między wargi i przesunęła jego koniec do kącika ust.

- *Kupić nową bieliznę, nie przejmując się ceną. Zafundować sobie krótki urlop nad morzem. Biegać boso po piasku. Zobaczyć nowy film z Urną Thurman i cieszyć się, że dostrzega się podobieństwo do niej. Zrobić sobie peeling całego ciała z soli, miodu i oliwy z oliwek, a następnie wziąć zimny prysznic. Wyciągnąć wreszcie od Violi nazwę salonu masażu i ustalić termin wizyty. Pójść na wystawę Hoppera*, zanim się skończy. Porządny seks pojednawczy. Lampka wina przy rozgrzanym piecu kaflowym z równoczesnym masażem stóp. Pójść kupić buty z najlepszą przyjaciółką - ale nie z Tiną! Zrobić z dzieckiem popcorn. Zarządzić podanie śniadania do łóżka... Ach, czyż to nie jest przyjemne? Nie sądzi pani, że już samo planowanie wszystkich tych wspaniałych rzeczy daje poczucie szczęścia?*

- Zapewne - potwierdziłam, zadając sobie w duchu pytanie, dlaczego kasa chorych płaci bez szemrania za coś takiego, odmawiając równocześnie zrefundowania kosztów profesjonalnego wyczyszczenia zębów, na które pozwalałam sobie raz do roku.

1872-1967, amerykański malarz, grafik i ilustrator, jeden z najważniejszych artystów XX wieku w USA (przyp. tłum.).

Gdy nasz czas dobiegł końca, pani Karcianodomska--Kuracjusz wręczyła mi z prawie uroczystą miną paczuszkę karteluszków.

- Proszę bardzo! Życzę wielu godzin niezmaconego szczęścia!

- Eeemhmm, czy nie wolałaby pani zachować ich raczej dla siebie? - zapytałam, na co pani Karcianodomska-Kuracjusz zapewniła mnie:

- Nie, zrobiłam sobie zapas. Te są dla pani. Do następnego spotkania musi pani zrealizować co najmniej dziesięć rzeczy. Obowiązkowo.

Gdy pokazałam Aptekarzowi karteczki, natychmiast wykazał gotowość przyłączenia się do zabawy. Przeczytał karteluszkę pani

Karcianodomskiej-Kuracjusz, podnosząc od czasu do czasu rozbawiony wzrok.

- No tak. Pójdziemy do kina i będziemy się cieszyć, że jesteś podobna do Urny Thurman. Albo, nieee, mam lepszy pomysł. Pójdziemy z dzieckiem — ups, z jakim dzieckiem? - do zoo i obejrzymy sobie małe słońka. A potem posprzątam garaż. Juhuuu! Albo nie - przy tej pogodzie zostaniemy lepiej w domu, wypijemy lampkę wina przy rozgrzanym piecu kaflowym i wymasujemy sobie stopy. Po czym odstawimy naprawdę porządny pojednawczy seks.

- Masz piec kaflowy?

- Niestety, nie. Ale za to mam dobre czerwone wino. A jeśli chodzi o pojednawczy seks, to wpiery musielibyśmy się porządnie pokłócić. A przede wszystkim musiałbyś nie być gejem, pomyślałam z lekkim żalem. Zaczynało mi brakować seksu, z czego nie zwierzyłam się pani Karcianodomskiej-Kuracjusz (gdyż była jedynie moją psychoterapeutką), ale za to Mimi.

- Naturalnie, że ci tego brak - powiedziała Mimi. - Seks jest przecież podstawową potrzebą człowieka wymagającą zaspokojenia. Osobiście będę go potrzebować

nawet w wieku stu lat. Wprawdzie powiedziałam sobie, że przez pewien czas trzeba o tym zapomnieć, nosząc dziecko. I muszę przyznać, że seks wcale nie jest taki ekscytujący, gdy przez cały czas myśli się jedynie o tym, żeby nie obrzygać partnera od stóp do głowy.

Biedna Mimi cały czas walczyła z mdłościami, starając się nie wymiotować, co sprawiło, że jej przyjaciółki ze sklepu od razu się zorientowały, co się święci.

-To tylko grypa jelitowo-żołądkowa — zapewniała Mimi, spoglądając znacząco na dziecko Trudi. - Zaraźliwa infekcja.

- Bzdura. - Trudi nie dała się nabrać. - Jesteś w ciąży! Masz dwa razy większy biust niż normalnie.

Siedziałam na czerwonej sofie, zajęta przymierzaniem pary butów Santiniego z nowej kolekcji wiosennej. Stłumiłam uśmiech.

- To tylko biustonosz z wkładką - powiedziała Mimi.

- Och, przestań ściemniać, Mimi! Przecież widzimy, co się święci! - powiedziała Constanze. - Poza tym widziałam, jak kupowałeś w aptece dziesięć testów ciążowych. Nie mówiąc już, że zawsze się uśmiechasz, gdy wychodzisz z toalety.

- Przecież chcemy się cieszyć razem z tobą! - zapewniła Trudi.

- Ze mną? - zdziwiła się Mimi. - Ale ja wcale się nie cieszę. Jeśli piśnecie komukolwiek słówko, pomorduję was. Doskonale pamiętam, jak się czułam, gdy straciłam Ninę-Louise. Nie mam ochoty ponownie przyjmować kondolencji od całej okolicy. Jasne?

- Jasne jak słońce - potwierdziła Trudi. - Och, możesz dostać wszystkie rzeczy po moim dziecku...

- Nie, nie, nie i raz jeszcze nie! - Mimi oparła ręce na biodrach. - Żadnych rozmów o dzieciach, absolutnie żadnych. Zachowujemy się zupełnie normalnie, rozumiano?

— Jak długo?

-Aż do końca. Jeśli coś wyjdzie, chciałam powiedzieć.

— Naturalnie, że...

— Zamknij się!! — wrzasnęła Mimi. — Czy nie dotarło do was, co powiedziałam?

— Dotarło, dotarło - potwierdziły wszystkie zgodnym chórem. Lecz już następnego dnia - przypadkowo znowu byłam w sklepie, gdyż nie mogłam się zdecydować, czy kupić buty brązowe, czy czarne - Constanze przywlokła dwupiętrowy tort, którego połowa oblana była jasnoniebieskim, a druga różowym lukrem. W środku zaś umieszczony był biały napis: „It's a baby!”.

Gdy Constanze zobaczyła wyraz twarzy Mimi, nabrała obawy, że cały tort — pulchniutkie biszkoptowe marzenie z jagodowym i poziomkowym kremem — wyląduje na ścianie.

— To nie dla *twojego* dziecka — zauważyła przytomnie, ratując tort z opresji. - Tylko dla, eeehhh, całkiem innego dzieciaka.

— Ach tak. Dla jakiego zatem? — zapytała groźnie Mimi.

— No, dla mojego.

— Jesteś w ciąży?

Constanze podniosła tort do góry, tak że znalazł się poza zasięgiem rąk Mimi.

— Jeszcze nie, ale postanowiliśmy z Antonem, że nie będziemy już stosować żadnych środków antykoncepcyjnych i zdamy się na los.

— A zatem nie ma żadnego innego dziecka, na cześć którego upieczono ten tort? - Mimi zmrużyła oczy, starając się wyglądać możliwie jak najgroźniej.

— Nie można tego tak ująć, gdyż dziś w nocy kochaliśmy się bez żadnego zabezpieczenia i właśnie teraz

gdzieś w środku może powstawać dziecko. I właśnie dla tego dziecka przeznaczony jest mój tort. I nie masz prawa protestować. Przyniosłam też szampana, gdyż trzeba to uczcić. Chcę ci tym samym udowodnić, że dziecko może być powodem do radości nawet wówczas, gdy jeszcze nie zostało poczęte. Właśnie tak.

Mimi warknęła coś niezrozumiałego, ale w tym właśnie momencie pojawiła się klientka i tort pozostał nietknięty. To znaczy do chwili, w której Constanze pokroiła go i rozdzieliła. To był naprawdę najsmaczniejszy tort na świecie. Zapytałam, czy mogę zanieść dwa kawałki Aptekarzowi po drugiej stronie ulicy. Constanze nie miała nic przeciw temu. Justus ucieszył się, widząc mnie wchodzącą z tortem.

- Wreszcie ktoś normalny — zauważył. - Dziś zjawiali się tu wyłącznie wariaci albo perwersyjni zбочeńcy. Prawda, Janino?

Jego farmaceutyczno-techniczna asystentka spojrzała na tort z utęsknieniem zmieszonym z zachwytem.

- Och, czyżby własnego wypieku?

Schlebiało mi, że nie zaliczono mnie ani do grupy wariatów, ani też perwersyjnych zбочeńców. Było to zupełnie nowe doznanie. Do apteki ponownie wszedł jeden z tych stukniętych narwańców — młoda kobieta, która pewnym krokiem zmierzała w kierunku lady.

— Poproszę paprykę, ostrą, kmin rzymski, oregano i estragon - powiedziała, na co Aptekacz zaczął wywracać oczami, podczas gdy Janina wyjaśniała z anielską cierpliwością, że niestety, nie prowadzą sprzedaży przypraw.

- Ale przecież jesteście *aptekał* — zawołała z oburzeniem.

— A ty czerwonym omnibusem — wymruczał Justus.

— Zgadza się, jesteśmy apteką i dlatego nie prowadzimy przypraw—wyjaśniała Janina nieziemsko spokojnym tonem.

- Uważam to wręcz za karygodne. I coś takiego mówi mi pani, ot tak, prosto w oczy! Zupełnie jakby była

pani dumna z takiego niedbalstwa. - Kobieta odwróciła się na pięcie i opuściła sklep.

- Prawdopodobnie pójdzie teraz naprzeciwko, do sklepu z butami. Mam nadzieję, że sprzedajecie również estragon? - Justus uśmiechnął się do mnie. - W czym mógłbym ci pomóc?

- Nie potrafię się zdecydować, jakie buty powinnam kupić - czarne czy brązowe.

- Och, to naprawdę spory problem. Janino, czy dasz sobie radę beze mnie przez parę minut?

Janina przytaknęła z ustami pełnymi tonu.

W Bucikach&Klepcikach patrzono na Aptekarza z ciekawością, gdyż opowiedziałam wszystkim o moim nowym przyjacielu geju, co wzbudziło niewielką zazdrość. Przede wszystkim ze względu na korzystny dostęp do produktów *La Mer*.

Trudi natomiast była zdania, że Aptekarz w żadnym przypadku nie jest gejem, gdyż osobiście dobrze znała jego byłą dziewczynę, która swego czasu uczęszczała na prowadzony przez nią kurs terapii oddechowej.

- Nie, to wykluczone — upierałam się, a Mimi w pełni się ze mną zgadzała. - Trudi, on ma w sobie coś z geja, a nawet ma na nazwisko *Detlefsen*.

Constanze zaś uważała, że tam, skąd pochodzi, bardzo wiele osób nosi nazwisko Detlefsen i żadna z nich nie jest gejem.

- Ale ten tutaj z pewnością jest - obstawałam przy swoim i na poparcie mego twierdzenia opowiedziałam, jak malował mi paznokcie u nóg. Na fioletowo.

Ten argument przekonał Constanze, czego nie można było powiedzieć o Trudi.

- A więc po pierwsze, uważam to za dyskryminujące. Dlaczegoż to heteroseksualni mężczyźni nie mogą lakierować kobiecie paznokci? A po drugie, doskonale

pamiętam jego była dziewczynę. Całe wieki walczyliśmy, nim wreszcie udało nam się usunąć aptekarza z brzucha za pomocą terapii oddechowej.

— To musiał być zupełnie inny aptekarz - upierałam się przy swoim.

— Ale nie był. Chodziło o tego - stwierdziła autorytatywnie Trudi. - Wiem dokładnie.

— Lecz ten jest gejem.

-Ale wówczas nie był! - Trudi twardo obstawała przy swoim.

Gdy Justus wszedł do sklepu, Trudi wzięła dziecko i zaczęła przyglądać mu się badawczo, dając mi dziwaczne znaki za jego plecami.

— O co chodzi? — zapytałam szeptem.

— To nie gej — wyszeptała w odpowiedzi.

— Dlaczego nie?

— Bo *nie porusza* się jak gej - szepnęła Trudi.

— Co proszę? — zapytał Justus.

— Mówię, że gaje jeszcze się nie zazieleniły — powiedziała Trudi na cały głos.

— Jak mogły się zazielenić? - zdziwił się Justus. - Przecież mamy minus osiem stopni. Więc gdzie są te buty?

Pokazałam mu.

— Hmm. - Justus najpierw obejrzał czarne. - Znowu czarne? Uważam, że są bardzo podobne do tych, które już masz.

— Och. Masz rację. A zatem wezmę brązowe.

— Brązowe są bardzo ładne. Ale tak naprawdę to do czego chcesz je nosić? Przecież nie masz nic brązowego. I na twoim miejscu nie kupowałbym niczego w tym kolorze. Brąz zdecydowanie nie jest twoim kolorem. Za nudny dla ciebie.

Spojrzałam znacząco na Trudi. No? W dalszym ciągu uważasz, że to nie gej?

Wiara Trudi już nie była taka mocna, ale ostatecznie skapitulowała dopiero wówczas, gdy Aptekarz złapał parę fioletowych czółenek i oznajmił:

— A co sądzisz o tych? Te są moim zdaniem po prostu odlotowe.

- Skoro tak mówisz! - Posłałam Trudi tryumfalny uśmiech. - Ile kosztują? Ach, i tak wszystko jedno. Biotę je. W końcu jestem bogatą spadkobierczynią.

Co prawda na spadek trzeba będzie jeszcze długo poczekać. Wyglądało na to, że prawnikom wcale się nie spieszyło, podobnie zresztą jak mnie. A poza tym listy adwokata wuja Thomasa powodowały przeciąganie się sprawy w nieskończoność. W ten sposób minął luty i pierwsza połowa marca, nie przynosząc żadnych istotnych zmian. Uniwersytet w St. Gallen, wciąż czekający na moje dzieło kończące studia, w dalszym ciągu otrzymywał zaświadczenia o mojej niezdolności do pracy. Sympatyczna agentka nieruchomości nie potrafiła, mimo ogromnych starań, znaleźć dla mnie dwupokojowego mieszkania z kominkiem. Mimi nadal była w ciąży i nadal też okropnie zrzędziła. Pani Karcianodomska-Kuracjusz co tydzień powtarzała, że musimy popracować nad ustaleniem, czego tak naprawdę chcę od życia, szczególnie na płaszczyźnie zawodowej, nie robiąc równocześnie niestety nic, by wpaść na trop tej tajemnicy. (I tak nie spodziewałam się po niej niczego innego).

Ale za to wspaniale funkcjonowała terapia różowych karteluszków. Zawsze mogłam wykazać się dziesięcioma czynnościami, które czyniły mnie szczęśliwą, co najmniej w czasie ich wykonywania. (No tak, „szczęśliwą” to raczej *lekko* przesadzone określenie). Ponownie zaczęłam czytać książki. Częściej piłam cappuccino. Grałam na mandolinie. Constanze i Trudi zabierały mnie w zastępstwie Mimi dwa razy w tygodniu na jogging.

No i spędzałam też niemało czasu z Aptekarzem. Początkowo razem chodziliśmy do kina. A potem po prostu zwyczajnie się spotykaliśmy. Czasami chodziliśmy gdzieś, napić się. A czasami siedzieliśmy na kanapie, oglądając niemiecką edycję *Next Top Model* (Tego nie wolno mi było oglądać u Mimi i Ronniego, gdyż siostra twierdziła, że program ten powoduje obumieranie komórek mózgowych).

Aptekarz mieszkał w bardzo pięknie (no jasne!) urządzonej mieszkanie nad apteką, małym, ale jasnym, z ogrzewaniem podłogowym, oknem w łazience i dużym balkonem na tyłach domu. I mimo braku kominka byłoby to dla mnie naprawdę absolutnie wymarzone lokum.

Z Justusem można było sobie bardzo fajnie porozmawiać. Dużo lepiej niż z panią Karcianodomską-Kuracjusz, a nawet lepiej niż z Mimi (której obecnie zdecydowanie odbiło i która przez cały czas nie spuszczała z oczu toalety, co sprawiało, że nie była najuważniejszą słuchaczką).

Opowiedziałam mu wszystko o Karlu, Leonie i swoim dzieciństwie, kiedy to przeżywano mnie Albertą Einstein. W te wspaniale opowiedział mi o swoim zbyt surowym ojcu, o uzależnionym od alkoholu młodszym bracie i matce, która zmarła, gdy Justus był zaledwie czternastolatkiem. (Co wyjaśniało pochodzenie jego opiekuńczego kompleksu). Aptekę przejął po ojcu, zaledwie w ubiegłym roku, wraz z ogromną ilością starych zobowiązań, z którymi musiał się teraz zmagać. A do tego jeszcze dochodziły kłopoty z urzędem skarbowym. Weszło nam w nawyk sięganie po szczególnie ponurych rozmowach po różowe karteluszki pani Karcianodomskiej-Kuracjusz, w których grzebaliśmy zapamiętane celem poprawienia sobie nastroju i natychmiastowego zrobienia jednej spośród zapisanych na nich z rzeczy.

Justus był zdania, że dzięki nowej metodzie terapeutycznej pani Karcianodomskiej-Kuracjusz czuje się o wiele lepiej. Szczególnie karteczka „*W końcu powiedzieć Tinie,*

co się sądzi" posunęła do przodu jego duchowy rozwój o całe lata świetlne.

— Czyżbyś stosował tę terapię również beze mnie? — zapytałam. - To nie w porządku.

-Ty też jedziesz beze mnie nad morze — zauważył, co wywołało moje westchnienie i zapomniałam zapytać, kim jest Tina.

Mama zaprosiła mnie na czternastodniową wycieczkę na Majorkę - w czasie kwitnięcia migdałowców. Ale po pierwsze, gdy zjawiłyśmy się na wyspie, migdałowce dawno już przekwitły. A po drugie, moja szwagierka, Piła Tarczowa, i jej córka, Eliane, pojechały razem z nami, o czym nie wiedziałam (w przeciwnym razie nie przyjąłabym zaproszenia). Mama twierdziła, że sama dowiedziała się o tym dosłownie w ostatniej minucie.

- Chciała sprawić nam niespodziankę - wysyczała mi do ucha, gdy na pojawienie się niespodzianki na lotnisku nie zareagowałam ze stosownym zachwytem, lecz jedynie dość obcesowym zapytaniem: - Ale chyba nie będziecie mieszkać w tym samym hotelu, co my? (W gruncie rzeczy było to zgoła retoryczne pytanie).

- To będzie cudowny, migdałowy urlop - rozpływała się Piła Tarczowa, niemająca żadnej przyjaciółki, a już tym bardziej przyjaciela geja, co w zasadzie powinno wzbudzać współczucie u ludzi o nieco mniej twardych sercach niż moje. - Wszystkie cztery kupimy sobie te same ciuchy, wprawiając całą wyspę w konsternację.

— Dla towarzystwa Cygan dał się powiesić — szepnęła matka, popychając mnie bezlitośnie w stronę barierek.

No cóż, muszę przyznać, że z pewnością zdarzają się w życiu gorsze rzeczy niż wyjazd wiosną do pięciogwiazdkowego hotelu na jedną z wysp Morza Śródziemnego. Po długiej, mroźnej zimie w Niemczech słońce, dużo zieleni

i ciepłe powietrze były po prostu cudowną odmianą.

A gdy Piła Tarczowa zaczynała mi prawić swoje niekończące się kazania (Czy wiesz, że w gruncie rzeczy wcale nie jest za późno na to, byś poznała kolejnego mężczyznę i miała z nim dziecko, które nadałoby sens twojemu życiu. Tylko biednej Mimi musi być bardzo ciężko - teraz, gdy zbliża się już do czterdziestki, zapewne czuje się opuszczona i pokarana przez Boga...), błędziłam wzrokiem po horyzoncie, obliczając w pamięci pierwiastek kwadratowy z czterystu dwudziestu trzech tysięcy dwustu z dokładnością do trzech miejsc po przecinku.

Moja bratanica, Eliane (Boże, czy na jej widok ludziom nie otwierają się serca?) ku mojej ogromnej uldze przestała zjadać swoje babole, ale za to chciała bez przerwy zaplatać mi warkocze i natychmiast zaczynała beczeć, gdy po dwóch godzinach grzebania w moich włosach chciałam wreszcie mieć głowę wyłącznie dla siebie. (Proszę, Eliane, nie płacz. Możesz przecież zapleść warkocze babci. Babcia siedzi bardzo spokojnie. Mówiłam ci już, że ciotka Carolin nie lubi dzieci, bo sama ich nie ma i nie ma też pojęcia, co to znaczy mieć do czynienia z łatwą do zranienia, malutką dziecięcą duszyczką).

Czasami, gdy Piła Tarczowa udawała się z Eliane do toalety, ułatwialiśmy się z mamą, by spędzić parę godzin tylko we dwie. Były to zdecydowanie najbardziej relaksujące i spokojne godziny urlopu. Gdy wróciliśmy po dwóch tygodniach, w Niemczech widać już było pierwsze oznaki wiosny.

Kłamiąc, zawsze ma się na myśli prawdę.

Oliver Hassenkamp

Pani Karcianodomska-Kuracjusz rozpoczęła dietę odchudzającą, co sprawiło, że była w paskudnym humorze.

- Już wystarczająco długo dreptałyśmy w miejscu -oznajmiła. - Dziś wreszcie zajmiemy się ciemną stroną pani małżeństwa.

- Co takiego?

- Niechże pani da spokój, Carolin. To całkiem normalne w przypadku śmierci. Najpierw dosttzeza się jedynie to, co się straciło. Lecz po pewnym czasie powinno się być w stanie również zauważyć, co się zyskało. A w pani przypadku jest to... no, co takiego?

- Pieniądze?

- Przecież nie to miałam na myśli! - Pani Karcianodomska-Kuracjusz pokręciła rozgniewana głową. - Miałam na myśli: wolność! Teraz, gdy pani dużo starszy, dominujący i egoistyczny mąż nie żyje, może pani wreszcie swobodnie robić, co tylko się pani podoba.

Ta kobieta naprawdę była skończoną idiotką. Zawsze to wiedziałam. A teraz miała jeszcze na dodatek hipoglikemię, co w sumie oznaczało, że z każdą minutą będzie coraz bardziej zrzędlawa.

- Pani okres ochronny się skończył - oznajmiła. Pośpiesznie zwróciłam jej uwagę na trzydzieści cztery

uszcześliwiające momenty w tym tygodniu. Dwadzieścia, jeśli nie liczyć cappuccino. Lecz pani Karcianodomska-Kuracjusz jedynie machnęła ręką.

- Nie może pani przez cały dzień wyłącznie się wynagradzać! Zresztą za co? Za to, że w ogóle pani wstała?

- Eeehhh - tak?

- Czy zdaje sobie pani w ogóle sprawę, ile kalorii ma takie cappuccino z cukrem? Tyle, co pełny, wielodaniowy obiad! - Pochyliła się i spojrzała na mnie znad biurka wyraźnie rozdrażniona. - Od jak dawna już przychodzi pani do mnie? Czy to ma trwać wiecznie? Czy może pani wskazać mi jakieś rezultaty? Nie! W dalszym ciągu siedzi pani siostrze na karku. Sprawa spadkowa dalej pozostaje niewyjaśniona. Pani zaś wciąż nie ma zielonego pojęcia, co chciałaby robić zawodowo. Tak przecież dalej być nie może.

Cóż, w drugą stronę obowiązuje dokładnie ta sama zasada. Zawsze zachowuje się pani zatrwając nieprofesjonalnie, odnosi wszystko do własnej osoby i bez przerwy odgarnia sobie pani włosy z czoła.

Pani Karcianodomska-Kuracjusz wygrzebała z szuflady torebkę cukierków i położyła ją przed sobą na blacie biurka.

- Czy to nie dziwne, że rzeczy, o których wiadomo, że nie mają kalorii, wcale nie smakują? Nie mówiąc o tym, że wcale nie zaspokajają głodu. Wszystko jedno, dziś sporządzimy listę spraw, które musi pani pilnie załatwić jeszcze w tym tygodniu. Mieszkanie! Spadek! Praca! - Zlustrowała krytycznie moją grzywkę. - I jeśli chodzi o mnie, fryzjer!

- Co proszę? Wszystko w tym tygodniu?

- Niechże pani wreszcie przestanie, Carolin. Jest pani zupełnie zdrowa! Nie może pani ciągle uciekać od prawdziwego życia. - Powiedziawszy to, westchnęła, po czym wsunęła do ust dietetyczny cukierek.

- Ma rację - stwierdził Aptekacz, gdy poskarżyłam mu się na swoją nieudolną i do tego głupią jak but psy-choterapeutkę. - Jestem zdania, że do niczego się nie nadaje, a to, co powiedziała o Karlu, jest absolutną bzdurą. Lecz poza tym miała rację. Na co jeszcze czekasz?

- No tak, nie mogłam wiedzieć, że znalezienie mieszkania z gymsem kominkowym jest aż takie trudne - zaczęłam. - I czy to moja wina, że sprawa spadkowa ciągnie się tak długo? Przecież nic nie mogę zrobić, gdyż prawnik wuja Thomasa pisze jeden list za drugim. A jeśli chodzi o pracę magisterską...

-Tak?

- No, szczerze powiedziawszy, nie przychodzi mi do głowy żadna wymówka. Mogłabym ją skończyć.

- A więc skończ. Dostaniesz dyplom ukończenia studiów, który z pewnością ułatwi ci znalezienie pracy. Wówczas zatrudnię cię jako swoją prywatną rewidentkę

i doradczynię w sprawach finansowych, gdyż obecnie nie jestem już w stanie zapanować nad księgowością i znowu straciłem kontrolę nad rachunkami. - Westchnął.

Pogłaskałam go po ramieniu.

- Justus, przecież nie możesz sobie pozwolić na żadnego rewidenta, nie wspominając już o doradcy finansowym. Ale chętnie pomogę ci za darmo. Liczenie to moja specjalność.

Rzeczywiście zostawałam coraz częściej w aptece, by doprowadzić księgowość Justusa do porządku. W ostatnich latach przed przekazaniem interesu jego ojciec prowadził firmę bardzo niechlujnie, w wyniku czego powstał

szereg zaległości w stosunku do urzędu skarbowego, które nieustannie przyprawiały Justusa o bóle głowy. Gdy pobieżnie wyrobiłam sobie pogląd na stan jego ksiąg, poradziłam mu, by zmienił doradcę podatkowego oraz biuro rachunkowe.

- Ale oni robią to już od dwudziestu lat - powiedział Justus.

-Tak, i już od dwudziestu lat partaczą sprawę -uświadomiłam mu. -
Posłuchaj mnie! Dokładnie jak ty wiesz, jakie buty są dla mnie najbardziej odpowiednie, tak ja z całą pewnością wiem, jak możemy twoją aptekę zmienić w kopalnię pieniędzy.

Justus posłuchał mojej rady i zatrudnił tego samego księgowego oraz doradcę podatkowego, co Mimi i Constanze w Bucikach&Klepcikach. Natomiast ja w rewanżu przemogłam się i powiedziałam agentce od nieruchomości, że byłabym gotowa rozważyć również mieszkanie bez kominka, co bardzo ją ucieszyło. W czasie czterech dni obejrzałyśmy siedem mieszkań. A że zarówno Mimi, jak i Aptekarz byli zdania, że studio na ostatniej kondygnacji z dużym tarasem i ogniście czerwoną, nowoczesną kuchnią zabudowaną na wymiar stanowi dla mnie absolutnie perfekcyjne rozwiązanie, podpisałam umowę najmu z datą pierwszy czerwca. Wprawdzie był to jeszcze dość odległy termin, ale do tego czasu będę musiała załatwić cały szereg spraw. Na przykład kupić łóżko. Moje przyszłe mieszkanie znajdowało się przy ulicy Bzygów, niedaleko domu Mimi.

- Gdy dziecko będzie wrzeszczeć, zapewne je usłyszę - powiedziałam w zamyśleniu, na co Mimi wyjątkowo nie zareagowała wrzaskiem w stylu: „Co *takiego!* Sądziłam, że wszyscy pojęli obowiązujące reguły!", lecz złapała się za brzuch, krzycząc:

- Kopnęło mnie!

Pomimo że było to strzelenie gola do własnej bramki, nie zareagowałam słowami: „Co takiego cię kopnęło? Sądziłam, że wszyscy pojęli obowiązujące reguły!", lecz przycisnęłam dłoń do jej brzucha i też poczułam, że mała śliwka się poruszyła.

Wszystko szło jakoś do przodu.

W biurze, na zapleczu apteki, ponownie zaczęłam pisać swoją pracę magisterską, gdyż było tam spokojnie i wygodnie. Poza tym nie było kotów wskakujących na klawiaturę, gdy tylko zaczynałam pisać. Od czasu do czasu pomagałam też przez parę minut w sklepie, gdy naraz zjawilo się dużo klientów lub gdy Janina albo Justus musieli zrobić sobie przerwę. Polubiłam aptekę. Lubiłam cichy szmer wysuwanych z szaf szuflad pełnych lekarstw. Lubiłam potządek panujący w szafach. Lubiłam też skomplikowane nazwy leków i substancji czynnych - uważałam, że niektóre z nich brzmią niczym poematy, gdy się je wymieniało jedno po drugim. Na chlorowodorku ksylometazoliny można sobie było przecież połamać język.

Jeśli chodzi o klientów, to przeważnie miałam szczęście. Wariaci i zboczeńcy zwracali się zawsze do Janiny. Tylko raz nadziałam się na kobietę, która chciała test ciążowy działający również podczas miesiączki.

Dobrze rozumiałyśmy się z Janiną, farmaceutyczno-techniczną asystentką. Do tego stopnia, że nawet zaprosiła mnie na swój ślub.

- Byłoby naprawdę świetnie, gdybyś przyszła. Wówczas Justus nie byłby sam. Poza moją niemożliwą kuzynką, Franciszką, nikt nie będzie solo na weselu.

-Również zaden przystojny kuzyn? - zapytałam, mrugając do Justusa, zajętego sortowaniem lekarstw, które nadeszły w nowej dostawie.

- Nie - zaprzeczyła Janina. - Wszyscy kuzyni albo są już zajęci, albo to geje. Przykro mi.

- Ale w takim razie byłoby to dokładnie... - W tym momencie rozległ się dzwonek do drzwi. Nie wierzyłam własnym oczom: do apteki wkroczył wuj Thomas we własnej osobie. Natychmiast go poznałam, gdyż przez te półtora roku niewiele się zmienił. Jedynie powiększyły mu się worki pod oczami.

- No, no, no, a kogóż my tu mamy? - powiedział wesoło. - Moją najukochańszą była szwagierkę!

Tkwiający między szafami Justus rzucił mi pytające spojrzenie.

- W porządku - uspokoiłam go. - Sama mogę to załatwić.

- Pomyślałem sobie, że skoro góra nie przyszła do proroka, to w takim razie prorok musi przyjść do góry, prawda? - Wuj Thomas zwrócił się do mnie. - Twoja siostra powiedziała mi, że prawdopodobnie tu będziesz. A tak na marginesie, ostra sztuka z tej twojej siostry. Może tylko trochę za tęga w talii.

- Czego pan chce?

- W zasadzie chciałem z tobą porozmawiać, moja droga. Ale skoro już tu jestem, mogę przy okazji kupić też moje tabletki. - Dla odmiany zwrócił się do Janiny. - Chciałbym dwa opakowania diazepamu, słodziuteńka. Jak do tej pory nie zauważyłam, żeby wuj Thomas był fetyszystą pieśczętliwych zdrobnień.

- W takim razie poproszę o receptę - powiedziała Janina, na co wuj Thomas się roześmiał.

- Niestety, nie mam przy sobie. Ale później ją doniosę, dobrze? A tak na marginesie, jestem producentem filmowym i gdy tak patrzę na twoją twarz, widzę naprawdę duży potencjał. Czy myślałaś kiedyś o tym, by zostać aktorką?

- Przykro mi, ale bez recepty nie możemy...

- Tak, tak, tak - przerwał jej. - Kiepska firma. I zapomnij o aktorstwie. Jesteś o wiele za stąta, by móc jeszcze coś zdziałać w tej branży.

Ponownie odwrócił się do mnie, a na jego twarzy pojawił się obleśny uśmiech.

- A zatem była szwagierko, jak to wygląda? Wygląda to tak, jakbyś był uzależnionym od narkotyków nieudacznikiem.

- Co pan ma na myśli? Czego pan tu szuka? Czy przyszedł pan po to, by poodkurzać leki przeciwłękowe wydawane wyłącznie na recepty? - zapytałam.

Stojący między szafami Justus uniósł w górę brwi. Uśmiechnęłam się do niego. Uznałam, że słowo to jest zbyt piękne, by go nie wprowadzić go do obiegu.

- Chciałem ci raz jeszcze zaproponować pewną transakcję — powiedział wuj Thomas. — Zanim pójdę do sądu. - Wyciągnął z kieszeni marynarki kartkę papieru i trzymał ją w powietrzu. - Z tym mianowicie napisanym odręcznie testamentem mojej ukochanej, zmarłej ciotki Jutty.

A że w tym właśnie momencie wszedł do apteki cały pułk klientów, zdecydowałam się kontynuować rozmowę z wujem Thomasem na chodniku. Justus zamierzał podążyć za nami, na co potrząsnęłam głową. Sama byłam w stanie załatwić tę sprawę.

- Tu wszystko jest napisane czarno na białym — wuj Thomas kontynuował rozmowę na zewnątrz przed apteką. - *W przypadku mojej śmierci chciałabym, żeby wszystko, co posiadam, dostał mój kochany Tommi.* Czy nie jest to wzruszające? Zawsze byliśmy ze sobą tak blisko, pocziwa cioteczka i ja. To pochodzi wprawdzie z 2002 roku, ale ten fakt nie ma nic do rzeczy, gdyż wówczas ciotka była w pełni sił umysłowych. Każdy grafolog będzie musiał

uznać autentyczność tego dokumentu. Mam kupę listów mogących służyć za wzory do porównań.

— Aha - powiedziałam. Wuj Thomas w dalszym ciągu miał zwyczaj oblizywania warg przy mówieniu. I najprawdopodobniej jego pseudologia poczyniła dalsze postępy. - To bardzo uprzejme z pana strony, że ostrzega mnie pan zawczasu, zanim jeszcze złożę pan skargę. Wuj Thomas westchnął dramatycznie.

— Ale wyłącznie dlatego, że mam po dziurki w nosie tej niekończącej się sprzeczki. I dlatego, że po prostu chcę nam wszystkim zaoszczędzić kosztów. Wiadomo przecież, że skorzystają na tym w końcu jedynie prawnicy, biegli i sądy. Czy chcemy tego, była szwagierko? Czy naprawdę tego chcemy?

— Nie. Ale wydaje mi się, że nie do końca zrozumiałam pańską kontrpropozycję.

Wuj Thomas oparł się nonszalancko o latarnię uliczną.

— Przecież już ci mówiłem, że te teczki mają dla mnie właściwie bardziej wartość sentymentalną. I że niektóre z nich, te szczególnie leżące mi na sercu, stanowią spadek po ciotce Jucie. Na przykład tabakierka, parę obrazów, zegarki Cartiera...

— ..które należały do pańskiego ojca...

— ..tak, a być może także żyrandol, który podziwiałem jako dziecko. Nie musisz też nic mówić o tym Leonowi ani moim uroczym bratanicom. Te małe, pazerne na pieniądze zmije tak czy siak i bez tego mają zapewnioną dostatnią przyszłość i wykołują cię, gdy tylko będą mogły. Możesz dać mi po prostu te teczki i rozejdziemy się w spokoju, by dożyć szczęśliwie końca naszych dni.

Zachowywałam się tak, jakbym poważnie się zastanawiała nad jego propozycją. Tymczasem wuj Thomas obserwował mnie czujnym wzrokiem.

— Ale jest przecież jeden problem - zauważyłam. -Do dziś nie odnaleziono tabakierki, zegarków i biżuterii.

— Zgadza się, ale mam dla ciebie dobrą wiadomość. *Przypadkowo* wiem, gdzie one są.

Och, nie.

— Mianowicie w sejfie w domu moich rodziców. Zabezpieczone czternastoliterowym hasłem. Tak się głupio złożyło, że firma, która ten kretyński sejf zabetonowała w piwnicy o grubych murach, nie istnieje już od czterdziestu lat. I, co jeszcze bardziej idiotyczne, w całej Nadrenii Północnej-Westfalii nie ma ani jednego warsztatu dorabiającego klucze, który potrafiłby otworzyć ten zamek.

— Dzwonił pan do takiego *warsztatu*, by włamać się do sejfu?

Wuj Thomas wzruszył ramionami.

— Przynajmniej warto było spróbować. Założę się, że mój uroczy bratanek postąpił dokładnie tak samo. A że cały czas ma na oku ten sejf, musiałem ze swojej strony posłużyć się palnikiem gazowym. Wówczas ten przewrotny bękart założył alarm, zabezpieczający dom niczym Pałac Buckingham. Dlatego mój plan włamania się do sejfu spalił na panewce. - Roześmiał się głupio. - To był, ma się rozumieć, jedynie żart. Ale bądźmy szczerzy — mając tylko zawartość tego sejfu, można żyć spokojnie i w dostatku aż do śmierci.

— Och. A zatem z pewnością dobrze by było poznać hasło, prawda?

Język wuja Thomasa poruszał się niespokojnie po wargach to w jedną, to w drugą stronę.

— Znasz może to hasło?

Zachowywałam się tak, jakbym w myślach sylabizowała słowo, odliczając przy tym na palcach kolejne litery. W końcu przytaknęłam.

- Czternaście liter, tak. Karl używał tylko jednego i zawsze tego samego hasła. Z tej prostej przyczyny, że nie był w stanie zapamiętać żadnego innego.

Wuj Thomas wydał z siebie iście piekielny okrzyk.

- Och! Mój! Boże! Upadłbym na kolana i całowałbym twoje stopy, gdybym się nie obawiał, że pobrudzę sobie spodnie! Znasz hasło! Ona zna hasło!

- Oczywiście, że znam - potwierdziłam, nie mogąc się powstrzymać od dodania: - Dlaczego po prostu nie zapytał mnie pan o nie? Mogłam to panu już dawno powiedzieć.

Wuj Thomas sprawiał wrażenie, jakby został spoliczkowany.

-Tak, dlaczego tego nie zrobiłem? Ale przecież nie jest jeszcze za późno. Teraz możemy wreszcie otworzyć ten piekielny sejf i podzielić się jego zawartością!

Potrząsnęłam głową.

- Prawdę mówiąc, nie chcę nic z tego, co tam leży. Cały ten spadek to dla mnie zbyt duże obciążenie.

Wuj Thomas wlepił we mnie ogłupiały wzrok.

- Naprawdę? No to w takim razie jeszcze lepiej. Chcę przez to powiedzieć, że cię rozumiem. Tak, pieniądze to tylko obciążenie i... Jesteś przecież jeszcze taka młoda i piękna. .. Żaden problem, mogę się tym zająć zupełnie sam.

Nad wytaz wielka bezinteresowność.

- A co z Leonem, Helen i Corinne?

- A co to ma do rzeczy? Nie, nie, nie, Leon i te dwie blond bestie nie muszą wcale nic wiedzieć. Wiesz, dotychczas nic nie mówiłem, żeby nie siać jeszcze większej niezgody. Ale ta trójka robi wszystko, by ci utrudnić życie. I jeśli się słyszy, co o tobie rozpowiadają, to ma się całkowicie fałszywe zdanie o tobie. Naprawdę. Psychicznie chora nimfomanka to zdecydowanie najłagodniejsze dotyczące ciebie określenie, jakie słyszałem z ich ust.

Prawdopodobnie tym razem nawet nie kłamał.

- A zatem lepiej, gdy zostaną z tego wyłączeni? Wuj Thomas przytaknął.

- Jeśli będziemy mądrzy - a tacy bez wątpienia jesteśmy, prawda? - zostawimy w sejfie parę mniej interesujących przedmiotów. Wówczas nikt się nie dowie, że już wcześniej go otworzyliśmy. Czy ten plan nie jest genialny?

Tak. To był naprawdę genialny plan.

-Ale skąd mogę mieć pewność, że po opróżnieniu sejfu nie zjawi się pan ponownie z testamentem ciotki Jut-ty i nie wysunie kolejnych roszczeń?

- Och, skarbeczku, nie musisz być taka nieufna. — Wuj Thomas patrzył teraz na mnie wzrokiem wiernego psa. - Obiecuję ci, że jak tylko będę miał te wszystkie rzeczy, podrę na twoich oczach testament na malutkie strzępki. Nie zdajesz sobie nawet sprawy, jak mi ulżyło, że mamy wreszcie ten kłopot z głowy.

Kilka razy skinęłam w duchu głową.

- W porządku. Zgadzam się. Dziś wieczorem pójdziemy zatem do willi i opróżnimy sejf. Ale czy w ogóle będziemy w stanie wejść bez przeszkód do środka? Mam na myśli instalację alatmową.

- Ależ tak, tak. Z tym nie będzie najmniejszego problemu, gdyż mam klucze i zgodę Leona na wejście do domu. Z powodów sentymentalnych, jak zawsze powtarzam. Ostatecznie tam dorastałem. A dlaczego nie pojedziemy tam od razu?

- Och, bo to niestety niemożliwe, gdyż dzisiaj muszę być przez cały dzień w pracy.

- W takim razie w porządku. Masz tu moją wizytówkę. Zadzwoń do mnie na komórkę, jak tylko skończysz. Przyjedziemy cię odebrać, moje porsche i ja. - Wuj Thomas zatarł ręce. - To ci dopiero będzie heca. Też się na nią cieszyłam. Przyznam, że odczuwałam zgoła diabelską radość!

*Najlepszym kłamcą jest ten,
kto najmniejszą ilością kłamstw zachodzi najdalej.*
Samuel Butler

Gdy wuj Thomas poszedł sobie, stałam przez dobrą chwilę przed apteką, gapiąc się w pustkę tak długo, aż pojawił się Justus, by zapytać, co się ze mną dzieje. Wyjaśniłam mu, że właśnie prowadzę wewnętrzną walkę.

- Z aniołkiem czy z diabełkiem? - zainteresował się. Potrząsnęłam głową.
- W zasadzie są dwa kłócące się diabełki. Właśnie nadarzyła mi się cudowna okazja. Można powiedzieć, że podano mi ją na tacy. Okazja stania się za jednym zamachem bogatą i dokonania niewielkiego odwetu.
- I nad czym się tu zastanawiać?
- Rzecz w tym, że jeden diabełek chce być podły, paskudny i obrzydliwy, a drugi do tego jeszcze zostać kryminalistą. W głównej mierze mam dylemat, czy pewną sprawę mam załatwić sama, czy też może zadzwonić do Leona.
- Ostatnim razem nie był dla ciebie szczególnie miły - zauważył Justus.

— To prawda. Ale z drugiej strony miał wystarczająco dużo czasu, żeby uzmysłwić sobie, jak paskudnie się zachował.

Justus milczał.

— Tak, wiem. To raczej nieprawdopodobne. — Przygryzłam dolną wargę. - Ale mimo to zadzwonię do niego. Wówczas nie będę miała sobie później nic do zarzucenia.

Aptekarz objął mnie i przycisnął do siebie.

— Czy potrzebujesz mojej pomocy?

— Nie, załatwię to sama.

— W porządku. Ale to nie jest nic niebezpiecznego? Musiałam się uśmiechnąć.

-Nie!

— A zatem nie muszę się o ciebie martwić?

— Nie, nie musisz.

Justus wypuścił mnie z objęć, ja zaś doprowadziłam ponownie do ładu potargane włosy.

— A gdy już będziesz bogata, odpalisz mi coś z tego?

— Z całą pewnością — powiedziałam z uśmiechem.

— Wspaniale. A zatem do dzieła. Zrób to coś podłego, paskudnego i obrzydliwego. Będę dzwonić do ciebie na komórkę co pół godziny.

Lepiej nie ryzykować.

Ach, ten Aptekarz. Mój przyjaciel. Cudownie się prezentował, gdy tak stał w białym kitlu, w słońcu zabawnie mrużąc oczy. Nagle znowu napłynęły mi do oczu łzy.

— Wiesz, nie mogę sobie wyobrazić, jak mogłabym żyć bez ciebie — powiedziałam.

— Też cię kocham — odpowiedział bez namysłu. — Ale to nie powód, żeby od razu płakać. Och, nie, w środku znowu jest pełno klientów.

Muszę wracać pomóc Janinie. — Pochylił się i pocałował mnie. — Do zobaczenia później, dobrze? Z pewnością ze wszystkim dasz sobie radę!

Justus wcześniej też mnie całował, ale nigdy w usta. Byłam nieco zaszokowana, lecz starałam się nie dać niczego po sobie poznać.

- Tak, do zobaczenia - odpowiedziałam krótko.

Później pomyślę o tym, czy homoseksualnym mężczyznom wolno całować kobiety w usta. Przypominało to sytuację, w której komuś wpieryw podetknięto pod nos znakomity tort truskawkowy, po czym zjadło się go samemu. (Albo dało komuś innemu). Czy powinnam umieścić ten temat na liście spraw do omówienia z moją psychoterapeutką? W ostatnim czasie rozwiązałyśmy tyle problemów, że z powodzeniem możemy się zająć jeszcze jednym. W zasadzie dlaczego nie: *Pomocy, ugięty się pode mną kolana, gdy pocałował mnie mój najlepszy przyjaciel który jest gejem*\ Pani Karcianodomska-Kuracjusz z pewnością miałyby na ten temat znakomitą superteorię. Ale jak wspomniałam, przemyślę to później. Teraz muszę doprowadzić do końca zupełnie inną sprawę.

Leon nie był szczególnie zachwycony, gdy zadzwoniłam i oznajmiłam mu, że musimy się spotkać tak szybko, jak to tylko możliwe.

- Carolin, ja przecież pracuję i nie mogę stąd wyjść, ot tak sobie.

- No dobrze, w takim razie lepiej będzie, jeśli hasło otwierające sejf przekażę wujowi Thomasowi - powiedziałam. - A tak na marginesie, wuj Thomas złożył mi kuszącą propozycję wspólnego otwarcia sejfu jeszcze dziś wieczorem i opróżnienia go, wcale was o tym nie informując.

- Znasz hasło?

- Naturalnie - potwierdziłam. - Spotkamy się za pół godziny przed willą. W porządku?

- Tak - powiedział Leon, nie pisnąwszy już więcej ani słowa na temat konieczności pozostania w pracy.

Ocieniona starymi drzewami willa jego dziadków była nieodmiennie piękna i czarowna. Doskonale rozumiałam pragnienie narzeczonej Leona zamieszkania w tym miejscu. Był to wręcz wymarzony dom. Aż wstyd, że tak długo stał pusty. Ogród wciąż wyglądał na bardzo zadbany. Trawa była skoszona, żywopłoty przycięte, a na grządkach, ponad morzem falujących niezapominajek, pyszniły się eleganckie ciemnofioletowe tulipany.

Usiadłam na schodach przed drzwiami prowadzącymi do domu, powracając myślami do dnia, w którym pierwszy raz ujrzałam tutaj Karła. Dnia, który całkowicie odmienił moje życie. Sądziłam, że taki dzień zdarza się tylko raz w życiu. Lecz od dnia śmierci Karła wiedziałam, że to nieprawda.

Leon zaparkował samochód na podjeździe, po czym wysiadł z niego. Z daleka wyglądał zupełnie jak Karl, ale tylko na pierwszy rzut oka. Jego chód był zupełnie inny, dużo bardziej sztywny, nieposiadający nic z kroko-dylodundeenowskiej swobody oraz nonszalancji. I Karl wpierw by umarł, niż dałby sobie obciąć włosy tak krótko i do tego na wojskową modłę. Jeszcze parę lat i podobieństwo przypuszczalnie zniknie. Jak to zwykła mawiać moja matka: *To, jak będzie wyglądała twoja twarz po czterdziestce, zależy wyłącznie od ciebie.*

- Długo już czekasz?

- Co najwyżej pięć minut.

Wstałam i otrzepałam kurz z nowej spódnicy w fioletową kratkę.

Kupiłam ją, gdyż potrzebowałam czegoś pasującego do fioletowych czółenek.

- Iiiih, uff, a cóż ty tam masz pod pachą?

-To „numer dwieście czterdzieści trzy” - wyjaśniłam. - Ukochany pies twojej ciotecznej babki Jutty.

- Naprawdę? Ten paskudny, mały kundel? To trwało nieco dłużej, gdyż dokładnie w chwili, w której chciałem wyjść, zadzwonił wuj Thomas. –

Leon otworzył drzwi wejściowe, a następnie zrobił dwa kroki w głąb holu, by wyłączyć instalację alarmową. - Powiedział, że jest w posiadaniu odręcznie napisanego i potwierdzonego urzędowo testamentu ciotki Jutty i że wniesie pozew do sądu o swój udział w spadku. Chyba że zawrę z nim pozasądową ugodę, w ramach której przekażę mu kilka należnych mu obrazów.

- W takim razie wyszedłeś na tym lepiej ode mnie — zauważyłam. - Ode mnie chciał połowę zawartości sejf. Oczywiście był też gotów przejąć całą jego zawartość, jak również wykazał pełne zrozumienie dla faktu, że gwiżdżę na pieniądze.

- Jeśli ciotka Jutta naprawdę uwzględniła go w swoim testamencie...

- Ale tego nie zrobiła, gdyż wszystko chciała zostawić swojemu ukochanemu Tommiemu.

-Ale...

- Tommi to imię „numeru dwieście czterdzieści trzy” - wyjaśniłam Leonowi, podtykając mu foksteriera prosto pod nos. - Widzisz? Tutaj jest wygrawerowane jego imię. Ale abstrahując od tego, psy i tak nie mogą dziedziczyć. Niestety kochany Tommi pożegnał się z tym światem jeszcze przed ciotką Juttą, a zatem cały jej majątek przeszedł na najbliższego krewnego, czyli na twojego dziadka. On natomiast wszystko zapisał twojej babce. A ona z kolei Karłowi. Okropne, ile psów i ilu ludzi zmarło w ciągu zaledwie czterech lat. Prawda?

Leon spojrział na mnie ze zdumieniem.

- I jesteś tego całkowicie pewna?

- Odnośnie do psa? Całkowicie - potwierdziłam. - Chyba powinieneś był wiedzieć, że pies nazywał się Tommi? To wiedziałam nawet ja, choć tylko raz w życiu spotkałam twoją cioteczną babkę. Nikt nie chciał nic zapisać

w spadku rwojemu biednemu wujowi Thomasowi. Wszyscy go mieli powyżej uszu i wszystkim działał na nerwy ciągłym wyłudzeniem pieniędzy. Twój dziadek wydziedziczył go już lata temu, co wcale nie oznaczało, że mu nie dawał pieniędzy. Robił to nieustannie. Ten testament to blef z jego strony, gdyż tym sposobem próbuje wyłudzić od nas coś jeszcze, co mógłby potem spieniężyć.

- A do tego skasował już grube tysiące za pomocą tego numeru z Fundacją Schiitza — fundacją wspietającą sztukę filmową, ha, ha, ha - warknął Leon. - Umieścił ten nekrolog zupełnie bez naszej wiedzy... Od razu było dla mnie jasne, że musiałaś go przeczytać. Ty albo ktoś z twojej rodziny. Najchętniej ukreśliłbym mu za to łeb. To naprawdę czarna owca w naszej rodzinie.

Właściwie czyż taki drugi pogrzeb nie powinien być odprawiony cicho i dyskretnie? Równie wstydliwie, jak na to niewątpliwie zasługiwał? Ta nowa wiadomość sprawiła, że ujrzałam całą sprawę w nieco łagodniejszym świetle.

Podążyłam za Leonem przez hol i zatrzymałam się przed szerokimi kręconymi schodami prowadzącymi na pierwsze piętro.

— Hasło brzmi *żółty kaczeniec* — powiedziałam. Leon odwrócił się do mnie.

— Sejf jest w piwnicy — oznajmił.

— Idź spokojnie beze mnie. Poczekam tu na ciebie.

— Boisz się zejść ze mną do piwnicy?

— Nie! — A może powinnam? Kto odziedziczyłby należną mi część, gdyby Leon palnął mnie w głowę żyrandolem i na zawsze zamknął w sejfie, zabezpieczając go hasłem „*żółty kaczeniec*” albo „*wyłudzić spadek*”! Nikt by na to nie wpadł.

— *Żółty kaczeniec*? — Leon wzruszył ramionami.

— Tak. Karl wszędzie stosował wyłącznie to hasło. Nie potrafił zapamiętać niczego innego. Nienawidził

moich skomplikowanych kodów. I gdziekolwiek natrafił na któryś z nich, natychmiast zmieniał go na żółtego kaczeńca.

Usiadłam na pierwszym stopniu schodów. Dokładnie w miejscu, w którym po raz pierwszy ujrzałam Karla. Leon stał niezdecydowany obok mnie.

-To była dziwna sprawa z wami obojgiem - powiedział. - Po raz ostatni widziałem ojca żywego na pogrzebie babci. Wówczas nie zamieniliśmy ze sobą nawet czterech zdań. Każde słowo musiał mi dosłownie wrywać z gardła. Jak zwykle. Wtedy popełniłem błąd, pytając go, jak się masz i czy ciągle jeszcze wszystko liczysz. Właściwie było to pomyślane jako ironia. Sądziłem, że wptawię go tym w zakłopotanie. Ale jak tylko padło twoje imię, zmienił mu się wyraz twarzy. Nagle wyglądał na takiego szczęśliwego i nie przestawał mówić o tobie. Powiedział, że skończyłaś właśnie kolejne studia z najlepszymi możliwymi ocenami, że będziesz się cieszyć z przeprowadzki do Londynu, bo uwielbiasz chodzić do muzeów i że twoje ptóby usmażenia steku zawsze kończą się pożarem w kuchni. I tak, w dalszym ciągu jeszcze liczysz, ale jedynie wówczas, gdy sądzisz, że on tego nie widzi.

- Raz - powiedziałam, nie patząc na Leona. - Tylko jeden jedyny raz zrobiłam pożar w kuchni.

- Było nie było. Teraz pójdę na dół wydobyć skarb.

- Poczekaj - zatrzymałam go, by podać mu „numer dwieście czterdzieści trzy”. - Coś musimy przecież wsadzić wujowi Thomasowi do sejfu. Niech to będzie jego znalezisko.

- Co za perfidia! - Leon uśmiechnął się.

- Prawda? - odpowiedziałam uśmiechem. Podczas pobytu Leona w piwnicy snułam się wolno po parterze. Nieliczne meble były okryte białymi płachtami, jak to się czasami widziało w amerykańskich filmach.

W salonie stał fortepian. Ostrożnie zdjęłam białe przykrycie i otworzyłam klapę.

W wyobraźni ponownie ujrzałam Karla opartego o fortepian i spoglądającego na mnie z wyczekiwaniem.

Zagrałam *Fantazję Impromptu Opus 9* Chopina. Na szczęście pianino było nastrojone. Nie skończyłam jeszcze utworu, gdy Leon wrócił z piwnicy. Jego policzki pałały.

- Wszystko jest w środku - powiedział, kładąc brylantową bransoletkę na fortepianie. - To znacznie więcej niż sądziłem. Nawet nie wiedziałam, że moja babcia miała aż tyle biżuterii. Na dole wygląda tak, jakby obrabowano cały sklep jubilerski. Nie do uwierzenia, że wszystko to ponad rok leżało w pustym domu. Mój ojciec powinien był umieścić to w skrytce bankowej. To było bardzo nieodpowiedzialne z jego strony. Nie do pomyślenia, co by było, gdyby wuj Thomas zgadł hasło! Żółty kaczeniec to przecież sam koniec alfabetu. Wcześniej czy później z pewnością by na to wpadł.

- Czy ponownie zamknąłeś sejf? Leon potrząsnął głową.

- Jeszcze nie.

- A może byśmy tak włożyli wujowi Thomasowi do sejfu jeszcze coś oprócz psa! - zaproponowałam.

- Czyżby żal ci było tego oszusta? Mnie nie!

- Czy była tam również tabakierka?

- O, tak - przyznał Leon. - Wartości czterdziestu tysięcy euro.

- Czterdzieści tysięcy euro za tabakierkę? Sądziłam, że może moglibyśmy ją zostawić wujowi Thomasowi. Tak się na nią napalił.

- Wcale się nie dziwię, bo warta jest czterdzieści tysięcy euro. Lepiej będzie, jeśli damy mu w zamian tę paskudną biżuterię, którą dziadek podarował mamie w latach sześćdziesiątych.

— Tak, i tabakierkę. Proszę! Możesz ją odliczyć od mojej części spadku. Leon zrobił oburzoną minę.

— No dobrze — zgodził się w końcu.

Dla pewności zesłałam razem z nim do piwnicy i naocznie upewniłam się, że „numer dwieście czterdzieści trzy” — żegnaj, mały przyjacielu — tabakierka i szkatułka ze złotą biżuterią zostały zamknięte w sejfie.

— Poczekaj - powiedziałam, gdy Leon chciał zamykać stalowe drzwi. — Skąd mogę mieć pewność, że nie wrócisz tu ponownie, by wyjąć te wszystkie rzeczy, gdyż będzie ci żal zostawić je biednemu wujkowi? Leon westchnął.

— Naprawdę jesteś wyjątkowo nieufna — stwierdził. - Ale jeśli ma cię to uspokoić, możesz zmienić hasło, nie zdradzając go mnie.

Pół godziny później zadzwoniłam na komórkę wuja Thomasa i poinformowałam go, że może otworzyć sejf beze mnie, gdyż nie byłam w stanie ponownie wejść do domu, w którym po raz pierwszy spotkałam Karla.

— Tak, tak. — W głosie wuja Thomasa słychać było zniecierpliwienie.

— I jakie to hasło?

— *Jestem draniem ukochana, i złodziejem, ze ho, ho* — powiedziałam wesoło. — Tylko że bez ostatniego ho.

— Co takiego? — wrzasnął wuj Thomas. - Jak to leciało? Czy to przypadkiem nie piosenka karnawałowa? Podczas karnawału rodzice zawsze wyjeżdżali z nami na urlop, na narty.

— Ale przecież musi pan znać tę piosenkę! Jest jakby specjalnie napisana dla pana.

Wydawało się, że wuj Thomas ni w ząb nie rozumiał, do czego piję. Ale i tak już się rozłączył.

Leon śmiał się jak szalony, odrzucając w tył głowę.

— Szczerze mówiąc, chciałbym zobaczyć wyraz jego twarzy, gdy otworzy sejf i zobaczy w nim psa!

- Powinniśmy byli zainstalować w środku kamerę -stwierdziłam. - Teraz jest już na to, niestety, za późno. Najwyższy czas, żebyśmy stąd zniknęli. Wuj Thomas zjawi się tu szybciej niż straż pożarna.

Leon odwiózł mnie do domu. Na każdym zakręcie dochodziło do naszych uszu pobrząkiwanie biżuterii i dźwięk ten nieodmiennie wywoływał nasz uśmiech. Pod wpływem nagłego impulsu poprosiłam Leona, by nie zawoził mnie na ulicę Szerszeni, lecz wysadził już przy Kru-szycy Złotawki, na co skinął głową.

- A tak a propos, widziałem cię ostatnio w kinie. Ale byłem z Larissą i dlatego nie chciałem cię zagadywać, by nie wptawić cię w zakłopotanie.

- Co masz na myśli? - Chętnie bym sobie zobaczyła tę całą Larissę. - Dlaczego miałabym być zakłopotana?

Leon uśmiechnął się krzywo.

- W porządku, w takim razie nie chciałem, żebyś to ty wprowadziła mnie w zakłopotanie. Masz taki sposób bycia, no sama wiesz. Zakładam, że nie robisz tego celowo.. . Poza tym nie byłaś sama. Towarzyszył ci ten aptekarz. Larissa zna go i w żadnym wypadku nie chciała się z nim spotkać, gdyż przez dłuższy czas był razem z jej przyjaciółką, Tiną, z którą zerwał tuż przed ślubem.

- Nie, to wykluczone. Justus jest przecież... - zająknęłam się.

- Wierz mi, Larissa zna go całkiem dobrze. Twierdzi, że ten typ sprawiał takie miłe wrażenie, lecz nagle zostawił jej przyjaciółkę, i to na niespełna dwa tygodnie przed ślubem, co ją rzecz jasna kompletnie załamało.

Trwało to całe lata, zanim ponownie się pozbierała. Czy potrafisz to sobie wyobrazić? Zaproszenia były już dawno rozesłane, suknia ślubna kupiona, sala wynajęta, jedzenie zamówione... Niezbyt ładnie, prawda? A zatem bądź z nim ostroż-

na. - Leon zahamował przed Bucikami&Klepcikami. -Ale przecież jesteście jedynie przyjaciółmi.

— Właśnie - potwierdziłam, starając się, by nie zauważył, jak bardzo jestem wewnętrznie poruszona. Justus był kiedyś hetero? I zaledwie na dwa tygodnie przed ślubem spostrzegł, że w zasadzie jest gejem? Jutro zaraz z rana poproszę panią Karcianodomską-Kuracjusz o pilny termin sesji terapeutycznej, powołując się na pilną konieczność.

— Cóż — powiedział Leon — a zatem dużo szczęścia i tak dalej. Z pewnością nasze drogi kiedyś tam ponownie się przetną. Ostatecznie mieszkamy w tym samym mieście.

— Z pewnością. Również życzę ci dużo szczęścia. We wszystkim. - Chwyciłam torbę, z której dochodziło ciche pobrzękiwanie, i wysiadłam. Leon chciał, żebym sama zajęła się wyceną znalezionych przedmiotów. Zaufanie za zaufanie, powiedział, przecież ostatecznie oboje doprowadziliśmy wspólnie do eleganckiego zakończenia tej całej głupiej kłótni o spadek.

Torba była tak ciężka, że bałam się, że się urwą uszy. Na wszelki wypadek złapałam ją od spodu obiema rękami.

- A tak na marginesie, możesz powiedzieć Larissie, że w Bucikach&Kiepcikach dostanie dziesięcioprocentowy rabat - cena specjalna dla rodziny.

W zasadzie było to dwadzieścia procent, ale Larissa nie należała tak naprawdę do rodziny. Chciałam jedynie koniecznie ją poznać.

— Och, to naprawdę miłe z twojej strony. Helen i Corinne też bardzo się ucieszą. Obie są takie napalone na te buty.

O cholera, zgadza się. Są przecież jeszcze i one.

Odczekałam, aż wóz Leona zniknął za najbliższym rogiem, po czym przeszłam na drugą stronę ulicy z ważącą całe cetnary torebką i pobiegłam prosto do apteki.

Janina akurat zamykała sklep.

- O, znowu przyszedł - zauważyła. - Niestety, właśnie rozminęłaś się z Justusem. Chciał jeszcze pojechać do marketu z materiałami budowlanymi. Znowu coś tam majstruje na dole, w swoim warsztacie.

- Powiedz mi, Janino, czy właściwie znałaś *Tinę!* -zapytałam, kładąc torbę na krzesło.

- *Tinę?* Tę bestię? Jasne, że ją znałam. - Janina aż prychnęła ze złości. - Prawdę mówiąc, nigdy jej nie lubiłam. Lecz zdaniem Justusa była absolutnym ideałem. Zastanawiam się, jak mężczyzna może być aż do tego stopnia ślepy? Na jednym z cholernych przyjęć próbowała nawet poderwać mojego chłopaka. A także Jakuba, brata Justusa. Nie przepuściła żadnemu facetowi. Lecz Justus zawsze twierdził, że jedynie starała się być miła. A że przy tym trochę flirtowała, to przecież nie ma w tym nic złego. I tak twierdził do czasu, aż nakrył ją w łóżku z własnym bratem. Dokładnie rzecz biorąc, w jego własnym łóżku, które kupił na pchlim targu.

- Czy ona przespała się z bratem Justusa? - W takim razie nic dziwnego, że Justus został gejem.

-No jasne. I to na dwa tygodnie przed ślubem. Wszystko już było zapięte na ostatni guzik. Tina miała modelową suknię do ślubu, która kosztowała aż sześć tysięcy euro, zapłacił za nią Justus. Ale najgorsze było to, że po tej całej historii jego brat ponownie zaczął pić. A przedtem przez cały rok nawet nie tknął alkoholu.

- Biedny Justus. To okropne.

- Tak. — Janina zasunęła kraty w oknie wystawowym, a ja pomogłam jej zamknąć zamki. - Można tak powiedzieć. Ale mimo wszystko byliśmy naprawdę zadowoleni, gdy ten związek się rozpadł. Uważam, że i tak nie pasowali do siebie. A teraz znowu wyszedł na prostą i znowu dobrze mu idzie. Chociaż ta głupia zdzira do dziś nie zwróciła mu pierścionka zaręczynowego! Powiedziała po prostu, że go zgubiła! Akurat!

Kosztował cztery tysiące papierów. Czegoś takiego nie gubi się, ot tak sobie. Platyna z przepięknym brylantem. A Justus i tak musiał ponieść wszystkie koszty odwołanego ślubu. Natomiast ta fałszywa żmija skarżyła się wszystkim wkoło, lamentując i użalając się nad sobą. W końcu tak odwróciła kota ogonem, że Justus wyszedł na kompletnego drania.

- Co za bestia. I co się potem z nią stało?

- Och, to wszystko miało miejsce już niemal dwa lata temu i przez co najmniej rok Justus był totalnie nie do życia. Jakby walnięto go obuchem w głowę. Koniecznie chciała go odzyskać. Bez przerwy zjawiała się tu bez uprzedzenia, robiąc sceny. Ale zdaje się, że parę miesięcy temu znalazła sobie kolejnego głupiego. Jedna z przyjaciółek mówiła mi, że to jakiś bankier z Bonn, który gotów był podarować jej mercedesa kabriolet pod warunkiem, że wytatuuje sobie na tyłku jego nazwisko. Nie wierzę w to, a ty?

W zasadzie interesowało mnie coś zupełnie innego.

- A kiedy Justus... od kiedy, mam na myśli zauważył, że... eeeehh, to znaczy jak dużo czasu potrzebował, żeby przeboleć Tinę?

- Dość długo go to gryzło. Ciężko mu było też dlatego, że wyszedł na skończonego głupka. Powiedziałabym, że wówczas całkowicie przestał ufać kobietom. Od tamtego czasu jest całkiem sam, nie licząc kilku przelotnych przygód trwających nie dłużej niż jedną noc.

Janina westchnęła, a mnie zamurowało.

- Przelotnych przygód? Z kobietami? - palnęłam prosto z mostu.

Janina spojrzała na mnie zdziwiona.

- Naturalnie, że z kobietami. A niby z kim? Masz mu to za złe? Inni chodzą na dziwki. Podobno aż pięćdziesiąt procent mężczyzn, będących w związku lub nie, odwiedza

burdele. Wierzysz w to? Ja nie. Powiedziałabym nawet, że spośród wszystkich znanych mi facetów, co najwyżej dwóch chodzi na dziwki. Carolin? Czy wszystko w porządku? Tak dziwnie patrzysz.

- Czy wiesz, że mój iloraz inteligencji wynosi sto pięćdziesiąt osiem?

- Naprawdę? Auć!

- A mimo to jestem najgłupszą krową pod słońcem. I to jedynie z powodu kremu nawilżającego! I fioletowego lakieru do paznokci! I butów!

Janina potrząsnęła głową.

- Nic z tego nie rozumiem. Idziesz ze mną? Muszę biec do domu. Osoba zajmująca się przygotowaniem do ślubu przychodzi z próbkami tortów. Z tego powodu specjalnie nic nie jadłam przez cały dzień.

- Nie, zaczekam tu na Justusa, jeśli mogę.

- Pewnie, że możesz. Uważam, że to wspaniałe, że się spotkaliście. To wam obojgu naprawdę dobrze zrobiło.

Pocałowała mnie w policzek i zniknęła, wychodząc tylnym wyjściem.

Usiadłam w biurze na krześle, położyłam głowę na biurku, po czym powtórzyłam w siedmiu językach:

- Co ze mnie za idiotka.

Po jakimś czasie Aptekarz wrócił do domu. Pogwizdywał wesoło. Jego zakupy ograniczyły się najwidoczniej do małego pudełeczka śrubek. Gdy mnie zobaczył, uśmiechnął się.

- A znowu tu jesteś, mała krnąbrna dziewczynko, cała i zdrowa. Było ciężko?

Potrząsnęłam głową.

- Ale wyglądasz, jakbyś płakała. - Zmartwiony potarł piegowaty nos. - Czy masz ochotę zejść na dół do warsztatu? Mam tam coś, co muszę ci pokazać. Może cię to trochę rozweseli.

Tym sposobem po raz drugi w tym samym dniu znalazłam się w piwnicy, gdzie po raz drugi znalazłam skarb. Aptekarz zbudował dla mnie kominek. Z drewna. Z bardzo szerokim gzymsem.

- To najpiękniejszy kominek, jaki kiedykolwiek widziałam - mówiąc to, zaczęłam łkać.

- Nie jest jeszcze całkiem gotowy - wyjaśnił Justus. - Muszę jeszcze przyśrubować te listwy. I całość chcę pomalować na białą. Można też zamontować szklany wkład imitujący płomień. Wówczas będzie wyglądać jak prawdziwy kominek. A tu jest miejsce na urnę. Och, tylko teraz nie becz. To przecież nic szczególnego - świetnie się przy tym bawiłem...

- Naprawdę jesteś najlepszym przyjacielem na świecie - łkałam. Mój naj, najlepszy przyjaciel, i wcale nie gej.

- Tak, rzeczywiście jestem - przyznał zadowolony. Objął mnie, ja zaś przytuliłam się do niego i jeszcze trochę popłakałam sobie w jego ramionach. Od dawna nie byłam taka szczęśliwa i od dawna też nie było mi tak lekko na duszy.

Wiedziałam, że Justus będzie na miejscu wówczas, gdy któregoś dnia ponownie będę gotowa wdać się w przygodę z miłością. I być może dzień ten wcale nie był znowu aż tak bardzo odległy.

I gdy rzeczywiście dojdzie do tego, wówczas Aptekarz w żadnym wypadku nie ma prawa się dowiedzieć, że uważałam go za geja. To na zawsze będzie musiało pozostać moją tajemnicą.

Podziękowania

Jest to bardzo skrócona wersja pierwotnych podziękowań, które liczyły więcej słów niż cała powieść. Pisarstwo to samotne zajęcie i nie mogłabym go wykonywać bez wsparcia oraz pomocy wielu ludzi dbających o to, bym nawet w najbardziej ponurych czasach miała powody do śmiechu i radości. Albo przynajmniej do tego, by wstać i umyć zęby. Dziękuję:

Evie Voiler, alias Charlotte Thomas, za przyjaźń, poczucie humoru i jej fantastyczne książki, których już sama lektura zawsze sprawia, że uświadamiam sobie, ile jeszcze muszę się nauczyć. Za tę część Evy, która tkwi w tej książce, będę jej wdzięczna przez całą wieczność.

Claudii Miiller, najlepszej na świecie redaktorce, zawsze przyjmującej ze stoickim spokojem wielokrotnie przesuwany termin skończenia tej powieści, bez ponaglania mnie. (Tak prawdę mówiąc, PRAWIE bez ponaglania).

Uroczej Sonji Lechner, jedynemu na świecie antydepresantowi na dwóch nogach, za serdeczną opiekę, wspaniałe sugestie (powiem tylko: hasło!) oraz perfekcyjną organizację moich podróży i spotkań z czytelnikami. Już dzisiaj cieszę się na to, co mnie czeka na jesień.

Stefanowi Bauerowi, który zasadniczy pomysł znakomitego trailera dosłownie wytrzepał z rękawa podczas obiadu.

Wszystkim pracownikom Wydawnictwa Liibbe, którzy przyczynili się do powstania oraz rozreklamowania moich książek - nigdzie nie ma tak wielu sympatycznych ludzi.

Mojej agentce, Petrze Hermanns, za jej wspaniałą pracę i odwagę rzucenia się w wir karnawału w Kolonii.

Mojej siostrze Heidi za dokładne przestudiowanie nekrologów.

Mojej pięknej mamie za wysłuchiwanie mnie i za to, że zawsze była.

Mojemu mężowi oraz synowi za cierpliwość i miłość.

Dagmar za motywujące słowa i zdolność postrzegania rzeczy w innym świetle. Qa: Ratunku, jestem dopiero na sto czterdziestej stronie.

Potrzebny mi jest jakiś cud! Dagmar: Strona 140 to już cud!).

Biggi zwyczajnie za wszystko. To przyjaciółka, jakiej życzę każdej kobiecie.

Najmądrzejszej, obdarzonej największym poczuciem humoru i najelegantszej tłumaczce w Europie, Urszuli Pawlik, dzięki której również w Polsce moje książki uważane są za zabawne. Dziękuję Ci za polskie zdania, które włożyłam w usta Carolin i za nieskończenie wiele łez, które zawsze wylewałam, płacząc ze śmiechu, przy czytaniu twoich maili.

Andrei Kofimann z Kosis Welt za propozycje cudownych książek, najzabawniejsze spotkanie wszech czasów w ramach Meet & Read (całkiem blisko Oer-Erkenschwick - mojego osobistego odkrycia roku) i za maskotkę, która naprawdę przyniosła mi szczęście. Wszystkiego najlepszego dla „Mannertaxi”.

Monice Kremer, mojej ulubionej właścicielce księgarni w Haren, nie tylko zaopatrującej mnie w motywu-

jące paczuski, materiał do czytania, pocztówki i maile podtrzymujące mój dobry nastrój, lecz również za to, że słusznie zauważyła, iż wszystkie moje bohaterki zawsze są zbyt piękne. Mocno postanowiłam, że tym razem będą nieco brzydsze - ale zwyczajnie nic z tego nie wyszło.

Kochanej Jenny (uff!) za Herzberga i czekoladę -czekolada szybko zniknęła, natomiast Herzberga nadal słucham.

Szczególnie dziękuję moim wszystkim czytelniczkom i czytelnikom, którzy w niezliczonych mailach oraz listach, częściowo wzruszających, a czasami bardzo śmiesznych, rozweselali mnie i zachęcali do dalszego pisania. Niektórzy całkowicie bezinteresownie oferowali mi do wykorzystania swoje własne przeżycia, jak na przykład Sylvia z Tyrolu, która bardzo plastycznie opisała, co się stało po wsadzeniu do mikrofalówki zaschniętego tuszu do rzęs po to, by znowu nadawał się do użytku. Lecz sądzę, że Sylvia sama kiedyś napisze książkę i wówczas będziecie mogli przeczytać, dlaczego lepiej jest wyrzucić stary tusz do rzęs. Mam nadzieję, że odpowiedziałam na wszystkie maile, również na te, które, eeehhmm, motywowały mnie w bardzo specyficzny sposób: *Cześć! Muszę napisać na poniedziałek referat na temat pani książki. Jak nazywa się główna bohaterka i jak by ją pani scharakteryzowała? O co w tej książce chodzi? Czy jest to powieść rozwojowa i jeśli tak, to dlaczego? Proszę się pospieszyć, bo to pilne.*

Tak, naprawdę się spieszę. Słowo honoru!

Kerstin Gier kwiecień, maj, czerwiec 2009

Kerstin Gier, urodzona w 1966 roku, ukończyła pedagogikę, ale nie mogąc całe lata znaleźć zatrudnienia w wyuczonym zawodzie, miała się różnych przypadkowych zajęć, pracując głównie jako sekretarka lub pomoc biurowa. W okresach bezrobocia pisała, by jakoś pokonać frustrację. W ten sposób powstała pierwsza, wydana w 1995 roku powieść *Männer und andere Katastrophen* (*Mężczyźni i pozostałe katastrofy*), która już w miesiąc po premierze trafiła na czołowe miejsca niemieckich list bestsellerów, a po niespełna 18 miesiącach doczekała się ekranizacji. Kolejne powieści autorki okazały się nie mniejszym sukcesem. Polscy czytelnicy mieli okazję poznać twórczość tej autorki dzięki powieści *Z deszczu pod rynną* (Wydawnictwo Sonia Draga, 2009). Znana jest też młodym czytelnikom dzięki *Trylogii czasu* (Egmont 2011). Obecnie autorka mieszka z mężem, 8-letnim synem, 17-letnim czarnym kocurem, kapryśną kotką i trzema upartymi kurami w małej wiosce niedaleko Kolonii.